

Lichtarski:
Powodzenie działalności badawczej

Behrendt:
Na fali megapowodzi

Machoń:
O doświadczeniu religijnym

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 12/2021

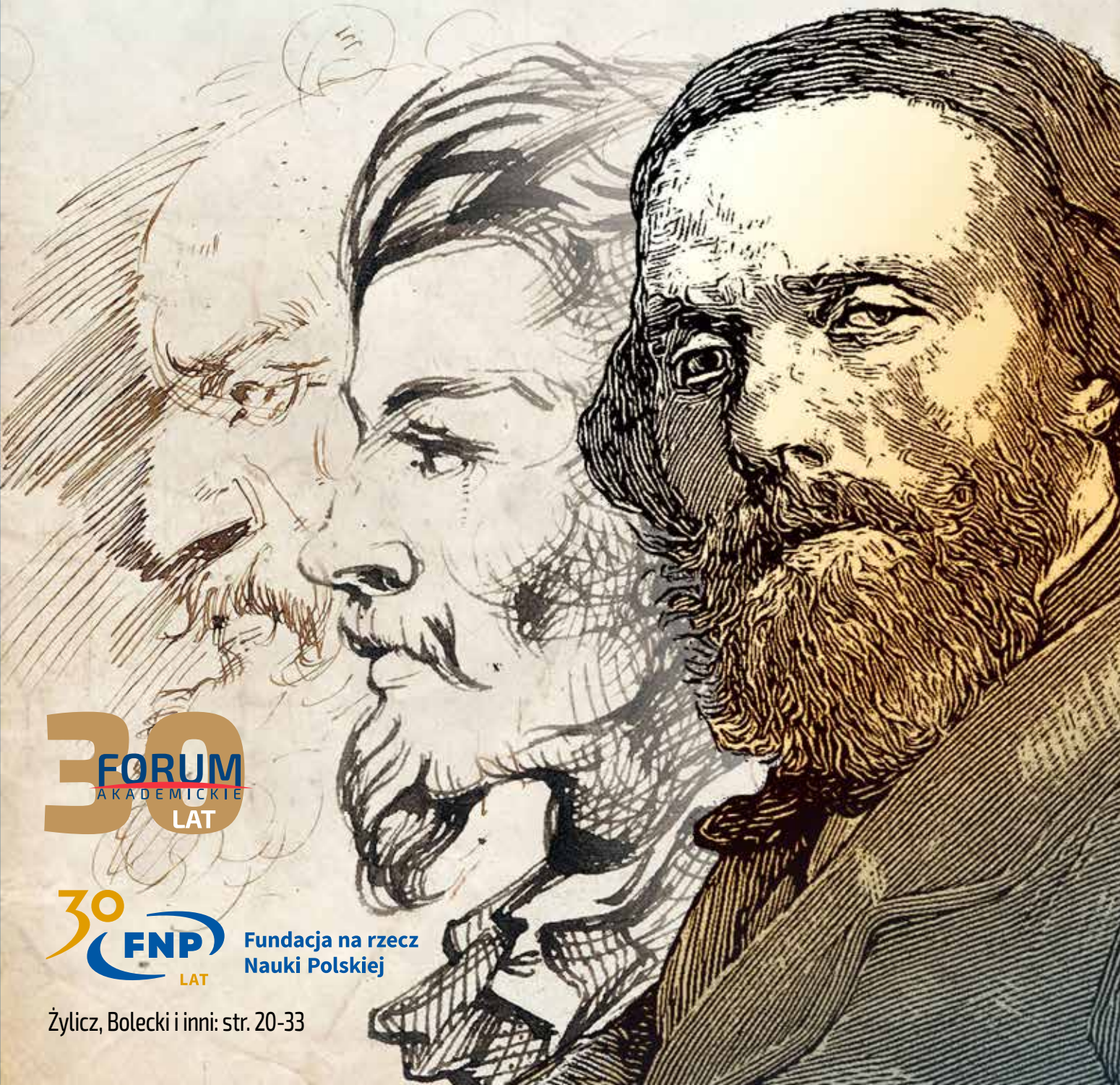
PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Rok Norwida Str. 34-40

30
FORUM
AKADEMICKIE
LAT

30
FNP
LAT
Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

Żylicz, Bolecki i inni: str. 20-33





30
FORUM
 AKADEMICKIE
 LAT

Lichtarski:
 Powodzenie działalności badawczej

Behrendt:
 Na fali megapowodzi

Machorń:
 O doświadczeniu religijnym

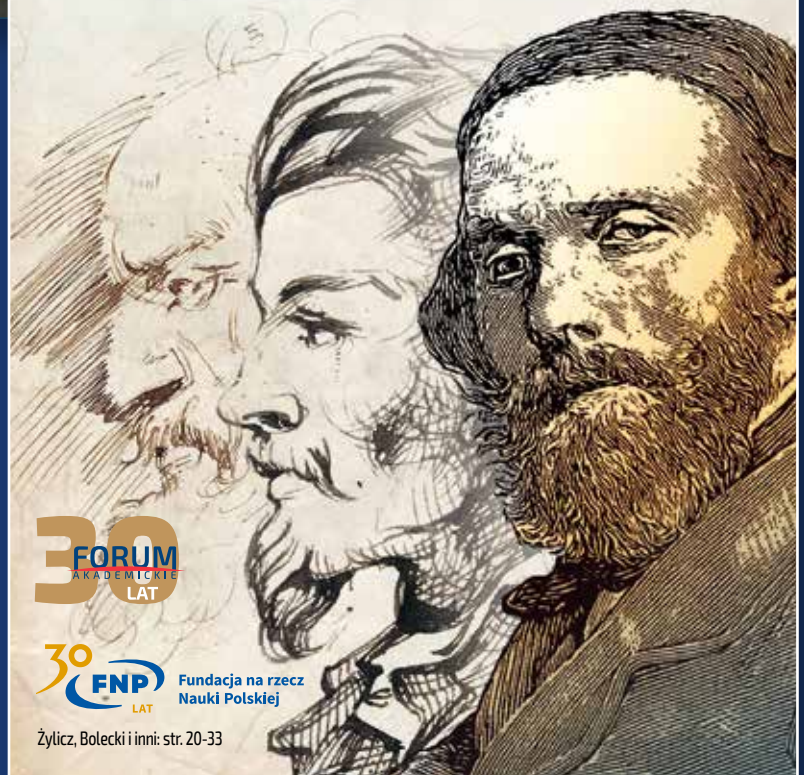
FORUM
 AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 12/2021

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Rok Norwida Str. 34-40



30
 FORUM
 AKADEMICKIE
 LAT

30
 FNP
 LAT

Fundacja na rzecz
 Nauki Polskiej

Żylicz, Bolecki i inni: str. 20-33

- 394 numery
- ponad 30 pracowników redakcji
- prawie 50 autorów stałych cykli
- 3 redaktorów naczelnych
- 189 artykułów „Z archiwum nieuczciwości naukowej”
- ponad 100 laureatów konkursu „Skomplikowane i proste”
- wywiady z wszystkimi ministrami nauki i szkolnictwa wyższego od 1991 r.

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Fundacja 30	
– Piotr Kieraciński	5
Forum 30	
– Piotr Kieraciński	5
Kiedy „lamparci skok” polskiej nauki?	6
Studia w czasach zarazy	
– Tomasz Pietrzykowski	7
ABC ewaluacji: sprawdź się sam	
– Sławomir Rybka	8
Informatyczne narzędzia ewaluacji	
– Marek Michajłowicz	9
Modni naukowcy 2020	
– Krzysztof Ciepliński	10
HCR 2021 – więcej niż dziewięciu Polaków	
– Piotr Kieraciński	12
Świętość dyplomu i obrona prawdy	
– Adam Zemełka (artykuł sponsorowany)	14
KRePUZ o kształceniu lekarzy	
– Mariusz Karwowski	15
Zagrożenie	
– Marcin Gruchala	16
Nie palce komitetów	
– Marek Kosmułski	17

ROZMOWA FORUM

Zagłodzony system nauki	
– rozmowa z Dominikiem Szczukockim, przew. KSN NSZZ „Solidarność”	18

30 LAT FNP

Dzięki uczonym Fundacja staje się lepsza	
– rozmowa z prof. Maciejem Żyliczem, biologiem i fizykiem, prezesem FNP	20
Twarda walka o pieniądze	
– Jan Krzysztof Frąckowiak	26
Fundacja innowacyjności	
– Leon Gradoń	27
Jak wzorzec z Sévres	
– Horodeccy o FNP	28
Inspiratorka	
– Krzysztof Józwiak	29
Książka jest najważniejszym osiągnięciem humanisty	
– Włodzimierz Bolecki	30

ROK NORWIDA

W stronę całości	
– Zofia Dambek-Giallelis	34
Od mimesis do ekspresji	
– Aleksandra Sikorska-Krystek	37

30 LAT FA

Między nami równolatkami	
– Mariusz Karwowski	41

ŻYCIE NAUKOWE

Przenikanie	
– Aneta Zawadzka	46

Pożytki z konferencji naukowych	
– Zbigniew Drozdowicz	47

Nowe kierunki badań społecznych

Powodzenie działalności badawczej. Cz. 1	
– Jan Lichtarski	50

ŻYCIE AKADEMICKIE

Uniwersytet dwóch przestrzeni	
– Stefan Jackowski	54
Czytelnia czasopism	
– Aneta Zawadzka	57
Publikuj lub giń	
Sylwetki na horyzoncie	
– Marek Misiak	58

Z LABORATORIÓW

Doświadczenie religijne między emocją a kognicją	
– Henryk Machoń	60
Krajobraz po katastrofie	
– Marcin Behrendt	64

W STRONĘ HISTORII

Po co liczyć kominy?	
– Marcelina Smużewska	69

Kartki z dziejów nauki w Polsce (242)

Życie i dzieła Stanisława Staszica	
– Piotr Hübner	72

OKOLICE NAUKI

Książki	
Świecka metafizyka	
– Tomasz Klusek	77
Świat zwierząt według Kruszewicza	
– Justyna Jakubczyk	77
Nie mam ust, ale muszę krzyknąć	
– Marek Misiak	78
Krytyk – wyrobnik literacki	
– Jacek Hnidiuk	78
Far a piazza	
– Krystyna Matuszewska	79
Żona Marszałka	
– Bogdan Bernat	79

FELIETONY

Szkiełko w oku	
Autorzy w biedzie	
– Piotr Müldner-Nieckowski	76

NA MARGINESACH NAUKI

Przyspieszenie	
– Leszek Szaruga	80
Projekt okładki – Sławomir Makal	

FORUM
AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXVIII Nr 12 (337) Grudzień 2021

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacyjny, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacja, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wronski (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Dofinansowano z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki.

Z całego świata do Polski

WARSZAWA Naukowcy z 15 krajów przyjadą do Polski, aby prowadzić swoje badania w instytutach PAN. To 35 laureatów pierwszego konkursu stypendialnego PASIFIC (w drugim wyłonionych zostanie 15 kolejnych). O dwuletnie pobyty badawcze mogli aplikować uczeni z całego świata, reprezentujący wszystkie dziedziny naukowe. Na jedno miejsce aplikowało 10 osób. Większość pochodziła z Indii (80). Najwięcej projektów zostanie sfinansowanych z obszaru nauk ścisłych i technicznych (15). Badania obejmują 17 różnych dyscyplin. Stypendyści przyjadą do 22 instytutów PAN, najwięcej (po 3) do Instytutu Chemii Fizycznej oraz Instytutu Archeologii i Etnologii. Otrzymają miesięczne wynagrodzenie w wysokości ok. 2,5 tys. euro. Program o budżecie 11,7 mln € jest współfinansowany przez Komisję Europejską, która przekazała 3,7 mln €. Beneficjentami grantów Marie Skłodowska-Curie COFUND są także: NCN (POLONEZ i POLONEZ BIS) – łączny budżet 54 mln € / dofinansowanie 14,6 mln € (w sumie 231 naukowców), Instytut Nenckiego (Bio4Med) – 4,6/2,3 mln € (22), Instytut Chemii Fizycznej PAN (NaMeS) – 4,6/2,3 mln € (22), Uniwersytet Medyczny w Białymstoku (ImPRESS) – 3,6/1,6 mln € (15), Instytut Chemii Fizycznej PAN (PD2PI) – 2,6/1,4 mln € (15).

Stypendia dla badaczek

WARSZAWA Sześć utalentowanych badaczek otrzymało stypendia L'Oréal-UNESCO Dla Kobiet i Nauki. W kategorii magisterskiej (20 tys. zł): Monika Gońka z Uniwersytetu Jagiellońskiego (nieobecna na gali), która



Fot. L'Oréal

poszukuje lepszych strategii leczenia dla dzieci z ostrą białaczką. W kategorii doktoranckiej (30 tys. zł): Magdalena Dąbrowska z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN za wykorzystanie narzędzi do edycji genomu w eksperymentalnej terapii chorób genetycznych i Natalia Ochocka-Lewicka z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego PAN za poznanie różnorodności komórek odpornościowych w glejakiach. W kategorii habilitacyjnej (35 tys. zł): dr Agata Szade z UJ za nowe metody terapeutyczne w leczeniu zaburzeń układu krwiotwórczego; dr Marzena Ciechomska z Narodowego Instytutu Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji w Warszawie za nowe markery diagnostyczne chorób reumatycznych; dr Karolina Mikulska-Rumińska z UMK za poznanie podstaw molekularnych procesu ferroptozy. O stypendia ubiegały się w tym roku 132 kandydatki.

Przedsiębiorcza prezydent

TURKU/ŁÓDŹ Dr hab. Agnieszka Kurczewska, prorektorka Uniwersytetu Łódzkiego ds. współpracy z otoczeniem, została wybrana na prezydent-electę The European Council for Small Business and Entrepreneurship. Jej kadencja przypadnie na lata 2023–2025. Będzie pierwszym prezydentem z Europy Środkowo-Wschodniej w historii organizacji. ECSB skupia europejskich naukowców zajmujących się przedsiębiorczością, którzy współpracują z praktykami oraz przyczyniają się do zwiększenia wpływu społecznego w tym obszarze. Powstała w 1988 roku i zrzesza obecnie około 400 członków reprezentujących 42 kraje. Dr



Fot. UK

hab. Agnieszka Kurczewska należy do ECSB od 10 lat, a od sześciu zasiada w Zarządzie tej organizacji. W czasie swojej kadencji stworzyła konkurs BLI (Best Learning Innovation), organizowała warsztaty naukowe dla młodych naukowców. Jest pomysłodawczynią i główną koordynatorką Akademii Przedsiębiorczości na Uniwersytecie Łódzkim.

Polka wiceszefową inżynierów dźwięku

NOWY JORK/POZNAŃ Dr inż. Ewa Łukasik z Politechniki Poznańskiej została wybrana na wiceprezydenta Audio Engineering Society. Funkcję tę będzie pełnił w latach 2022–2023. AES to międzynarodowe stowarzyszenie inżynierii dźwięku. Powstało w 1948 roku. Zrzesza osoby zawodowo związane z techniką foniczną, naukowców i studentów uczelni technicznych oraz muzycznych, w tym informatyków. Obecnie liczy ponad 12 tys. członków, zgrupowanych w 210 sekcjach. Dr inż. Ewa Łukasik związana jest z Wydziałem Informatyki i Telekomunikacji PP. Pracuje w Zakładzie Badań Operacyjnych i Sztucznej Inteligencji w Instytucie Informatyki. Wśród jej zainteresowań naukowych są: automatyka, cyfrowe przetwarzanie sygnałów, metrologia elektryczna, systemy multimedialne, transmisja danych.



Fot. PP

Doktorat h.c. – prof. Anselm Jünemann

LUBLIN Uznany autorytet w dziedzinie okulistyki otrzymał 18 listopada tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Od lat współpracuje z lubelskim środowiskiem naukowym, m.in. z Kliniką Okulistyki Ogólnej UM (w roku akademickim 2015/2016 był tam profesorem wizytującym), Kliniką Neurologii UM, Katedrą i Zakładem Farmakologii Doświadczalnej i Klinicznej UM oraz Wydziałem Biofizyki UMCS. Od 2019 roku pracuje w Centrum Okulistycznym Viselle w Erlangen. Zajmuje się m.in.: funkcjonalną i morfologiczną wczesną diagnostyką jaskry, chirurgią filtracyjną jaskry, selektywnymi testami psychofizycznymi i elektrofizjologicznymi do oceny drogi wzrokowej, multifokalnymi technikami stymulacji, a także mechanizmami neurodegeneracji siatkówkowej.



Fot. US

Doktorat h.c. – Jordi Savall

KATOWICE Kataloński mistrz violi da gamba został 18 listopada doktorem honoris causa Uniwersytetu Śląskiego. To jedna z najbardziej wszechstronnych muzycznych osobowości nie tylko w Hiszpanii. Ratuje zapomniane klejnoty muzyczne, przywracając je praktyce wykonawczej ku radości słuchaczy. Należy do grona najwybitniejszych interpretatorów muzyki dawnej, zwłaszcza renesansu i baroku. Reprezentuje nurt autentyzmu. W 2008 roku został mianowany ambasadorem Unii Europejskiej ds. dialogu międzykulturowego i otrzymał tytuł Artysty UNESCO na rzecz Pokoju. To 64. osoba uhonorowana najwyższą godnością akademicką przez Śląską uczelnię. Po ceremonii odbył się koncert, w którym bohaterowi wieczoru towarzyszyli na scenie David Mayoral i Enrique Solinis.



Fot. US

Wyróżnienie dla politologa z UMCS

LUBLIN Prof. Marek Pietraś, dyrektor Instytutu Nauk o Polityce i Administracji Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, otrzymał prestiżowy tytuł Najlepszego Zagranicznego Naukowca 2021 roku na Ukra-



Fot. Bartosz Freil

inie. Przyznaje go Narodowa Akademia Nauk Ukrainy oraz Związek Naukowców Ukrainy, a przegłosowywany jest przez tamtejszy parlament. Prof. Pietras został uhonorowany za wkład w rozwój współpracy naukowej pomiędzy oboma krajami. Jest autorem pionierskich publikacji w zakresie teorii stosunków międzynarodowych, niewojskowych wymiarów bezpieczeństwa międzynarodowego, procesów globalizacji oraz procesów regionalizacji w Europie Środkowej i Wschodniej, w tym stosunków Polski i Ukrainy. Inicjował podpisanie umów o podwójnym dyplomowaniu z kilkoma ukraińskimi uczelniami. Przewodniczy Radzie Programowej Centrum Europejskiego UMCS inicjującego współpracę między uczelniami Polski, Ukrainy i Francji.

Rozdano StRuNy

WARSAWA Studenci z Koła Naukowego „Eko-Energia” na Akademii Górniczo-Hutniczej zdobyli główną nagrodę w 11. konkursie dla młodych naukowców StRuNa. Jego celem jest docenienie studenckich zespołów naukowych, które w minionym roku akademickim zrealizowały najciekawsze projekty naukowe. Na AGH powstaje turbina, która przy pomocy zintegrowanego układu umożliwi regulację prędkości wiatru poprzez zastosowanie dyfuzora ze zmienną średnicą. Nagrodzono także KN Pojazdów i Robotów Mobilnych z Politechniki Wrocławskiej, KN ZZL „Experience” z Politechniki Łódzkiej, KN Miłośników Opery z Akademii Muzycznej w Łodzi, KN „Bioinvention” z Politechniki Białostockiej, zespoły PUT RocketLab z Politechniki Poznańskiej i PWR Racing Team oraz dr inż. Agatę Guzik-Kopyto z Politechniki Śląskiej. Z ponad 200 zgłoszeń do finału nominowano 21 zespołów, 7 opiekunów naukowych oraz 14 organizacji.

Wręczono nagrody „Pro Juvenes”

WARSAWA Najlepsze studenckie inicjatywy oraz najbardziej aktywnych żaków Parlament Studentów RP wyróżnił podczas IX Gali „Pro Juvenes”. Nagrodzono: Kopalnię Talentów (AGH), akcję „Doceni Medyka” (Warszawski Uniwersytet Medyczny), Dni Świadomości Żywnościowej (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie), projekt KLIMATYCZNI – Powierzchnie samoczyszczące (Uniwersytet Gdański), Studencki Dzień Jakości (Politechnika Gdańska), Zrzeszenie Studentów Niepełnosprawnych UAM Ad Astra (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu), Centrum Mediów AGH oraz studentów: Nicol Zielińską (Uniwersytet Medyczny w Łodzi), Weronikę Przybylską (AWF we Wrocławiu), Sylwię Zyziańską (Uniwersytet Jagielloński) i Macieja Cieciorę (UMCS). Za autorytet środowiska studenckiego uznano prof. Arkadiusza Mężyka (PŚ, KRASP), zaś za przyjaciela samorządności studenckiej prof. Tomasa Szapiro (SGH, RGNISW).

Nauka dla morza

GDAŃSK Konsorcjum naukowe, które ma działać na rzecz rozwoju morskiej energetyki wiatrowej, powołał rektorzy ośmiu polskich uczelni. Do podpisania umowy doszło na Politechnice Gdańskiej podczas posiedzenia Konwentu Morskiego. W obradach uczestniczył m.in. premier Mate-

usz Morawiecki. Konsorcjum tworzą uczelnie, które kształcą i prowadzą badania naukowe w obszarach związanych z morzem: Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie, Akademia Morska w Szczecinie, Uniwersytet Szczeciński, Federacja Akademii Wojskowych (Akademia Marynarki Wojennej i Lotnicza Akademia Wojskowa), Politechnika Gdańska, Politechnika Koszalińska, Uniwersytet Gdański oraz Uniwersytet Morski w Gdyni. Deklaracja zakłada m.in. doradztwo na etapie przygotowania inwestycji (rozpoznanie geologiczne, geofizyczne, oddziaływanie środowiskowe), nadzór naukowy przy ocenie merytorycznej ofert oraz w fazie budowy, eksploatację, diagnostykę i monitoring, zarządzanie morskimi farmami wiatrowymi.

Umiędzynarodowienie Łukasiewicza

WARSAWA Centrum Foresightu i Internacjonalizacji powstało przy należącej do Sieci Badawczej Łukasiewicz Instytucie Organizacji i Zarządzania w Przemśle „Orgmasz”. Celem utworzenia nowej jednostki jest wspieranie w budowaniu partnerstw, komercjalizacji wyników badań oraz przyspieszenie umiędzynarodowienia polskiej nauki poprzez zaangażowanie w europejskie granty badawcze. Udział Łukasiewicza w środkach przyznanych polskim instytucjom na B+R w Horyzoncie 2020 wynosi 3,1%. Ambicją zarządzających CFI jest podniesienie tego wskaźnika do ponad 10% do 2025 r. oraz udział 2/3 instytutów Łukasiewicza w Horyzoncie Europa (dotąd w projektach europejskich brał udział 14 z 33 instytutów). Pracami Centrum kieruje Rafael Popper, ekspert z ponad 20-letnim międzynarodowym doświadczeniem w tematyce foresightu, dyrektor Executive Education in Foresight w Manchester Institute of Innovation Research. Podczas inauguracji CFI wolę współpracy z Łukasiewiczem wyraziło 10 instytucji, m.in.: ISI Fraunhofer, University of Manchester, Science Foundation Ireland, Austria Institute of Technology.

Doktorat h.c. – prof. Richard Van Praagh

KRAKÓW Światowy autorytet w dziedzinie kardiologii i kardiologii dziecięcej otrzymał 29 listopada tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uroczystość zorganizowano w formule hybridowej. Kanadyjski uczyony stworzył powszechnie obowiązujące podwaliny współczesnej kardiopatologii wad wrodzonych serca. Od 1965 r. do



Fot. Anna Wojnar

czasu przejścia na emeryturę pracował w Children's Hospital Medical Center w Bostonie, gdzie założył unikatowy Zakład Kardiopatologii (Cardiac Registry), uchodzący za najlepsze na świecie laboratorium patologii serca. W latach 1975–2002 wszyscy kardiologowie i kardiochirurdzy dziecięcy z Krakowa odbyli szkolenie w tym zakładzie. Krakowski ośrodek leczenia wrodzonych wad serca funkcjonuje w oparciu o szkołę prof. Van Praagha.

Pierwszy patent komputerowy

LUBLIN Naukowcy z Politechniki Lubelskiej jako pierwsi w kraju opatentowali produkt komputerowy. To efekt zmiany przepisów Urzędu Patentowego RP, w wyniku której dopuszczono możliwość ochrony patentowej tego typu wynalazków, ale pod warunkiem ich powiązania z kon-



Fot. Krzysztof Krzempek



Fot. PL

kretnymi rozwiązaniami. Pomysł lubelskich inżynierów dotyczy stanu asymetrii, w jakim bateria, stanowiąca część systemu farmy fotowoltaicznej, działa z siecią elektroenergetyczną. Asymetria, która występuje, gdy napięcia w poszczególnych trzech fazach nie są sobie równe, staje się tym częstsza, im więcej farm fotowoltaicznych dołączonych jest do sieci. Zamiast przekształtników, które powodują powstawanie prądów pulsujących w magazynie energii, naukowcy z PL zaproponowali dodatkowy układ elektroniczny. Ma on moc kilku kilowatów i może zostać dołączony do już istniejącej instalacji. Jego zaletą jest to, że aktywnie tłumi prąd pulsujący, tym samym chroniąc baterię.

Nagroda dla NCBR

BRUKSELA Narodowe Centrum Badań i Rozwoju otrzymało 25 tys. euro za zajęcie II miejsca w premierowym konkursie European Innovation Procurement Awards (EUIPA). Jury doceniło „Sapera Innowacji” – strategię nowatorskich zamówień, które NCBR zastosowało do przeprowadzenia dziewięciu przedsięwzięć badawczych realizujących założenia Europejskiego Zielonego Ładu. Inicjatywy te realizowane są od grudnia 2020 roku ze środków Programu Inteligentny Rozwój. „Saper Innowacji” tworzy konkretne ramy dla uruchamianych działań, dzięki czemu strategia jest skalowalna, przejrzysta dla wykonawców, a także może zostać wykorzystana dla dowolnego portfolio projektów, których celem jest wywołanie znaczącej zmiany na rynku. Celem konkursu EUIPA jest zwrócenie uwagi na znaczenie współpracy zamawiającego z wykonawcą przy opracowywaniu i wdrażaniu innowacyjnych rozwiązań na rynek.

Tym razem chemik

KRAKÓW/OPOLE Prof. Jacek Lipok, chemik i biotechnolog z Uniwersytetu Opolskiego (na fot. pierwszy z lewej), został laureatem prestiżowej nagrody im. prof. Kazimierza Bartla. Wręczana jest co roku podczas Święta Nauk Ścisłych w Akademii Górniczo-Hutniczej na zmianę przedstawicielom matematyki, fizyki i chemii, a więc dziedzin będących w polu zainteresowania patrona nagrody – wybitnego uczonego i rektora Politechniki Lwowskiej oraz pierwszego premiera Polski po przewrocie majowym. Zainteresowania naukowe prof. Lipoka koncentrują się wokół oceny aktywności biologicznej naturalnych i syntetycznych związków chemicznych, ukierunkowanej biosyntezy modulatorów metabolizmu,



Fot. AGH

w tym leków i natraceutyków oraz analizy przebiegu procesów biokatalitycznych. Laureat jest prorektorem ds. nauki Uniwersytetu Opolskiego.

Doktorat h.c. – prof. Wojciech Radomski

KRAKÓW Specjalista w dziedzinie mostownictwa oraz badań materiałów i konstrukcji, w tym także podziemnych, otrzymał 19 listopada tytuł doktora honoris causa Politechniki Krakowskiej. Naukowiec był przez wiele lat związany z Politechniką Warszawską, gdzie kierował Instytutem Dróg i Mostów. Od ponad 40 lat współpracuje z Wydziałem Inżynierii Lądowej PK. Jest prekursorem wprowadzenia w Polsce taśm kompozytowych do wzmacniania konstrukcji oraz zastosowania w mostownictwie konstrukcyjnego betonu samozagęszczanego (tuki



Fot. AGH

Mostu Zamkowego w Rzeszowie). Brał udział w projektowaniu wielu obiektów mostowych i tunelowych, sprawował również nadzór nad ich wykonywaniem (betonowy most przez Odrę w Opolu, betonowy podwieszony Most Rędziański we Wrocławiu, betonowy most przez Wisłę w Sandomierzu). Weryfikował wiele projektów konstrukcji budowlanych („Spodek” w Katowicach).

Najbardziej prodoktorancy

WARSZAWA Uniwersytet Jagielloński oraz Instytut Podstawowych Problemów Techniki PAN to tegoroczni zwycięzcy konkursu PRODOC wyłaniającego podmioty, które stwarzają najlepsze warunki do kształcenia doktorantów. Ocenie podlegają m.in.: rekrutacja na studia doktoranckie, ich organizacja, lektoraty, stypendia, badania naukowe, wspieranie współpracy międzynarodowej, obecność przedstawicieli doktorantów w uczelnianych i instytutowych gremiach. Kolejne miejsca zajęły: Politechnika Śląska i Uniwersytet Szczeciński. Nagrodę specjalną otrzymał Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie. Wśród instytutów drugi był Instytut Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego PAN. Za najlepszego Samorząd Doktorantów uznano ex aequo Radę Doktorantów Politechniki Wrocławskiej i Samorząd Doktorantów Uniwersytetu im Adama Mickiewicza w Poznaniu. Konkurs organizuje Krajowa Reprezentacja Doktorantów.

Popularyzatorzy Nauki

WARSZAWA W 17. edycji konkursu zgłoszono prawie 80 kandydatów. Nagrodę główną otrzymał dr hab. Piotr Rzymiski z Uniwersytetu Medycznego im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu, który w odpowiedzi na pandemię COVID-19 przystępnie wyjaśnia Polakom treść publikacji naukowych dotyczących SARS-CoV-2 i przybliża wiedzę medyczną. Ponadto nagrodzono: dr Annę Łosiak z Instytutu nauk Geologicznych PAN (Naukowiec), Adama Zbyryta (Animator), 3LAB – pracownię innowacji z III LO w Gdyni (Zespół), Centrum Popularyzacji Nauki Politechniki Śląskiej (Instytucja) oraz dr. Łukasza Lamzę (Media). Za wzorcową politykę informacyjną i kontakt z mediami pozaregulaminową Nagrodę im. Tomasza Trzczińskiego przyznano Dominice Wojtysiak-Łańskiej z Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Konkurs organizują serwis Nauka w Polsce oraz Ministerstwo Edukacji i Nauki.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Aneta Adamska, Wojciech Brakowiecki, Iwona Czajkowska-Deneka, Artur Dziekański, Piotr Karwowski, Maciej Kochański, Mariusz Kopiejka, Anna Korzekwa-Józefowicz, Mateusz Lipka, Małgorzata Syrda-Słwa, Jolanta Szajb, Jacek Szymik-Kozaczko, Paweł Śpiechowicz, Anna Żmuda-Muszyńska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Fundacja 30

Akt założycielski Fundacji na rzecz Nauki Polskiej został podpisany w grudniu 1990 r. przez prof. Jana Janowskiego, ówczesnego przewodniczącego Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń (w rządzie Tadeusza Mazowieckiego), rektora AGH. Bieg formalności rejestracyjnych sprawił, że rozpoczęła ona działalność w roku 1991 i dlatego właśnie teraz obchodzimy 30-lecie jej istnienia. Po początkowych kłopotach z samookreśleniem i walkach o fundusz założycielski w wysokości 950 mld złotych (95 milionów po dewaluacji w 1995 r.), pochodzący ze środków likwidowanego Centralnego Funduszu Rozwoju Nauki i Techniki (mówi o tym dr Jan. K. Frąckowiak na str. 26), jej obecny charakter określił trzeci Zarząd stworzony jesienią 1992 r. przez prof. Macieja W. Grabskiego, prof. Mariana Grynberga i Grzegorza Krawczyka. Jeszcze w tym samym roku powstały dwa fundamentalne programy Fundacji: Nagroda FNP – wręczona po raz pierwszy w tymże 1992 r., która szybko zyskała wielki prestiż i miano „Polskiego Nobla”, oraz Stypendia dla młodych naukowców, dziś funkcjonujące pod nazwą START. O programowych początkach fundacji mówią w wywiadach dwaj członkowie jej obecnego Zarządu, profesorowie Maciej Żylicz (prezes, rozmowa na str. 20) i Włodzimierz Bolecki (wiceprezes, rozmowa na str. 33). O kapitał FNP i środki na jej działalność dbali w szczególności dwaj członkowie zarządu: najpierw Grzegorz Krawczyk, a od końca 2001 r. dr Tomasz Perkowski.

O styl działania Fundacji dbała też jej Rada. Pierwszy skład (28.12.1990 – 31.08.1991) w zasadzie nie rozpoczął działalności, ale pojawił się w niej prof. Henryk Samsonowicz, który pozostał na stanowisku do 2000 r., a w międzyczasie był jeszcze w Radzie Wydawniczej programu Monografie FNP, odciskając wyraźne piętno na działalności Fundacji. W drugiej kadencji w Radzie pojawił się, początkowo jako sekretarz, prof. Janusz Sławiński, który przez kolejne 3 kadencje kierował pracami Rady (był też w Radzie Wydawniczej Monografii FNP) i wywarł ogromny wpływ na działalność Fundacji. W 10 składach Rady pracowało 55 osób, w tym obecny prezes prof. Maciej Żylicz i wiceprezes prof. Włodzimierz Bolecki.

Forum 30

W cieniu jubileuszu Fundacji na rzecz Nauki Polskiej skromną rocznicę trzydziestolecia działalności obchodzi redakcja „Forum Akademickiego”. I to jest precyzyjne określenie, ponieważ redakcja funkcjonuje od trzydziestu lat. W latach 1991-1994 pracowaliśmy nad czasopismem „Przegląd Akademicki”, a od jesieni 1994 r. redagujemy i wydajemy „Forum Akademickie”. Przez 30 lat opublikowaliśmy 394 numery czasopisma, w tym 57 numerów „Przeglądu Akademickiego” (razem z sygnałnym numerem „0”; PA był dwutygodnikiem) w 54 zeszytach i 337 numerów „Forum Akademickiego” w 310 zeszytach.

Przez redakcję przewinęło się w tym czasie ponad 30 osób, a stale współpracowało z nami – jako autorzy czy graficy – ponad 50 osób. Najdłuższym funkcjonującym cyklem jest „Z archiwum nieuczciwości naukowej” Marka Wrońskiego (od jakiegoś czasu go nie publikujemy z powodu choroby autora). Najwięcej odcinków miał cykl „Rody uczone” Magdaleny Bajer. Autorów artykułów i informacji, przedstawicieli środowisk akademickiego, którzy na naszych łamach prezentowali swoje poglądy na sprawy nauki i szkolnictwa wyższego oraz własne lub cudze badania naukowe, było blisko tysiąc, a samych informacji i artykułów publicystycznych – tysięcy.

Gdy zaczynaliśmy wydawać PA, każdy zeszyt miał 32 strony, a wakacyjny 48 (w 1994 – 64). „Forum Akademickie” zaczęło także

Chciałbym wspomnieć o kilku „ludziach Fundacji”. Zaliczyłbym do nich prof. Tomasza Łuczaka, który w 1993 r. w wieku 30 lat został laureatem pierwszego konkursu o Stypendium dla młodych naukowców FNP, a w 1997 r. w wieku 34 lat zdobył Nagrodę Fundacji – był już wtedy profesorem (od 1994 r.), a rok później został członkiem PAN. Dziś wchodzi w skład Rady FNP. Wrażenie robi też rodzina fizyków Horodeckich. Na fundacyjnym firmamencie pojawiła się „hurtem” w 1998 r., gdy dwaj bracia Michał i Paweł w tym samym roku uzyskali Stypendium dla młodych naukowców. Dziesięć lat później Nagrodę FNP otrzymał ich ojciec Ryszard. Najmłodszy z braci, Karol, był lau-

Przez 30 lat Fundacja na rzecz Nauki Polskiej zrealizowała 86 programów (obecnie 19), które miały 12,6 tys. beneficjentów. Wnioski na konkursy FNP oceniało 6,8 tys. ekspertów. Fundacja przekazała polskiej nauce ponad 1,5 mld złotych.

reatem stypendium START w 2006 r. Warto tu wspomnieć o dwóch przedsięwzięciach FNP: Klubie Stypendystów, który realizuje Nagrodę im. Artura Rojszczaka oraz Fundacji Dyskusjach o Nauce, które odbywały się w latach 1996-2010. Łatwo znaleźć na łamach FA relacje z tych spotkań, np. w 2000 r. nosiło tytuł *Starość i młodość w nauce*, a w 2002 r. *Etyka w nauce*. Każde podsumowane było stosowną publikacją. Tradycje tych spotkań kontynuuje Polska Akademia Umiejętności w „Debatach tomaszowickich”. No i wreszcie trzeba oddać sprawiedliwość niezwykle sprawnemu i oddanemu zespołowi pracowników (w większości pań) Fundacji.

FNP miała 3 siedziby. W pierwszych latach urzędowała w Komitecie Badań Naukowych. Od 1996 r. we własnej willi na ul. Grażyny 11. Dziś ma odpowiedni do swych zadań budynek na ul. Krasickiego 20/22.

Piotr Kieraciński

od 32 stron. W 1996 powiększyliśmy się do 40 stron, by w ciągu kolejnych lat dojść do 80. W takiej objętości dostają Państwo FA już trzeci rok. Wielokrotnie zmienialiśmy layout, czyli formę graficzną, eksperymentowaliśmy także z pełnym kolorem. „Przegląd Akademicki” miał 2 winiety, a „Forum Akademickie” ma już trzecią. Autorem dwóch ostatnich jest Paweł Kaniuk, który zaprojektował też layout „Forum” i zajmuje się ich składem technicznym. Od 1998 r. jesteśmy w internecie. Na portalu forumakademickie.pl można znaleźć nie tylko bieżące informacje, ale także (w różnej formie) archiwalne numery FA.

„Przegląd Akademicki” powstał w wyniku konkursu, który ogłosił prof. Henryk Samsonowicz jako minister edukacji narodowej. Wygrał go w początku 1991 roku Piotr Krzysztof Kuty, ówczesny redaktor naczelny „Przeglądu Uniwersyteckiego KUL”. To on jest twórcą redakcji, a większość z obecnych pięciorga pracowników przyjmował do pracy.

Najwięcej miejsca powinienem poświęcić treści, tematyce artykułów, ale po prostu – czytajcie nas Państwo. Oprócz tematów które wciąż powracają, jak nierzetelność w nauce, jej finansowanie i reformy, czy w końcu – ewaluacja, wciąż pojawiają się nowe, także w tym numerze. Zapraszam do lektury.

Piotr Kieraciński

Kiedy „lamparci skok” polskiej nauki?

Finansowanie nauki i szkolnictwa wyższego było przedmiotem jednego z paneli dyskusyjnych w trakcie konferencji LUMEN. Sebastian Skuza, sekretarz stanu w Ministerstwie Finansów, a wcześniej wiceminister w resorcie nauki, podkreślił, że algorytm zapisany w Ustawie 2.0 powoduje roczny wzrost nakładów na szkolnictwo wyższe. Przyznał jednak, że jego konstrukcja odbiega od pierwotnych założeń – miała być podobna jak w przypadku obronności czy zdrowia, a więc opierać się na udziale procentowym w stosunku do PKB. Wybrano rozwiązanie, które łączy ten wskaźnik z poziomem inflacji.

– Mechanizm finansowania, który obecnie funkcjonuje, będzie bardzo korzystny dla uczelni także w dłuższej perspektywie. Przez ten algorytm są one chronione przed inflacją – przekonywał i zaapelował do środowiska akademickiego, by prowadziło starania o zwiększenie mnożnika w zakresie badań, gdyż jego zdaniem jest na to szansa.

Z przedstawionych wyliczeń wynika, że w roku 2022 kwota minimalna wynikająca z tego algorytmu wynosi 26,45 mld zł. W projekcie ustawy budżetowej zapisano jednak 27,71 mld, a więc 1,26 mld zł ponad limit wynikający z algorytmu. Jest to jednocześnie o 1,99 mld zł więcej niż w budżecie na rok 2021. – Poziom wzrostu o 7,7% powinien być zauważalny – przyznał Skuza.

– To „dobry program zachowawczy”, w dużym stopniu równoważący inflację. Najwyższa pora na „lamparci skok”. Naukowcy są już gotowi, widać to po lawinowym wzroście aplikacji o granty – odparł Zbigniew Marciniak, przewodniczący Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Przedstawiciel MF dodał, że w wyniku tegorocznej nowelizacji budżetu omawiany sektor otrzymał dodatkowo 1 mld zł, z czego 900 mln zł przekazano uczelniom. Ważnym elementem systemu są ministerialne agencje, które od tego roku rozdzielone zostały pomiędzy dwa resorty. Pozostające pod nadzorem MEiN Narodowe Centrum Nauki otrzyma w 2022 r. dotację podmiotową i celową zwiększoną o 12%, z kolei Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej dostanie o 38% więcej. – Umiejdzynarodowienie polskiej nauki, tworzenie wspólnych zespołów, realizacja wspólnych projektów to kierunek naszych działań na dalsze lata, który daje szansę na większą dynamikę rozwoju i obecność na arenie światowej. Wierzymy, że w 2022 roku nastąpi intensyfikacja tych kontaktów – mówił Wojciech Murdzek, sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji i Nauki.

Uzpełnił, że „przejęte” przez resort rozwoju i technologii Narodowe Centrum Badań i Rozwoju dostanie dotację większą o prawie 13%, zaś w przypadku Sieci Łukasiewicza planowany jest wzrost nakładów o ponad 40%, co ma dać dodatkowe środki w kwocie 170 mln zł. Z symulacji wynika, że efekty inwestycji w Łukasiewicza przekładają się na szacunkowy zwrot dla gospodarki na poziomie 2 mld zł. – Wyliczenia pokazały, że jedna złotówka subwencji daje efekt dla gospodarki w wysokości 6 zł – przyznał Murdzek. Jego ministerstwo finansuje też doktoraty wdrożeniowe, które budują zależność między nauką a gospodarką.

Zbigniew Marciniak zwrócił uwagę, że świat coraz bardziej zaczyna nam uciekać. Jego zdaniem, widać to szczególnie w dwóch obszarach. Po pierwsze kuleje innowacyjność. Polska nauka mogłaby dużo lepiej

pomagać gospodarce, gdyby miała ku temu możliwości. Rzecz w tym, że innowacje to działalność ryzykowna – część pomysłów wypali, a część nie. Przedsiębiorcy tego się boją, a w Polsce trudno o środki na badania przedwdrożeniowe, czyli z obszaru tzw. Doliny Śmierci. Innym problemem jest mała atrakcyjność sektora dla młodych ludzi. Konkurencja rynkowa powoduje, że wybierają oni każdą opcję, byle nie uczelniał. Nic dziwnego, skoro płaca minimalna stanowi dziś 47% minimalnej pensji profesora. – Będziemy mieć wkrótce odwróconą piramidę, czyli więcej profesorów niż młodych pracowników nauki. To bardzo źle wróży na przyszłość – przestrzegali Marciniak, przywołując Danię czy Austrię jako kraje, w których nakłady na badania naukowe na 1 mieszkańca są dziesięciokrotnie wyższe niż w Polsce.

W podobnym tonie wypowiadał się dr hab. Stanisław Mazur, prof. Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie i rektor tej uczelni, przewodniczący Komisji ds. Ekonomicznych KRASP. W jego ocenie zapowiadana subwencja dla uczelni IDUB zwiększona o 1% ponad to, co w ustawie, jest dalece niewystarczająca. – To są uczelnie, które mają przesądzać o zmianie technologicznej, innowacyjności polskiej gospodarki i z tego punktu widzenia środki są za małe. Za szczególnie istotną uznał dywersyfikację sposobu finansowania nauki. Pozytywnie odbiera zwłaszcza dodatkowy miliard na inwestycje zapisany w projekcie budżetu. – Ta ustawa jest racjonalnie i dobrze skrojona, ale wydaje mi się, że niewystarczająca z perspektywy potrzeb sektora – podsumował prof. Mazur, dodając, że wprowadzone rozwiązania istotnej zmiany w systemie finansowania nie spowodują. Wspomniał również o bardzo silnej presji płacowej, która jest prostym odbiciem tego, co dzieje się na rynku, a z którą rektorzy coraz częściej muszą się mierzyć.

Uczestnicy dyskusji skupili się też na zagranicznych źródłach finansowania. W Krajowym Planie Odbudowy na szkolnictwo wyższe, naukę oraz badania i rozwój zapisano 1,46 mld euro, w tym 400 mln na nowoczesne kształcenie zawodowe i rozwój e-kompetencji, 375 mln na instytut Łukasiewicza, prawie 200 mln na kształcenie w obszarze ochrony zdrowia. S. Skuza zachęcał uczelnie do ubiegania się o granty unijne, które w kontekście ewaluacji mają dużą wartość. W. Murdzek wspominał, że jego resort poszukuje rozwiązań, które zwiększą partycypację w środkach zewnętrznych, np. w Horyzoncie Europa, gdzie w perspektywie siedmiu lat dostępnych jest ogółem ponad 90 mld euro. – Nie jesteśmy do końca usatysfakcjonowani z wysokości pozyskanych przez naukę polską środków w poprzednim programie Horyzont 2020. Musimy powalczyć o więcej, dlatego chcemy, aby nasi naukowcy licznie uczestniczyli w dużych międzynarodowych projektach – mówił min. Murdzek. Dodał, że w ministerstwie trwają właśnie prace nad nowym elementem do kolejnej ewaluacji: oceną uczelni i instytutów pod względem zdolności do transferu wiedzy i technologii. Przyznał też, że większą dynamikę w tym obszarze spowodują zmiany w ustawie o innowacyjności, o których rozmawia z Ministerstwem Rozwoju.

– Brakuje „sprzęgła” między maszyną badań, która kręci się coraz szybciej, a gospodarką – skonstatował Z. Marciniak.

MK

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2022 r.

Szanowni Państwo,

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2022 roku. Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł. Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Studia w czasach zarazy

Wpływ pandemii COVID-19 na życie środowiska akademickiego jest dewastujący. Zdalne kształcenie, pustoszące kampusy, odwołane konferencje, wstrzymywane mobilności, a przede wszystkim niepewność, utrudniająca planowanie zarówno indywidualnej aktywności naukowej, jak i zbiorowej organizacji spraw uczelni czy instytutów. W tych warunkach integracja i współdziałanie całego środowiska nabiera szczególnego znaczenia. Z tego przekonania zrodził się w ubiegłym roku pomysł ustanowienia grupy koordynatorów regionalnych KRASP, którzy na bieżąco zbieraliby i analizowali dane na temat sytuacji pandemicznej w uczelniach, wymieniali informacje pomiędzy środowiskiem, samorządem studenckim a Ministerstwem Edukacji i Nauki oraz innymi instytucjami publicznymi zaangażowanymi w walkę z pandemią. Powołany w tych celach zespół koordynatorów KRASP stał się w praktyce także stałym forum dyskusji środowiskowej dotyczącej działań podejmowanych przez uczelnie w obliczu zagrożenia epidemicznego.

Podstawą działania zespołu są cotygodniowo zbierane dane na temat stanu zakażeń i kwarantann, trybu kształcenia, ognisk pandemii w domach studenckich, istotnych decyzji podejmowanych przez władze poszczególnych uczelni oraz dostrzeganych przez nie problemach. Wyłaniający się z nich obraz sytuacji stanowi ważny punkt odniesienia, dzięki któremu decyzje podejmowane przez uczelnie, a także polityka MEiN mają szansę opierać się na względnie dokładnej znajomości faktów, a dzięki temu być znacznie bardziej racjonalne. Pozwoliło to ograniczyć ryzyko niespójności i nieskoordynowania reakcji i decyzji poszczególnych – autonomicznych w końcu – wspólnot uczelni. Bieżący monitoring pozwolił m.in. sfalsyfikować artykułowane przed rozpoczęciem roku akademickiego 2021/2022 obawy o to, czy uczelnie nie staną się – obok szkół – jednym z głównych rozsadników zakażeń w jesienno-zimowej fali pandemii. Ze spływających danych wynika, że poziom zagrożenia zakażeniem w środowisku akademickim pozostaje istotnie niższy niż w całej populacji kraju.

W okresie największego wzrostu zakażeń – w listopadzie i grudniu – łączna liczba zakażeń tygodniowo sięgała 1600-1700 przypadków wśród studentów oraz 1250-1350 wśród pracowników. Odniesienie tych liczb do ok. 1,4 mln populacji studentów, doktorantów i pracowników uczelni w Polsce wskazuje, że w środowisku akademickich dochodzi do zakażeń rzadziej niż wśród ogółu Polaków. Liczba ta jest przy tym wielokrotnie niższa wśród studentów niż wśród pracowników. Wynika to zapewne w jakiejś mierze z niedokładności pomiaru. W monitoringu nie biorą udziału wszystkie uczelnie w kraju, pewna (niewielka) liczba studentów i pracowników nie jest w tych danych uwzględniona. Ponadto studenci, jako osoby stosunkowo młode i przeciętnie zdrowsze, zapewne częściej przechodzą infekcje bezobjawowo. Jednakże nawet przy uwzględnieniu tych okoliczności nie wydaje się, by istniało wysokie zagrożenie w kształceniu prowadzonym kontaktowo, a takie w tym okresie odbywało się na znacznej większości kierunków. To efekt wyższego niż średnia dla ogółu Polaków odsetka osób zaszczepionych, nieco przynajmniej wyższego poziomu świadomości co do zasad bezpieczeństwa sanitarnego, a także trudniejszych warunków namnażania się wirusa wśród osób stosunkowo młodych o nieosłabionej odporności. Dane te są silnym argumentem przeciwko zawieszaniu zajęć kontaktowych na uczelniach.

Trudno zatem się dziwić, że zdecydowana większość szkół wyższych i kierunków pozostaje przy systemie hybrydowym. Tymczasowe lub punktowe przechodzenie na kształcenie zdalne stanowi raczej reakcję na pojawiające się sytuacje szczególnego zagrożenia

niż podstawowy środek mający stanowić systemowe zapobieżenie rozprzestrzenianiu się pandemii. Nie odbiega to zresztą od sytuacji w innych krajach.

Jedną sprawą jest jednak obiektywny poziom zagrożenia, a inną subiektywne poczucie członków wspólnot uczelni. Każdy bowiem zna w swoim środowisku osoby, które uległy zakażeniu lub słyszał o takich przypadkach. Tworzy to atmosferę obaw przed udziałem w zajęciach, a także podejrzeń, że władze uczelni „lekcważą” stwarzane przez nie zagrożenie. Co przy tym istotne, w większości krajów europejskich wstęp na uczelnie ograniczony jest jedynie do osób zaszczepionych, okazujących aktualny test lub mających status ozdrowieńca (tzw. zasada 3G lub jej jeszcze bardziej rygorystyczne odmiany). Brak takiej możliwości w polskich uczelniach nie tylko nie pomaga dodatkowo obniżyć rzeczywistego poziomu zakażeń, lecz dodatkowo przyczynia się do wzrostu subiektywnego poczucia zagrożenia osób przebywających na kampusie. Nawet znacznie ostrożniejsze kroki, jak próby wprowadzania zasady 3R jako warunku kwaterowania w domach studenckich lub kierowania na praktyki do oczekujących tego pracodawców, spotkały się ze zdecydowanym protestem i wysypem oskarżeń o segregację, dyskryminację, bezprawie etc.

Zespół koordynatorów KRASP ds. przeciwdziałania COVID-19 współpracuje z Parlamentem Studentów RP w organizowanej przez środowiska studenckie ogólnopolskiej akcji „Tygodnia Szczepień”. Jednakże doświadczenie innych krajów wskazuje w sposób wyraźny, że bez wprowadzenia znacznie silniejszych mechanizmów motywujących do poddania się szczepieniu same akcje perswazyjne napotykały na pewien naturalny limit skuteczności. Wsparciu wysiłków na rzecz skutecznego przekonywania do szczepień tych członków społeczności akademickiej, których przekonanie jest jeszcze możliwe, służyła także ankieta przeprowadzona w środowisku, której celem było oszacowanie, w jakim stopniu poszczególnego rodzaju argumenty odgrywają rolę w decyzjach o poddaniu się lub odmowie poddania się szczepieniu. Wskazuje ona, że najistotniejszą rolę odegrały w nich przekonania na temat realnego poziomu zagrożenia COVID-19, skuteczności szczepionki oraz związku pomiędzy zaszczepieniem a bezpieczeństwem innych. Zdecydowanie mniejsze znaczenie miały kwestie bezpieczeństwa szczepionki, dostępu do punktów szczepień czy odczuwanego wpływu otoczenia.

W poprzednim roku akademickim współpraca PSRP z koordynatorami KRASP umożliwiła stworzenie szansy odbycia przez dużą liczbę studentów w całej Polsce praktyk w instytucjach najintensywniej zaangażowanych wówczas w walkę z pandemią, w tym przede wszystkim NFZ. Miało to pomóc zarazem tym instytucjom, jak i studentom w zaliczeniu obowiązkowej praktyki przed zakończeniem studiów w sytuacji, gdy większość podmiotów, w których miały być one odbywane, zawiesiło lub znacząco ograniczyło swoją działalność. Przede wszystkim jednak miały być – i były – dla nas wszystkich lekcją solidarności społecznej w obliczu zagrożenia, prawdziwym wcieleniem w życie owej słynnej „trzeciej misji” uczelni – zaangażowanej społecznie i zdolnej do oddziaływania na otoczenie tym, co ma najlepsze. Przy wszystkich tragicznych skutkach pandemii ujawniła ona także ogromne pokłady odpowiedzialności i kooperatywności środowiska akademickiego. To także jest ważna lekcja płynąca z ostatnich kilkunastu miesięcy.

prof. Tomasz Pietrzykowski,
koordynator krajowy KRASP ds. COVID-19

ABC ewaluacji: sprawdź się sam

17 stycznia 2022 r. rozpoczyna się nowy proces ewaluacji działalności naukowej, która pomaga ocenić stopień realizacji polityki naukowej państwa. Jej efektem ma być przyznanie dyscyplinom w danym podmiocie kategorii naukowych A+, A, B+, B, C. Od wyników ewaluacji zależą także uprawnienia do prowadzenia studiów, szkół doktorskich, nadawania stopni i tytułów oraz subwencja przyznawana z budżetu państwa. Sprawa jest więc bardzo ważna, dlatego Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy opracował nowoczesne narzędzia informatyczne, które ułatwiają całą procedurę oraz pomagają zoptymalizować osiągnięty rezultat. Aktualna ewaluacja obejmuje dane za okres od 2017 do 2021 roku.

2017 versus 2022

Obowiązek udziału w ewaluacji dotyczy uczelni akademickiej, federacji, instytutu PAN oraz instytutu międzynarodowego. Ewaluacja może zostać także przeprowadzona „na wniosek” w: uczelni zawodowej, instytucji badawczej oraz innym podmiocie prowadzącym głównie działalność naukową w sposób samodzielny i ciągły, posiadającym siedzibę na terytorium Polski. Wniosek o przeprowadzenie ewaluacji składa się w terminie do 30 września ostatniego roku objętego ewaluacją. W ewaluowanym podmiocie musi być zatrudnionych co najmniej 12 pracowników prowadzących działalność naukową w danej dyscyplinie (w przeliczeniu na pełny wymiar czasu pracy związanej z prowadzeniem działalności naukowej w tej dyscyplinie). W przeciwieństwie do procesu z 2017 roku, gdy ewaluowano jednostki naukowe, obecnie działalność naukowa oceniana będzie w danym podmiocie w ramach dyscyplin naukowych lub artystycznych. To zasadnicza zmiana. W 2022 roku ocenie podlegają indywidualne osiągnięcia wszystkich pracowników prowadzących działalność naukową w dyscyplinie jako zespołu. Ewaluowana jednostka nie może już wybrać tylko kilku osób, które mają na swoim koncie najlepsze osiągnięcia. Temu celowi służy także wyznaczenie limitu publikacji przekazywanych do oceny przez pojedynczego pracownika, który określa przysługujące do wypełnienia sloty publikacyjne. Używane potocznie pojęcie „slot” odnosi się do limitów publikacyjnych, jakie przypadają na osobę prowadzącą działalność naukową. Należy zwrócić uwagę, że liczba slotów zależy od: udziału w zadeklarowanej przez pracownika dyscyplinie w poszczególnych latach objętych ewaluacją; wymiaru etatu w ewaluowanym okresie oraz okresu zatrudnienia.

Zgodnie z tymi założeniami na renomę dyscypliny wpływa praca wszystkich prowadzących działalność naukową, a ocena jest odzwierciedleniem potencjału naukowego podmiotu w danej dyscyplinie. W efekcie wprowadzenia limitów, duża liczba dobrze punktowanych publikacji jednego autora nie będzie mogła rekompensować braku osiągnięć pozostałych naukowców. W nowym systemie zwiększa się znaczenie artykułów publikowanych w czasopiśmie o największej renomie na świecie. Uwzględnianie tylko najlepszych publikacji poszczególnych badaczy ma zachęcić wszystkich do prowadzenia prac naukowych na możliwie najwyższym poziomie i publikowania ich wyników w prestiżowych czasopiśmie lub w monografiach wydawanych przez wydawnictwa o najwyższych standardach wydawniczych i naukowych.

Trzy kryteria oceny

W najnowszym procesie Ministerstwo Edukacji i Nauki wprowadziło nowe zasady, które mają na celu przeprowadzenie ewaluacji w sposób jak najbardziej rzetelny i porównywalny. Ważne, aby oceny jakości działalności naukowej podmiotu nie utożsamiać z oceną poszczególnych naukowców. To dwa różne procesy. Nowe zasady ewaluacyjne zakładają mieszany model oceny: połączenie systemu parametrycznego z eksperckim. Do kryteriów opartych na wskaźnikach bibliometrycznych (kryterium I) i finansowych (kryterium II) dołączono kryterium III oparte na ocenie krajowych i zagranicznych ekspertów.

Kryterium I odnosi się do poziomu naukowego lub artystycznego prowadzonej działalności. Ocenie podlegają: osiągnięcia publikacyjne pracowników ewaluowanego podmiotu zarejestrowane w Profilu Instytucji PBN w ramach systemu POL-on 2.0 (osiągnięcia zarejestrowane wyłącznie w Profilu Autora nie podlegają ewaluacji); udzielone podmiotowi patenty na wynalazki, prawa ochronne na wzór użytkowy, wyłączne prawa hodowcy do odmiany roślin, wykazane w module Patenty i prawa ochronne w POL-on 2.0; osiągnięcia artystyczne zarejestrowane w module Osiągnięcia artystyczne w POL-on 2.0.

Kryterium II odnosi się do efektów finansowych badań naukowych i prac rozwojowych. Ocenie podlega wysokość środków finansowych w okresie objętym ewaluacją; przyznanych podmiotowi na realizację projektów obejmujących badania naukowe lub prace rozwojowe; otrzymanych przez podmiot za usługi badawcze świadczone na zlecenie podmiotów spoza sektora szkolnictwa wyższego i nauki; uzyskanych w procesie komercjalizacji wyników badań naukowych lub prac rozwojowych.

Wysokość środków finansowych przyznanych podmiotowi na realizację badań naukowych znajduje się w POL-on 2.0 w module Projekty naukowe. Natomiast wysokość środków finansowych uzyskanych przez podmiot w wyniku komercjalizacji wyników badań naukowych lub prac rozwojowych oceniana jest na podstawie danych wprowadzonych w module Dane finansowe instytucji. Kryterium II nie stosuje się w ocenie dyscyplin artystycznych.

Kryterium III odnosi się do wpływu działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki. Ocenie podlegają opisy udowodnionych związków między wynikami badań naukowych, prac rozwojowych lub twórczości artystycznej a rozwojem cywilizacyjnym społeczeństwa, widocznym w szczególności w gospodarce, ochronie zdrowia, ochronie środowiska naturalnego, bezpieczeństwem i obronnością państwa. Można zgłosić do oceny wpływ społeczny wyników działalności naukowej prowadzonej zarówno w okresie podlegającym ewaluacji, jak też wcześniejszym, jeżeli dowody tego wpływu powstały w okresie objętym ewaluacją. W tym drugim przypadku działalność naukowa powinna zostać zakończona nie wcześniej niż w dwudziestym roku poprzedzającym pierwszy rok objęty ewaluacją (tj. 1 stycznia 1997 roku). Dane do oceny wpływu są pobierane z modułu Instytucje w systemie POL-on 2.0 oraz z systemu STUDNIA.

Algorytm optymalizacyjny

Podstawą prawną dla optymalizacji wyników jest rozporządzenie z 22 lutego 2019 r. w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej z późniejszymi zmianami. Wprowadza ono algorytm optymalizacyjny,

SEDN W LICZBACH



300

Liczba ewaluowanych podmiotów

110 956

Liczba osób ewaluowanych w SEDN

575 213

Liczba publikacji

10 345

Liczba praw ochronnych

20 147

Liczba osiągnięć artystycznych

14 130

Liczba projektów badawczych

3 474

Liczba wpisów z kwotami przychodów z komercjalizacji

59 902

Liczba wpisów z kwotami przychodów z usług badawczych świadczonych na zlecenie

który opracowali eksperci z OPI PIB. Uwzględnia on wszystkie ograniczenia wynikające z rozporządzenia w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej. Na podstawie informacji wprowadzonych do systemu POL-on, algorytm dokonuje wyboru takich osiągnięć, które dadzą najwyższy możliwy wynik w ewaluacji. Chcąc sprawdzić wszystkie możliwe kombinacje udziałów, otrzymujemy olbrzymią liczbę prawdopodobnych zestawień osiągnięć. W największych podmioto-dyscyplinach mamy ponad 1000 autorów z liczbą udziałów pojedynczego autora dochodzącą nawet do 500.

Aby wesprzeć wszystkie podmioty, które podlegają ewaluacji, OPI PIB zorganizował cykl warsztatów oraz udostępnił bezpłatnie narzędzie – ewaluator, które służy do sprawdzenia, czy wybrany zestaw danych wraz z oznaczonymi wybranymi udziałami spełnia wszystkie limity osiągnięć dla podmiotu i pracowników. Pozwala też zweryfikować poprawność działania algorytmów optymalizujących, opra-

cowanych przez ewaluowane podmioty. Narzędzie w postaci aplikacji java uruchamiane jest lokalnie z linii poleceń z określonymi argumentami w postaci plików csv. Można korzystać z tej aplikacji używając danych testowych (można je pobrać z dedykowanej strony) lub na własnych odpowiednio przygotowanych danych. Ewaluator podaje wynik punktowy oraz raport z uwzględnionych ograniczeń ewaluacyjnych. OPI PIB udostępnił także dokładny opis struktury danych wejściowych oraz dane testowe w formie pliku zip. Zanonimizowano je dla 18 podmioto-dyscyplin o różnej liczbie udziałów.

Ze strony pomocy SEDN można pobrać wszystkie materiały dotyczące ewaluatora. OPI udostępnił też nagrania, w którym eksperci wyjaśniają jego działanie. Każdy może skorzystać z bezpłatnych kursów e-learningowych na portalu NAVOICA.

Sławomir Rybka, OPI PIB

Informatyczne narzędzia ewaluacji

Marek Michajłowicz, zastępca dyrektora ds. rozwoju oprogramowania w Ośrodku Przetwarzania Informacji – Państwowym Instytucie Badawczym, przekonuje, że rozwiązania informatyczne wspomagające ewaluację są nie tylko przygotowane lepiej niż poprzednim razem, ale także przyjaźniejsze dla użytkowników.

Uczestniczyłem we wdrażaniu narzędzi informatycznych wspierających proces ewaluacji w 2017 roku, a obecnie jestem odpowiedzialny za jego koordynację. Gdy poprzednio do ostatniej chwili wprowadzane były zmiany legislacyjne, wydawało nam się, że z perspektywy narzędzi informatycznych proces ten jest praktycznie niemożliwy. Ekspert OPI PIB nie mieli wystarczająco dużo czasu na zaprojektowanie odpowiedniej architektury informatycznej, a struktury danych oraz kluczowe założenia potrzebne do realizacji tego skomplikowanego przedsięwzięcia były nam przekazywane do samego końca. Wtedy cały proces opierał się na czterech aplikacjach, w tym na specjalnie opracowanej tzw. ankiecie jednostki. Takie rozwiązania zostały bezpośrednio narzucone poprzez zapisy prawa. Systemy POL-on oraz PBN w założeniu miały być od 2015 roku na gruncie legislacyjnym przygotowane do zbierania danych na potrzeby ewaluacji. W praktyce tylko około 70% danych było spójnych z tym zakresem. Spowodowało to duże problemy z ich wykorzystaniem w ankiecie. Proces wypełniania był żmudny i czasochłonny, a także wymagał odpowiednich kadr, które realizowały procedurę w jednostkach naukowych.

Nowa ustawa zawężyła zakres informacji zbieranych w POL-on i wyeliminowała ankietę jako etap pośredni. Cała procedura stała się łatwiejsza i bardziej transparentna. Aplikacja SEDN nie jest już „czarną skrzynką”, do której ewaluowana jednostka nie ma dostępu. Pełni ona rolę kluczowej aplikacji do sterowania całością procesu, dając podmiotom odpowiednie narzędzia do przygotowania optymalnego zestawu osiągnięć. Z poziomu użytkownika widoczne są najważniejsze funkcje. Poprzez udostępnienie od listopada 2020 roku wersji demo (bazującej na danych produkcyjnych), symulujemy dzień po dniu warunki, w jakich odbędzie się faktyczna ewaluacja. Narzędzia informatyczne do najbliższej ewaluacji zostały już oddane do użytku. W razie potrzeby będziemy wprowadzać odpowiednie modyfikacje. Jesteśmy przekonani, że ten system będzie wspierał w przyszłości każdy kolejny proces oceny.

Prowadzimy w OPI PIB badania narzędzi informatycznych, które wspierają ewaluację w innych krajach. Jak się okazuje, w Polsce mamy

do czynienia z najbardziej skomplikowanym i rozbudowanym systemem. Zagraniczne systemy do zarządzania dorobkiem naukowym cechują się większym usieciowaniem różnego typu aplikacji i repozytoriów lokalnych oraz powiązaniem ich z międzynarodowymi bazami bibliometrycznymi. Również zmierzamy w tym kierunku. Dzięki temu, że w Polskiej Bibliografii Naukowej mamy ponad 80 tys. kont zintegrowanych z międzynarodową bazą ORCID, zwiększyła się widoczność polskich autorów w bazach międzynarodowych, a także możliwe stało się wykorzystanie indywidualnych profili naukowców do różnych procesów, chociażby wnioskowania o granty lub na potrzeby kolejnych ewaluacji. Wykorzystujemy również zasoby bazy Web of Science jako zbiór referencyjny. System będzie z pewnością zmierzał w kierunku zwiększenia interoperacyjności w wymiarze międzynarodowym. Kolejnym potwierdzeniem tego trendu jest wzrost integracji z systemami uczelnianymi poprzez maszynowe interfejsy wymiany danych, tzw. API. To ten sam kierunek, jaki wytyczyliśmy w przypadku integracji z systemem POL-on oraz JSA.

Polecam wszystkim zainteresowanym stroną aplikacji SEDN, gdzie od kilku miesięcy prezentujemy globalne statystyki dotyczące ewaluacji. Nie jest wymagane logowanie ani posiadanie odpowiedniego profilu. Urochomiliśmy również specjalną aplikację, która umożliwia weryfikację danych poszczególnych instytucji. Każda jednostka może dzięki temu porównać zaawansowanie procesu ewaluacji z innymi podmiotami oraz uzyskać informację, ile pracy zostało jeszcze do wykonania, aby zakończyć proces ewaluacji.

Zachęcam, aby nie czekać na ostatni moment z rozpoczęciem prac i nie myśleć kategoriami z ostatniej ewaluacji. Teraz konieczne jest prowadzenie działań w sposób ciągły. Dane są automatycznie przesyłane do aplikacji SEDN. To nie jest już uzupełnianie formularza zbierającego informacje za konkretny okres.

Ekspert OPI PIB służy pomocą wszystkim zainteresowanym. W 2021 roku zrealizowaliśmy 147 szkoleń on-line, w których wzięło udział ponad 15 tys. osób, a także przeprowadziliśmy wspólnie z MEiN dwie konferencje dla ponad 2 tys. uczestników.



Modni naukowcy 2020

czyli o nowej edycji tzw. listy TOP 2% (ze względu na indeks c)

W tekście *Modni naukowcy 2019*, opublikowanym w styczniowym numerze „Forum Akademickiego”, przeanalizowałem opracowany przez J.P.A Ioannidisa, K.W. Boyacka i J. Baasa wykaz autorów o najwyższych złożonych indeksach cytowań (indeks c) bazujący na cytowaniach z roku 2019. Ponieważ 19 października br. udostępniono (Baas, Jeroen; Boyack, Kevin; Ioannidis, John P.A. (2021), *August 2021 data-update for „Updated science-wide author databases of standardized citation indicators”*, Mendeley Data, V3, doi: 10.17632/btchxktyw.3) zaktualizowane zbiory danych, więc przyjrzymy się teraz, czy i jak zmienił się ten (tym razem obejmujący rok 2020) wykaz.

Do omawianego wykazu w tym rok trafiło 190 063 autorów (spośród ponad 8,5 mln z dorobkiem co najmniej 5 prac indeksowanych w bazie Scopus), których indeks c (z uwzględnieniem autocytoowań lub bez nich) mieści się w 100 tys. najwyższych lub w górnych 2% w jednej ze 175 poddyscyplin. Oznacza to wzrost o ponad 17,7% w stosunku do ubiegłego roku (Tab. 1).

Autorów z polską afiliacją jest w tegorocznym zestawieniu 1027, czyli 0,54%. Warto odnotować, że w zeszłym roku było ich zdecydowanie mniej, bo 774, co stanowiło 0,48% (Tab. 2).

W trzech dyscyplinach: Visual & Performing Arts, Built Environment & Design i Public Health & Health Services nie ma ani jednego autora z polską afiliacją, w zeszłym roku brakowało naszych przedstawicieli jedynie w Philosophy & Theology i Public Health & Health Services. Tym razem filozofię i teologię reprezentuje Konrad Szocik z Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania z siedzibą w Rzeszowie (pierwsza poddyscyplina Aerospace & Aeronautics; pierwsza indeksowana w bazie Scopus publikacja z roku 2014), a jedynaczką w Histori-

cal Studies jest, obecna także w zeszlórocznym wykazie, Ewa Domańska z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Najmocniej reprezentowani jesteśmy w chemii (1,24%) oraz fizyce i astronomii (1,06%), a najwyższy wzrost w stosunku do zeszłego roku ma miejsce w dyscyplinach filozofia i teologia (o 0,24%) oraz rolnictwo, rybołówstwo i leśnictwo (o 0,2%).

Najwyższe indeksy c (bez autocytoowań 5,4395, z autocytoowaniami 5,4814) posiada, tak jak przed rokiem, Zhong Lin Wang z Georgia Institute of Technology. Drugi jest Georg Kresse z Universität Wien (dyscyplina Physics & Astronomy, pierwsza poddyscyplina Applied Physics; w zeszłym roku odpowiednio drugi i trzeci), a trzeci Yoshua Bengio z Montreal Institute for Learning Algorithms (dyscyplina Information & Communication Technologies, pierwsza poddyscyplina Artificial Intelligence & Image Processing; awans z miejsc czwartego i piątego), jeden z laureatów Nagrody Turinga – nazywanej informatyczną Nagrodą Nobla – z 2018 roku, zaliczany do grona pionierów sztucznej inteligencji i głębokiego uczenia maszynowego. Indeks c bez autocytoowań powyżej 5 posiada 26 naukowców (w tym 12 z USA oraz po 3 z Kanady i Wielkiej Brytanii; reprezentują oni przede wszystkim Clinical Medicine (7 osób), Information & Communication Technologies (5), Physics & Astronomy (4) i Psychology & Cognitive Sciences (3)), a z autocytoowaniami 24; w zeszłym roku było ich odpowiednio 19 i 21.

Z kolei najniższe indeksy u osób z tegorocznego wykazu to 0 (!) w pierwszym przypadku i 1,5754 w drugim. Pierwszy z indeksów nieprzekraczający 2 ma 727 osób, a drugi 303. W tej pierwszej grupie jest 7 autorów (3 z Rosji i po 2 z Indii i RPA) z indeksem poniżej 1, w tym Johann Beukes z University of the Free State (dyscyplina Philosophy

Tabela 1.

Nazwa dyscypliny	Liczba przypisanych do dyscypliny autorów (z dorobkiem co najmniej 5 prac)	Liczba autorów w bazie reprezentujących dyscyplinę	Odsetek autorów w danej dyscyplinie znajdujących się w bazie
Unassigned	2 307		
Visual & Performing Arts	6 282	110	0,0175
Philosophy & Theology	21 911	414	0,0189
Historical Studies	38 389	808	0,021
Communication & Textual Studies	38 528	835	0,0217
Built Environment & Design	44 627	1 037	0,0232
Mathematics & Statistics	107 389	2 461	0,0229
Psychology & Cognitive Sciences	109 012	4 128	0,0379
Economics & Business	157 811	5 506	0,0349
Social Sciences	174 577	4 725	0,0271
Public Health & Health Services	200 091	4 128	0,0206
Earth & Environmental Sciences	283 147	7 028	0,0248
Agriculture, Fisheries & Forestry	292 542	5 864	0,02
Biology	307 570	7 800	0,0254
Information & Communication Technologies	570 025	11 404	0,02
Chemistry	620 384	13 331	0,0215
Engineering	686 549	14 665	0,0214
Biomedical Research	715 274	15 101	0,0211
Enabling & Strategic Technologies	750 537	16 646	0,0222
Physics & Astronomy	757 378	17 195	0,0227
Clinical Medicine	2 663 561	56 877	0,0214
TOTAL	8 547 891	190 063	0,0222

Nazwa dyscypliny	Liczba autorów z polską afiliacją 2020	Odsetek autorów z polską afiliacją wśród wszystkich z danej dyscypliny, uwzględnionych w bazie 2020	Liczba autorów z polską afiliacją 2019	Odsetek autorów z polską afiliacją wśród wszystkich z danej dyscypliny, uwzględnionych w bazie 2019
Visual & Performing Arts	0	0	1	0,012
Philosophy & Theology	1	0,0024	0	0
Historical Studies	1	0,0012	2	0,003
Communication & Textual Studies	2	0,0024	1	0,0015
Built Environment & Design	0	0	2	0,0022
Mathematics & Statistics	17	0,0069	16	0,0074
Psychology & Cognitive Sciences	11	0,0027	5	0,0012
Economics & Business	5	0,0009	4	0,0007
Social Sciences	4	0,0008	5	0,0012
Public Health & Health Services	0	0	0	0
Earth & Environmental Sciences	28	0,004	20	0,003
Agriculture, Fisheries & Forestry	57	0,0097	39	0,0077
Biology	37	0,0047	26	0,0037
Information & Communication Technologies	65	0,0057	52	0,0052
Chemistry	165	0,0124	125	0,0113
Engineering	128	0,0087	103	0,0081
Biomedical Research	36	0,0024	23	0,0018
Enabling & Strategic Technologies	115	0,0069	90	0,0067
Physics & Astronomy	182	0,0106	143	0,0098
Clinical Medicine	173	0,003	117	0,0025
TOTAL	1027	0,0054	774	0,0048

& Theology, pierwsza poddyscyplina Religions & Theology), którego wszystkie cytowania w roku 2020 były autocytowaniami (dało mu to drugi indeks 2,4517 i w efekcie aż 40. pozycję wśród 7982 autorów w swojej poddyscyplinie; podczas gdy bez autocytowań sklasyfikowany jest z indeksem 0 na miejscu 5530 w poddyscyplinie i 7 658 440 ogółem).

W tym roku 434 autorom (poprzednio było ich 240) wystarczyło mniej niż 5 lat od daty publikacji pierwszej pracy, aby trafić do wykazu. Aż 375 z nich, czyli ponad 86%, reprezentuje jedynie 6 dyscyplin: Clinical Medicine (93), Information & Communication Technologies (70), Enabling & Strategic Technologies (62), Physics & Astronomy (53), Engineering (50) i Chemistry (47). Ciekawa jest też analiza ich afiliacji, gdzie liderem są Chiny (111), zdecydowanie wyprzedzające USA (49), Indie (35) i Iran (25). Z Wielkiej Brytanii jest 20 autorów, ale inne naukowe potęgi, takie jak Niemcy (6), Francja (3) czy Japonia (1), mają mniejsze reprezentacje niż np. Turcja (16), Wietnam (12), Pakistan (11), Egipt (9), Etiopia (9), Irak (8) i Malezja (7). Z Polski w tym zestawieniu są dwie osoby: reprezentujący dyscyplinę Engineering Krzysztof Przystupa z Politechniki Lubelskiej i, tak jak przed rokiem, Mohammad Malikan z Politechniki Gdańskiej. Pierwszy z nich ma pierwszą indeksowaną publikację z 2018 roku, drugi z 2017.

Nieco zaskakująca może być konstatacja, że 9 osób opublikowało swoje pierwsze prace w roku 2020, jeśli jednak przyjrzemy się sprawie dokładniej, to poza jednym wyjątkiem są to przedstawiciele dyscypliny Clinical Medicine, z których 3 ma afiliacje szpitali w Wuhan. Tylko 3 prace Nanshana Chena z Wuhan Jinyintan Hospital były cytowane w roku 2020 w blisko 10 tys. indeksowanych w bazie Scopus publikacjach.

Na koniec tego wątku zauważmy jeszcze, że z tych 434 autorów aż 67 (w tym jeden z polską afiliacją) zawdzięcza obecność w wykazie przede wszystkim autocytowaniom, które przekraczają w każdym przypadku połowę wszystkich cytowań. To 15,44%, podczas gdy

w całym wykazie jest znacznie mniej, bo 0,64% takich osób (jest ich dokładnie 1209, w tym aż 41 – tj. 3,39 % – z polską afiliacją).

Autorem z polską afiliacją o najwyższych obu indeksach c (wynoszących odpowiednio 4,328 i 4,3503, co daje mu miejsca odpowiednio 535 i 525), jest Witold Pedrycz z Instytutu Badań Systemowych PAN, od ponad 30 lat pracujący w Kanadzie (ostatnio na University of Alberta). Jego 1388 prac (żaden autor z polską afiliacją nie ma ich więcej) było cytowanych w roku 2020 łącznie 6606 razy w 4494 różnych publikacjach, a jego jednoroczny (za 2020) indeks Hirscha to 34. W poddyscyplinie Artificial Intelligence & Image Processing, reprezentowanej przez 253 359 autorów, powyższe indeksy dały pozycje odpowiednio 29 i 25. Indeksy c (bez autocytowań lub z nimi) powyżej 4 mają jeszcze tylko emerytowany prof. Freie Universität Berlin Ralf Schwarzer z Uniwersytetu SWPS, zajmujący miejsca 19 i 21 w reprezentowanej przez 55 837 autorów poddyscyplinie Public Health i, jak przed rokiem, zmarły w 2006 roku Zdzisław Pawlak, który w poddyscyplinie Artificial Intelligence & Image Processing znajduje się na miejscach 86 i 89.

50 uczonych z polską afiliacją plasuje się w tym roku (w zeszłym było ich 40) w pierwszych setkach swoich pierwszych poddyscyplin utworzonych na podstawie indeksu c bez autocytowań; w przypadku indeksu z autocytowaniami jest ich w nich 60 (było 44). W obu pierwszych dziesiątkach ponownie znajdują się Harald Walach (dwa drugie miejsca – **były trzeci i drugi** – w poddyscyplinie Complementary & Alternative Medicine, uwzględniającej 11 649 autorów) i Antoni Rogalski (dwa drugie – awans z trzecich – miejsca w poddyscyplinie Optoelectronics & Photonics, reprezentowanej przez 108 280 autorów). Na miejscach szóstym i siódmym (w poddyscyplinie Anatomy & Morphology uwzględniającej 6647 autorów) uplasował się jeszcze Marios Loukas z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, który chyba nie jest już zatrudniony na tej uczelni, natomiast od ponad 15 lat pracuje w Grenadzie (na St. George's University).

Wśród wspomnianych 50 autorów z Polski najwięcej jest pracowników Polskiej Akademii Nauk (6) oraz Akademii Górniczo-Hutniczej, Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Warszawskiego (po 3). Z kolei najliczniej reprezentowanymi poddyscyplinami są Anatomy & Morphology (6 autorów), Legal & Forensic Medicine (4) oraz Analytical Chemistry i Mathematical Physics (po 3). Co ciekawe, w całym wykazie na 148 autorów przypisanych do pierwszej z nich aż 10 (ok. 6,76%) ma polskie afiliacje, co jest trzecim wynikiem po USA (56) i Wielkiej Brytanii (18).

Skład pierwszej dziesiątki najliczniej reprezentowanych w wykazie polskich uczelni nie uległ zmianie od zeszłego roku, choć nastąpiły pewne przetasowania na poszczególnych pozycjach tego zestawienia (w szczególności politechniki z Warszawy i Wrocławia zamieniły się miejscami, a Politechnika Śląska awansowała z 10. na 7. miejsce). Oto dokładne dane (w nawiasach podane są dla porównania ubiegłoroczne):

- Uniwersytet Jagielloński – 71 (49) osób (w tym 28 (16) przypisanych do Collegium Medicum),

- Uniwersytet Warszawski – 53 (43) (w tym 5 (3) przypisanych do CeNT, 2 (2) do Instytutu Informatyki, 4 (2) do CNBCh i 1 do ICM),
- Akademia Górniczo-Hutnicza – 50 (38),
- Politechnika Wrocławska – 41 (30),
- Politechnika Warszawska – 34 (34),
- Politechnika Poznańska – 32 (26),
- Politechnika Śląska – 32 (19),
- Uniwersytet im. Adama Mickiewicza – 30 (23),
- Politechnika Gdańska – 28 (26),
- Politechnika Łódzka – 25 (21).

Najliczniejszą reprezentację, tak jak w ubiegłym roku, posiada Polska Akademia Nauk, której nazwa pojawia się przy nazwiskach 134 (96) autorów. Oznacza to wzrost w stosunku do zeszłorocznego zestawienia o blisko 40%. Z wymienionych wyżej uczelni większy wzrost odnotowały jedynie Uniwersytet Jagielloński (prawie 45%) i, przede wszystkim, Politechnika Śląska (ponad 68%).

Krzysztof Ciepliński, Akademia Górniczo-Hutnicza

HCR 2021 – więcej niż dziewięciu Polaków

Amerykańska firma Clarivate Analytics, która jest właścicielem bazy Web of Science (dawniej tzw. Lista filadelfijska), ogłasza co roku listę najczęściej cytowanych naukowców – Highly Cited Researchers. Podstawą do jej sporządzenia jest WoS, w przeciwieństwie do tzw. Listy Top 2% najczęściej cytowanych naukowców, której podstawą są dane ze Scopus – bazy referencyjnej holenderskiej firmy Elsevier. Między oboma zestawieniami jest ważna różnica. HCR jest oficjalnym przedsięwzięciem Clarivate Analytics. Lista Top 2% to w gruncie rzeczy artykuł podpisany trzema nazwiskami (przed dwoma laty – czterema), w tym jednego pracownika Elseviera, ale znana jest pod nazwiskiem amerykańskiego badacza pochodzenia greckiego Johna P.A. Ioannidisa z Uniwersytetu Stanforda. Bywa przypisywana Uniwersytetowi Stanforda lub firmie Elsevier, a UJ opisał ją jako „Ranking – opracowywany przez Uniwersytet Stanforda we współpracy z wydawnictwem Elsevier i firmą SciTech Strategies”, choć żadna z tych instytucji formalnie nie firmuje przedsięwzięcia. Tomasz Psonka z Elseviera w rozmowie ze mną określił je jako „środowiskowe” i ta interpretacja chyba jest najbliższa prawdy.

W tym roku pod nazwą HCR 2021 opublikowano listę 6602 badaczy, którzy w WoS w latach 2010-2020 znaleźli się w gronie autorów 1% najczęściej cytowanych artykułów (co to znaczy, to osobny temat, którego w tym artykule nie podejmuję). Już tylko to pokazuje, że jest to lista bardziej „prestżowa” (o ile w ogóle takie określenie pasuje do rankingów czy zestawień tego rodzaju) od tzw. Listy Top 2%, na której znajdują się nazwiska ponad 190 tys. badaczy (jakie 2% bierzemy pod uwagę to kwestia metodologii, której tu nie analizuję). W tak liczonym gronie reprezentacja polskich badaczy jest z natury większa niż w gronie HCR. Zapewne tym należy tłumaczyć większą popularność w Polsce Listy Top 2% niż listy HCR. Wiele uczelni może się pochwalic grupą „badaczy należących do światowej czołówki”. W jednostkach PAN jest ich 134. Uniwersytet Jagielloński ma ich w Top 2% aż 71 (w HCR tylko 1), Uniwersytet Warszawski – 53, a AGH – 50. Także

mniejsze uniwersytety znajdują w tym gronie „swoich”: Uniwersytet Gdański chwali się 6 badaczami w tym zestawieniu, podobnie Uniwersytet Zielonogórski, a Uniwersytet w Białymstoku – 4 (szczegółową analizę tego zestawienia za rok 2020, bo Lista Top 2% to... dwie listy, przedstawia Krzysztof Ciepliński na str. 14).

Całkiem inaczej przedstawia się ten pejzaż w przypadku listy Clarivate Analytics Highly Cited Researchers. W 2021 roku znalazło się na niej – wbrew temu co napisano w wielu komunikatach prasowych – **9 badaczy z polskich instytucji naukowych**, w tym dwóch obco-krajowców afiliowanych w Polsce i trzech (dwóch Polaków i Belg), którzy polskie instytucje podali jako drugie afiliacje. **Prof. Atanas G. Atanasow** z Bułgarii pracuje w Instytucie Genetyki i Biotechnologii Zwierząt PAN w Magdalence, ale jako drugą afiliację podał Uniwersytet Wiedeński. **Prof. Vicentiu D. Radulescu**, matematyk rumuński pochodzenia, od trzech lat jest związany z Akademią Górniczo-Hutniczą w Krakowie. Pracuje w Katedrze Analizy Matematycznej, Matematyki Obliczeniowej i Metod Probabilistycznych na Wydziale Matematyki Stosowanej AGH. Jako drugą afiliację podał Uniwersytet w Krajowej w Rumunii. Na liście HCR znalazł się czwarty raz. W 2020 r. reprezentował Uniwersytet Króla Abdulaziza z Arabii Saudyjskiej, a jako drugą afiliację podawał UKR; w 2019 r. był przedstawicielem Chińskiego Uniwersytetu Nauk Elektronicznych i Technologii (UKR jako druga afiliacja), a w 2014 r. na liście HCR reprezentował UKA w Arabii Saudyjskiej, na drugim miejscu podając Instytut Matematyki im. Simiona Stoilowa Akademii Rumuńskiej. **Prof. Hazem M. Kalaji** z Katedry Fizjologii Roślin na Wydziale Rolnictwa i Biologii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie niegdyś przyjechał do Polski na studia na SGGW, tu się ożenił i pozostał na macierzystej uczelni jako wykładowca, ma polskie obywatelstwo i mówi po polsku. Na listę HCR trafił po raz trzeci. W 2020 r. reprezentował SGGW, w 2019 jako pierwszą afiliację podał Uniwersytet Króla Abdulaziza z Arabii Saudyjskiej, a SGGW jako drugą.

Po raz trzeci trafił na listę HCR nieżyjący już **prof. Jacek Namieśnik**, chemik, były rektor Politechniki Gdańskiej. Zawsze podawał jedną afiliację – Politechnikę Gdańską. **Prof. Piotr Rutkowski**, szef Klinki Nowotworów Tkanek Miękkich Kości i Czerniaków Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – Państwowego Instytutu Badawczego, odnotowany jest na liście HCR w zakresie

Nasi sąsiedzi z Europy Środkowo-Wschodniej oraz regionu Morza Bałtyckiego w gronie autorów najwyższej cytowanych artykułów: Dania – 55, Szwecja – 49, Norwegia – 24, Finlandia – 20, Czechy – 10, Słowacja – 4, Węgry – 3, Estonia i Litwa – po 2, Rumunia i Słowenia – po 1.

medycyny klinicznej po raz pierwszy i podaje tylko jedną afiliację zawodową. Szóstym przedstawicielem polskich instytucji naukowych jest **prof. Piotr Ponikowski**, rektor Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu, przedstawiciel medycyny klinicznej, który w prestiżowym zestawieniu najczęściej cytowanych naukowców świata znalazł się po raz siódmy w rzędzie. Nie zdarzyło się to wcześniej żadnemu badaczowi afiliowanemu w Polsce.

Trzeba jeszcze wymienić trzech badaczy, którzy polskie instytucje wskazały jako drugie afiliacje. Dwaj są Polakami. To profesorowie **Krzysztof Matyjaszewski**, chemik z Carnegie Mellon University (USA), który jako drugą afiliacją podał Polską Akademię Nauk (związany jest częściami etatów z Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN oraz Politechniką Łódzką, gdzie niegdyś rozpoczął studia chemiczne) oraz **Tomasz Guzik**, który jako pierwszą afiliację podał Uniwersytet w Glasgow w Wielkiej Brytanii, a jako drugą swój macierzysty Uniwersytet Jagielloński. Obaj są laureatami Nagrody FNP. Ponadto belgijski mikrobiolog i biochemik **prof. Jaco Vangronsveld** z Uniwersytetu w Hasselt jako drugą afiliację podał Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Dodam jeszcze, że w HCR 2021 pojawił się też Jesse A. Poland z Uniwersytetu Stanowego w Kansas, ale jego związki z Polską są nie do udowodnienia.

Na liście HCR 2021 są też Polacy afiliowani w zagranicznych instytucjach. Niełatwo ich odnaleźć wśród sześciu tysięcy nazwisk. Oto kilka przykładów. **Prof. Andrzej Cichocki**, absolwent Politechniki Warszawskiej, gdzie uzyskał profesurę w 1995 roku, od wielu lat związany z japońskim laboratorium RIKEN, jako główną afiliację podał Skoltech, czyli ulokowany w Moskwie Skolkovo Institute of Science and Technology – rosyjskie przedsięwzięcie amerykańskiego MIT. **Prof. Lidia Morawska**, absolwentka UJ, także od lat pracuje za granicą – w australijskim Uniwersytecie Technologicznym w Queensland. Ostatnio kierowała międzynarodową grupą naukowców, która badała rolę drogi kropelkowej w rozprzestrzenianiu się wirusa SARS-CoV-2. Na podstawie tych prac WHO przygotowała zalecenia sanitarno-epidemiologiczne do zwalczania epidemii. W tym roku jej nazwisko zna-

lazło się na liście 100 najbardziej wpływowych ludzi na świecie sporządzonej przez „Time”. **Prof. Bartosz Chmielowski** jest absolwentem Akademii Medycznej we Wrocławiu. Po studiach i stażu w kraju wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Pracował w Instytucie Medycyny Molekularnej i Genetyki w Medical College of Georgia, gdzie obronił doktorat. Następnie przeniósł się do Los Angeles, aby robić specjalizację z Hematologii i Onkologii klinicznej na Uniwersytecie Kalifornijskim. Tam do dziś zajmuje się badaniami klinicznymi i leczeniem pacjentów z zaawansowanym czerniakiem oraz innymi nowotworami skóry i mięsakami. Koncentruje się na rozwoju nowych form terapii celowanych i immunologicznych. Kto wie, czy nie najmłodszą badaczką na liście HCR 2021 jest dr **Justyna Godoś**, absolwentka biochemii na UJ z 2015 roku. W czasie studiów wyjechała na Erasmusa na Uniwersytet w Katanii na Sycylii, gdzie w 2019 r. uzyskała doktorat. Jej badania koncentrują się na wpływie czynników żywieniowych na zdrowie człowieka, a kluczowym obszarem jej zainteresowań jest epidemiologia żywieniowa. Dr Godoś bada korzyści zdrowotne diety śródziemnomorskiej oraz żywności i napojów zawierających polifenole. Zajmuje się też zależnościami między dietą a zdrowiem psychicznym. Na liście HCR znalazła się po raz pierwszy w 2020 r., reprezentując IRCCS Oasi Maria SS – to stowarzyszenie, zajmujące się badaniami nad starzeniem się mózgu i chorobami neurodegeneracyjnymi, mające status Narodowego Instytutu Badawczego – ulokowane w Troinie na Sycylii. Obecnie reprezentuje na liście HCR Uniwersytet Króla Sauda w Arabii Saudyjskiej oraz Uniwersytet w Katanii. Niemal 40% badaczy (2622), którzy trafili na tegoroczną listę HCR pracuje w Stanach Zjednoczonych. Na drugim miejscu (po raz pierwszy) są badacze z Chin (935, 14,2%), a na trzecim ze Zjednoczonego Królestwa (492, 7,5%). Miejsca 4. i 5. zajmują Australia (322, 5%) i Niemcy (331, 5%). Kolejne należą do naukowców z Holandii (207, 3,1%), Kanady (196, 3%), Francji (146, 2,2%), Hiszpanii (109, 1,7%) i Szwajcarii (102, 1,5%).

Piotr Kieraciński

HCR 2014-2020

Reprezentanci polskich instytucji naukowych trafiali na listę HCR również w latach 2014-2020.

Rok 2014 – 4 naukowców podających polskie afiliacje naukowe:

Andrzej Budaj, medycyna kliniczna, Szpital Grochowski; Michał Tendera, medycyna kliniczna, Śląski Uniwersytet Medyczny; Jerzy Falandysz, ekologia/środowisko, Uniwersytet Gdański; Jurek (zachowujemy oryginalną pisownię imienia z listy HCR) Krzesiński, nauki kosmiczne, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie.

Rok 2015 – 4 naukowców podających polskie afiliacje naukowe:

Andrzej Budaj, medycyna kliniczna, Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego; Piotr Ponikowski, medycyna kliniczna, Akademia Medyczna we Wrocławiu; Michał Tendera (j.w.); Jurek Krzesiński (j.w.).

Rok 2016 – 5 naukowców podających polskie afiliacje naukowe:

Andrzej Budaj (j.w.); Piotr Ponikowski (j.w.); Michał Tendera (j.w.); Andrzej Skowron, nauki komputerowe, Uniwersytet Warszawski; Jurek Krzesiński (j.w.).

Rok 2017 – 5 naukowców podających polskie afiliacje naukowe:

Andrzej Budaj (j.w.); Piotr Ponikowski (j.w.); Michał Tendera (j.w.); Adam Torbicki, medycyna kliniczna, CMKP; Andrzej Skowron (j.w.).

Rok 2018 – 6 naukowców podających polskie afiliacje naukowe:

Andrzej Budaj, medycyna kliniczna, Warszawski Uniwersytet Medyczny; Dariusz Dudek, medycyna kliniczna, Uniwersytet Jagielloński; Piotr Ponikowski (j.w.); Michał Tendera (j.w.); Andrzej Torbicki (j.w.); Jolanta Lissowska, badania międzyobszarowe (Cross Field), Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie.

Rok 2019 – 6 naukowców podających polskie afiliacje naukowe:

Piotr Ponikowski (j.w.); Michał Tendera (j.w.); Adam Torbicki (j.w.); Jacek Namieśnik, badania międzyobszarowe, Politechnika Gdańska; Jaco Vangronsveld, badania międzyobszarowe, Uniwersytet w Hasselt i Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie; Hazem M. Kalaji, nauki rolnicze, Uniwersytet Króla Abdulazara (Arabia Saudyjska) i Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego. W tym roku po raz pierwszy pojawia się na liście HCR Amerykanin Jesse A. Poland z Uniwersytetu Stanowego w Kansas, zajmujący się genetyką roślin.

Rok 2020 – 6 naukowców podających polskie afiliacje naukowe:

Krzysztof Matyjaszewski, chemia, Uniwersytet Carnegie Mellon, Polska Akademia Nauk; Piotr Ponikowski, medycyna kliniczna, Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu; Adam Torbicki, medycyna kliniczna, Warszawski Uniwersytet Medyczny; Jacek Namieśnik (j.w.); Jaco Vangronsveld (j.w.); Hazem M. Kalaji, nauki rolnicze, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego. Jest też na liście Jesse A. Poland.

Medycyna kliniczna jest najczęściej reprezentowaną dyscypliną przez badaczy z polskimi afiliacjami, Polaków po prostu. W latach 2014-2020 wystąpiła na liście HCR 22 razy, a w 2021 r. 2 razy, czyli razem – dwudziestoczwierokrotnie.

Najwięcej razy znalazł się w tym zestawieniu prof. Piotr Ponikowski – 7 razy, prof. Michał Tendera – 6 razy, a prof. Andrzej Budaj – 5 razy.

(p)

Świętość dyplomu i obrona prawdy, czyli jak bronić się przed falsyfikatami

„...nie z żądzy zysku i nie dla próżnej chwały, ale w celu odkrywania i upowszechnienia prawdy – największego skarbu ludzkości”. Ten piękny fragment przysięgi, którą świeżo dyplomowani doktorzy wypowiadają po łacinie, mówi o czymś, co w nauce jest najważniejsze. O prawdzie. Zakładając biret doktorski, zobowiązujemy się odkrywać ją i głosić. Powinniśmy jednak pamiętać także o jej obronie.

Dyplom to akademicka świętość. Formalne zwieńczenie lat wysiłku pod okiem mistrzów. Wydawałoby się – rzecz unikatowa, tak jak i człowiek nim wyróżniony. Żyjemy jednak w czasach, w których bez trudu można nabyć falsyfikat dyplomu ukończenia studiów czy świadectwa ukończenia studiów podyplomowych. I to – o ironio – w sposób legalny. Mowa o, zjawisku dokumentów kolekcjonerskich imitujących te autentyczne. Serwisy aukcyjne przepelnione są ofertami dowodów osobistych, praw jazdy czy również dyplomów – możliwych do wystawienia na dowolnego posiadacza. I co zdumiewające, możemy taki dokument kupić nie łamiąc prawa. Nielegalne staje się dopiero posługiwanie się nim. Koszt kolekcjonerskiego dyplomu to około 1000 zł.

Tymczasem za cenę wielokrotnie niższą uczelnie mogłyby zagwarantować swoim absolwentom poświadczenie autentyczności dyplomów o bezbłędnej skuteczności. I to nie tylko uczelnie kształcące na kierunkach bezpieczeństwo wewnętrzne, bezpieczeństwo narodowe czy bezpieczeństwo międzynarodowe – będących jednymi z najchętniej wybieranych i wręcz domagającymi się, przez wzgląd na swój profil, dostępu do najlepszych technologii z zakresu cyberbezpieczeństwa. Rozwiązaniem dostępnym dla placówek edukacyjnych z uczelniami na czele, oferującym zabezpieczenie tej rangi dokumentów co dyplomy, świadectwa czy certyfikaty, jest przedstawiona mi do recenzji technologia cDiploma firmy

Veriori. Rozwiązanie to wyprzedza o lata świetlne wszelkie próby fizycznego zabezpieczenia dyplomów, jak hologramy czy znaki wodne. Opiera się bowiem na zaawansowanym szyfrowaniu i technologii blockchain. Dyplom lub świadectwo zabezpieczone przez cDiploma zostają opatrzone specjalnym kodem, który po zeskanowaniu przez przeznaczoną do tego aplikację potwierdza w 100% autentyczność dokumentu. W praktyce rzecz mogłaby wyglądać następująco: absolwent przedkłada swój dyplom pracodawcy, ten zaś przy pomocy aplikacji może w mgnieniu oka uzyskać gwarancję, że oto nie ma do czynienia z „kolekcjonerem”, lecz z człowiekiem prawdziwie wykształconym.

Wydaje się, że polskie uczelnie coraz chętniej spoglądają w kierunku tego rodzaju technologii i powoli zaczynają je wdrażać, szczególnie że systemy te odpowiadają na wiele ich potrzeb. Rozwiązanie cDiploma nie przetwarza danych w sposób wymagający zachowania procedury RODO (a zatem nie podlega uciążliwej biurokracji) i jest systemem „lekkim”, tzn. jego wymagania pamięciowe i transferowe są w istocie nieodczuwalne dla systemu IT uczelni (szkoła nie musi więc inwestować w większe serwery czy szybszy transfer). Pobieranie kompletnego pliku z dyplomem/świadectwem, a następnie umieszczanie w blockchain może być o tyle ryzykowne, że w przypadku włamania się do systemu intruz zyskuje dostęp do całego pliku oraz wszystkich zawartych w nim informacji. W technologii cDiploma pobie-



Adam Zemełka – psycholog społeczny i historyk kultury, ekspert w zakresie neuromarketingu, menedżer edukacji. Wieloletni wykładowca oraz dyrektor uczelni poznańskich oraz warszawskich. Podwójnie doktoryzowany (w zakresie nauk o zdrowiu oraz nauk społecznych). Autor książek i artykułów związanych z historią i współczesnością neuronauki. Popularyzator psychologii oraz profilaktyki w ochronie zdrowia psychicznego.

rane są wyłącznie selektywne dane z pliku (nie zaś cały dokument), następnie poddawane są szyfrowaniu i umieszczane w blockchain. Gdyby włamywacz zdołał dostać się do systemu, zyska dostęp jedynie do szyfrów (a nie dokumentu), których choćby był pracownikiem białoruskiego KGB, nie zdoła rozkodować (posiadają bowiem najwyższą kompatybilność wyłącznie z systemem Veriori).

Zabezpieczenia cyfrowe dyplomów i świadectw są również o tyle ważne, że pozwalają na dostęp do dokumentu i poświadczenia jego autentyczności z najdalszych zakątków świata. Dotyczy to zarówno studentów polskich, jak i ponad 80 tysięcy obcokrajowców studiujących w naszym kraju. Zwłaszcza dla studentów zza wschodniej granicy powinno to być ważne z tego powodu, że zdarza się, iż padają ofiarami nieuczciwych praktyk – jak choćby wystawianie przez jedną z poznańskich uczelni niepublicznych certyfikatów zamiast dyplomów, o czym w 2018 r. informował serwis money.pl (M. Madejski, *Tajemnicza uczelnia z Poznania. Zamiast dyplomów certyfikaty*, money.pl, data publikacji: 15.10.2018).

Naturalnym pytaniem, jakie zada każdy manager uczelni, jest kwestia kosztu. Powiedzmy więc wprost – sposób finansowania nasuwa się sam i mógłby stanowić zaledwie ułamek opłaty za dyplom, jaką uiszczają studenci. Skoro bowiem finalizując proces kształcenia, student dokonuje opłaty w wysokości około 100 zł, byłoby uczciwym, gdyby dokument, za którego fizyczną postać płaci, był niemożliwy lub chociażby trudny do podrobienia. Można powiedzieć więcej – student ma prawo oczekiwać, że dołożymy wszelkich starań, by świętość, jaką jest dyplom, został należycie zabezpieczony. Jeżeli całkowite uniemożliwienie sfalszowania dyplomu czy świadec-



cDiploma Chroń dyplom przed podrobieniem!

Niezawodne narzędzie do wdrażania, weryfikacji oraz zabezpieczania dokumentów.

Unikalny Crypto QR kod uniemożliwia fałszowanie dyplomów oraz posługiwanie się nimi przez osoby nieuprawnione.

Łatwa integracja

Możliwość integracji z dowolnym systemem dziekanatowym, LMS, Microsoft Office.

Dedykowana aplikacja

Prosta weryfikacja autentyczności dyplomu przez darmową aplikację mobilną.



Dowiedz się więcej na:
www.veriori.com, business@veriori.com
+48 221 885 291

two opatrzonego kodem cDiploma to koszt zaledwie mniejszej części opłaty za dyplom – wydaje się, że nie ma na co czekać. Warto wyróżnić się najwyższej klasy technologią. W obronie prawdy, czyli wartości w świecie nauki najwyższej.

KRePUZ o kształceniu lekarzy

Prezydium Konferencji Rektorów Publicznych Uczelni Zawodowych wyraziło poparcie dla rozwiązań legislacyjnych, umożliwiających uruchomienie w tych placówkach kształcenia na kierunku lekarskim.

W liście otwartym rektorzy przekonują, że dotychczasowy system kształcenia przygotowującego do wykonywania zawodu lekarza nie zapewnia wystarczającej liczby odpowiednio wykształconych absolwentów. W efekcie Polska ma jeden z najniższych w Unii Europejskiej wskaźników zatrudnienia lekarzy. Z wynikiem 2,4 praktykujących medyków na 1000 mieszkańców plasujemy się na szarym końcu wśród członków UE. Średnia dla całej wspólnoty wynosi 3,8. Z myślą o poprawieniu wartości tego wskaźnika resorty Zdrowia oraz Edukacji i Nauki poszukują nowych rozwiązań, które w niedalekiej przyszłości mają zwiększyć liczbę absolwentów kierunków medycznych, przy jednoczesnym zachowaniu wysokiego poziomu merytorycznego kształcenia.

Odpowiadając na to zapotrzebowanie, rektorzy PUZ-ów zadeklarowali gotowość do uruchomienia kierunku lekarskiego na wybranych uczelniach tego typu. „Program studiów na wszystkich uczelniach, bez względu na fakt, czy są to uniwersytety medyczne, czy publiczne uczelnie zawodowe, musi obejmować realizację wszystkich efektów uczenia się określonych w standardach. Wymagania stawiane studentom muszą być wszędzie takie same, bez względu na typ uczelni, na którym kierunek ten jest realizowany. W kształceniu lekarzy ogromne znaczenie ma wyposażenie absolwentów w umiejętności praktyczne, bazujące na aktualnej wiedzy i najnowszych dokonaniach naukowych. Tak samo od wielu lat w publicznych uczelniach zawodowych prowadzone jest i weryfikowane kształcenie na innych kierunkach medycznych, takich jak: pielęgniarstwo, położnictwo, fizjoterapia czy ratownictwo medyczne” – piszą rektorzy w liście otwartym.

Kształceniem lekarzy zajmuje się w Polsce 21 uczelni, w tym 18 publicznych (uniwersytety medyczne i uniwersytety) i 3 niepubliczne (akademickie). Wyższe szkoły zawodowe skupiały się jak dotąd na kierunkach pielęgniarstwa i ratownictwie medycznym. Pod tym kątem większość z nich powiększała w ostatnich latach swoje zaplecze szkoleniowe, otwierając m.in. centra symulacji medycznych. Jeszcze dalej poszła PWSZ w Chełmie, która za 32 mln zł buduje właśnie nową siedzibę Instytutu Nauk Medycznych. Według zapewnień władz uczelni ma to być najnowocześniejszy ośrodek kształcący, obok pielęgniarstwa i pielęgniarki, także ratowników medycznych, położne i położniczek oraz... lekarzy. Studia dla tych ostatnich będzie można uruchomić dzięki nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

Propozycja ta wyzwoiliła niezrozumiały, zdaniem autorów apelu, atak środowisk medycznych, którego celem stało się deprecjonowanie roli publicznych uczelni zawodowych w systemie szkolnictwa wyższego i jakości prowadzonych przez nie studiów.

„Doceniamy działalność i poziom kształcenia na wszystkich uczelniach prowadzących kierunki lekarskie oraz podchodzimy do tych uczelni z szacunkiem. Takiego samego szacunku oczekujemy w stosunku do naszych uczelni [które są] elementem polskiego systemu szkolnictwa wyższego już prawie ćwierć wieku” – czytamy w stanowisku Prezydium KRePUZ.

Jak zaznaczono, absolwenci publicznych uczelni zawodowych, ze względu na znacznie większą liczbę zajęć praktycznych i dłuższe praktyki zawodowe, są lepiej przygotowani do wejścia na rynek pracy. Mając to wszystko na uwadze, rektorzy zwrócili się z apelem do środowiska medycznego o zaprzestanie szkalowania i docenienie roli, jaką pełnią kierowane przez nich placówki.

Mariusz Karwowski

Prof. Marcin Gruchała, rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego i przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych, przekonuje, że nie ma potrzeby, aby lekarzy kształciły także uczelnie zawodowe i wskazuje na zagrożenia, jakie niesie ze sobą takie rozwiązanie.

Mamy 21 uczelni, które prowadzą kształcenie na kierunku lekarskim, a niedługo dojdą kolejne. To są uniwersytety, a same studia mają charakter ogólnoakademicki. Z dużym niepokojem przyjmuję rozwiązanie prawne, które umożliwi prowadzenie kierunku lekarskiego przez uczelnie zawodowe, które kształcą na profilu praktycznym. Lekarz pełni taką rolę jak pilot w samolocie, on nadaje kierunek procesowi diagnostycznemu i terapeutycznemu, któremu poddawany jest pacjent. Wszystko odbywa się w zespołach multidyscyplinarnych, gdzie lekarz współpracuje ze specjalistami z innych zawodów medycznych, jak pielęgniarki, fizjoterapeuci czy dietetycy. Te wszystkie zawody są niezwykle ważne, nawet jeśli kształcenie na tych kierunkach odbywa się na profilu praktycznym. Lekarz jednak, poza posiadaniem aktualnej wiedzy merytorycznej i odpowiednich umiejętności, dla dobra pacjenta musi nadążać za zmianami, które zachodzą w wiedzy medycznej oraz odróżniać wartościową wiedzę medyczną, potwierdzoną w badaniach klinicznych od tej niewartościowej, fakty od pseudofaktów, których przecież nie brakuje. Szczególnie teraz, w czasie pandemii, doświadczamy zalewu różnych poglądów pseudomedycznych. Nie wyobrażam sobie kształcenia lekarzy poza środowiskiem, w którym prowadzi się intensywne badania w zakresie nauk medycznych. Uważam, że środowisko, które nie jest związane z badaniami klinicznymi oraz nie dysponuje solidnym zapleczem klinicznym, nie jest zdolne do wykształcenia w pełni kompetentnego lekarza, któremu z zaufaniem oddamy swoje zdrowie i życie, tak jak oddajemy swoje życie w ręce pilota, który prowadzi samolot.



Fot. Sylwia Mierzevska UKK

Stworzenie nowoczesnego szpitala klinicznego nie jest ani tanie, ani szybkie. Mimo naszych inwestycji w bazę kliniczną nie jesteśmy w stanie zapewnić wszystkim studentom dostępu do wszystkich specjalności leczniczych. Konieczne jest zatem pozyskiwanie zewnętrznej bazy szpitalnej dla kształcenia lekarzy. Kliniki mają określoną „pojemność” i nie mogą przyjąć większej liczby studentów, bo to po prostu zdezorganizuje ich pracę. Szpital musi mieć miejsce i kadre, aby obsługiwać kształcących się. Musimy stworzyć odpowiedni system zachęt dla szpitali do współpracy z uczelniami, aby chciały i mogły uczestniczyć w kształceniu przyszłych lekarzy. Rozumiem, że oczekują z tego tytułu jakiejś rekompensaty, środków na realizację kształcenia. To kilkudziesiąt czy kilkaset osób, które przebywają w szpitalu, wchodzi w interakcję z lekarzami i pacjentami, absorbują personel szpitala, korzystają z infrastruktury, ze środków ochrony osobistej. Uczelnie nie stać na pełną rekompensatę tych kosztów. Postulujemy do Ministerstwa Zdrowia o stworzenie regulacji dla tzw. szpitali kształcących, aby mogły otrzymywać dodatkowe środki za udział w procesie kształcenia lekarzy.

Już teraz uczelnie medyczne mają problem z pozyskaniem kadry o odpowiednich kompetencjach, w pełnym wachlarzu specjalności lekarskich, ale także specjalistów z zakresu kształcenia przedklinicznego, a zatem anatomów człowieka, fizjologów i patofizjologów. Nie każdy biolog posiada wiedzę dotyczącą specyficznego człowieka, a zwłaszcza zmian związanych z chorobami. Obecnie konkurujemy o specjalistyczną kadre z uczelniami, które uruchamiają kierunki medyczne i ta konkurencja będzie jeszcze ostrzejsza. Rektorzy wyrażają zgodę na pracę na kilku uczelniach z pełną świadomością, że bra-

kuje nam specjalistów, ale także, że to się odbija na jakości kształcenia. Dodatkowo, bardzo niski poziom wynagrodzeń nauczycieli akademickich powoduje istotny odpływ kadry z uczelni, zwłaszcza lekarzy klinicystów, do bardziej atrakcyjnej pracy w podmiotach leczniczych.

Nie chcę powiedzieć, że uczelnie zawodowe nie gwarantują dobrej jakości kształcenia. Robią to świetnie w takich zawodach jak pielęgniarstwo i ratownictwo medyczne. Jaki jednak jest sens otwierania kierunków lekarskich na uczelniach zawodowych, podczas gdy uczelnie medyczne mogłyby przyjąć więcej studentów polskojęzycznych, nawet kosztem ograniczenia liczby studentów anglojęzycznych, pod warunkiem przekazania środków na pokrycie kosztów tego kształcenia? Nie widzę żadnego sensu w poszerzaniu możliwości kształcenia lekarzy o uczelnie zawodowe. W Gdańskim Uniwersytecie Medycznym na lekarские studia anglojęzyczne przyjęliśmy w tym roku około 170 studentów. Gdybyśmy otrzymali zlecenie od Ministerstwa Zdrowia oraz środki na pokrycie kosztów, moglibyśmy przyjąć tylko 50 obcokrajowców, a pułk 120 dodatkowych miejsc zostawić na kształcenie Polaków. Powtarzam, to tylko kwestia przekierowania odpowiednich środków. Tyle można zrobić natychmiast, bez inwestowania w infrastrukturę i kadre.

Studia medyczne, a lekarские w szczególności, należą do trudniejszych. Uczelnie medyczne stawiają wysoko poprzeczkę kandydatom. Przyjmując maturzystę na studia, chcemy, aby miał szansę na ich ukończeniu. Przyjmiecie osoby bez odpowiedniego przygotowania nie rokuje sprostania wymaganiom, które student będzie musiał udźwignąć podczas studiów. Nie brakuje nam mądrych, zdolnych maturzystów. Ważne, żebyśmy mogli im zaproponować odpowiednie, atrakcyjne warunki kształcenia i rozwoju, a potem konkurencyjną ofertę pracy. Wszystkie te elementy trochę szwankują.

Otwarcie kształcenia lekarzy na uczelnie zawodowe może zagrozić utrzymaniu międzynarodowych akredytacji. W interesie naszych studentów leży to, abyśmy spełniali warunki określone w dyrektywie unijnej dotyczącej kształcenia lekarzy, bo jeśli tego nie będziemy robili, dyplomy polskich uczelni stracą ważność w Unii Europejskiej. Ponadto akredytacje międzynarodowe, a zwłaszcza powszechnie uznawana akredytacja amerykańska, sprawiają, że nasze dyplomy są uznawane na całym świecie. Jeśli w ocenie całego systemu kształcenia medycznego w danym kraju znajdzie się jeden słaby punkt, który nie będzie spełniał wymogów, akredytację tracą wszyscy, także instytucje, które realizują najwyższe standardy. Posiadanie akredytacji determinuje, czy w przyszłości absolwenci mogą rozpatrywać jako opcję podjęcie pracy za granicą. Nie chodzi tylko o wyjazd na stałe. Nasi lekarze często jeżdżą za granicę choćby po to, żeby podnieść kwalifikacje i zdobyć nowe umiejętności. Obniżanie jakości kształcenia – a do tego może doprowadzić otwarcie kierunków lekarskich w uczelniach zawodowych – uderzy w całą polską medycynę. Do tej pory kształcenie lekarzy miało zagwarantowaną akademicką jakość kształcenia. Odejście od tego może się okazać bardzo szkodliwe, a powrót do najwyższych standardów nie będzie łatwy i szybki.

Notował Piotr Kieraciński

Nie palcie komitetów

Prof. Marek Kosmulski, chemik z Politechniki Lubelskiej, przekonuje, że powinniśmy wziąć czynny udział w zachodzącej na naszych oczach „rewolucji publikacyjnej”.

W latach siedemdziesiątych Jacek Kuroń nawoływał, by zamiast palić komitety, zakładać własne. Sentencja ta znakomicie pasuje do rozgrywającej się na naszych oczach rewolucji w dziedzinie publikowania artykułów i wydawania czasopism naukowych. Mamy do wyboru: narzekać i dowodzić naszej moralnej wyższości nad naukowcami, którzy poszli z duchem czasu, lub wziąć aktywny udział w tych zmianach i wyciąć jak największy kawałek tortu dla siebie, swojej uczelni i całej polskiej nauki (a przy okazji dla gospodarki). Polska jest zbyt małym graczem, by ustanawiać zasady, ale może na zachodzących zmianach wiele zyskać (bo do stracenia mamy niewiele).

Aby udowodnić, że mamy do czynienia z prawdziwą rewolucją, podaję kilka liczb, nie twierdząc, że zmiany pokazane w tabeli są największe lub najważniejsze. Porównuję prace opublikowane w roku 1978 (data mojego pierwszego artykułu w czasopiśmie z listy, którą parę lat potem ochrzczono filadelfijską) i w roku 2020 (tekst ten piszę w 2021, który się jeszcze nie skończył). Dane liczbowe pochodzą z WoS(R).

Skupmy się na spektakularnym wzroście popularności publikacji gold open access (w tym tekście określanych jako OA); już dziś stanowią one ponad połowę wszystkich polskich publikacji. Nie chodzi tu wyłącznie o publikacje w „draieżnych” czasopismach wydawanych przez „draieżnych” wydawców, wiele polskich artykułów z 2020 roku w czasopismach Elseviera i Springer'a też ukazało się jako OA. Doszło zatem do odwrócenia ról: kiedyś wydawcy zarabiali na czytelnikach, a dziś – na autorach.

Ekstrapolując dotychczasową tendencję, można oczekiwać, że za 10 lub 20 lat praktycznie wszystkie artykuły naukowe będą publikowane jako OA. Ten trend jest spowodowany wieloma czynnikami. Mało kto chce dzisiaj czytać artykuły naukowe, za to wszyscy chcą publikować (patrz tabela). Ma to związek ze sposobem oceny naukowców, nie tylko w Polsce obowiązuje zasada „publish or perish”. Nikt natomiast nie rozlicza naukowców z liczby prac przeczytanych. Naukowcom bardzo zależy na cytowalności własnych prac. Ta obsesja dotknęła też urzędników zarządzających nauką (nie tylko w Polsce). Artykuły OA są (średnio) nieco częściej cytowane, stąd gotowość do płacenia wydawcom za tę formę publikacji. Ogromnie wzrosła aktywność publikacyjna w krajach, które jeszcze całkiem niedawno praktycznie nie istniały na naukowej mapie świata (patrz tabela). Naukowcy z tych krajów stali w dotychczasowym systemie na przegranej pozycji. Rola naukowców z Azji i Afryki ograniczała się do pisania (za darmo) artykułów i ich recenzowania (za darmo) oraz płacenia za prenumeratę czasopism (przypominam, że kiedyś czasopisma naukowe ukazywały się wyłącznie w formie drukowanej), zaś procesy decyzyjne odbywały się w bogatych państwach Europy Zachodniej i w USA (tam pracują redaktorzy) i tam też płynęły pieniądze dla wydawców. Dość łatwo jest uzyskać dostęp do artykułu naukowego opublikowanego w formie elektronicznej przy (teoretycznie) zamkniętym dostępie bez płacenia wydawcy (green i black OA).

Polska też nie jest beneficjentem tradycyjnego systemu. Opłaty, jakie wnoszą zagraniczni kontrahenci za prenumeratę polskich czasopism, stanowią kroplę w morzu w stosunku do kwot, jakie Wirtualna Biblioteka Nauki (WBN) przekazuje zagranicznym wydawcom.

Procentowy udział Polaków wśród gatekeeperów (osób decydujących o przyjęciu publikacji do druku) w czasopismach z listy filadelfijskiej jest znikomy w zestawieniu z udziałem Polaków wśród autorów publikacji. Nasza rola ogranicza się zatem w praktyce do bezpłatnego świadczenia usług jako autorzy i recenzenci, dzięki czemu zagraniczni wydawcy mogą pomnożyć swoje zyski. Dlatego też dziwi się, że niektórzy polscy naukowcy tak zażarcie bronią tradycyjnego systemu.

Renomowani wydawcy idą z duchem czasu i bynajmniej nie zamierzają poprzestawać na zarabianiu na opłatach za prenumeratę (w przyjętym dotąd znaczeniu). Umowy między WBN a zagranicznymi wydawcami obejmują obok normalnej prenumeraty także opłatę za umieszczanie artykułów OA w czasopismach tych wydawców, a że sprzedaż jest wiązana, trudno oszacować stawkę za jeden artykuł. Słowo „prenumerata” zyskało zatem nowe znaczenie – obecnie jest to również (a może głównie) hurtowa opłata za OA. Pomimo tego semantycznego kamuflażu skutek jest podobny jak przy opłaceniu publikacji OA poszczególnych artykułów przez autora (czy raczej instytucję, w której ten autor pracuje): za możliwość publikowania prac przez polskich autorów płacą polscy podatnicy, chociaż opłaty wnoszone za pośrednictwem WBN są jakby mniej bolesne, a wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że publikacje OA w czasopismach Elseviera i Springer'a bynajmniej nie są dla autorów darmowe.

Wróćmy do tytułowych komitetów. Jeżeli kiedykolwiek mogą powstać czasopisma naukowe o światowej renomie, w których Polacy będą gatekeeperami (w proporcji z grubszą odpowiadającą udziałowi Polaków wśród autorów), a opłaty za polskie publikacje w tych czasopismach (a może i za publikacje obcokrajowców) pozostaną w Polsce, to właśnie teraz, kiedy ustalają się nowe reguły gry. Teoretycznie nic nie stoi na przeszkodzie, by w Polsce powstał jakiś MDPI-bis. Oczywiście zadanie jest bardzo ambitne, wymaga współpracy nauki z biznesem (również międzynarodowej) oraz co najmniej życzliwej neutralności ministerstwa, a ewentualne zyski będzie można zrealizować w najlepszym razie za 15 lat. Trzeba się też liczyć z dużym oporem starych naukowców przywiązanych do tradycyjnego systemu i z czarnym PR-em ze strony oligopolu tradycyjnego rynku wydawniczego. Ale za parę lat będzie za późno, ukształtuje się nowy oligopol (jak zwykle bez nas), który będzie skutecznie zwalczał załączki ewentualnej konkurencji. Wtedy pozostanie nam czekanie na kolejną rewolucję.



Artykuły opublikowane w latach 1978 i 2020 w liczbach

Wskaźnik	1978	2020
Liczba artykułów najbardziej płodnego autora z polską afiliacją	37	153
Udział procentowy OA wśród artykułów z polską afiliacją	2.6	60
Udział procentowy artykułów chemicznych z wybranych krajów:		
Chiny	0.002	34.4
Korea Południowa	0.01	4.9
Iran	0.1	3.2
Niemcy	9.6	5.8
Anglia	5.8	3.6

Zagłodzony system nauki

Jak pokazują badania, każda złotówka zainwestowana w naukę przynosi 5 zł wzrostu PKB. Wystarczy spojrzeć, jak szybki jest postęp gospodarczy w krajach, które dostatecznie wspierają naukę i szkolnictwo wyższe. Dlatego apelujemy, aby finansowanie tego sektora w Polsce było przynajmniej na poziomie średnim krajów UE.

Co było iskrą zapalną akcji protestacyjnej?

Krajowa Sekcja Nauki NSZZ „Solidarność” już od dłuższego czasu zauważa postępującą pauperyzację środowiska akademickiego, a co za tym idzie upadek prestiżu zawodu nauczyciela akademickiego oraz pracownika instytutu naukowego i badawczego. KSN kilkakrotnie skutecznie wynegocjowała podwyżki wynagrodzeń, ale one jedynie utrzymywały status społeczny badaczy na stałym, nie najwyższym poziomie. Jednym z warunków wprowadzenia w 2018 roku tzw. Konstytucji dla Nauki było wyrównanie wieloletnich zaniedbań w wynagrodzeniach. Rząd zobowiązał się wtedy do 30-procentowej podwyżki wynagrodzeń pracowników instytucji naukowych realizowanej w trzech kolejnych latach. W latach 2019 i 2020 zrealizowano tylko dwie podwyżki i to w bardzo okrojonej wysokości – odpowiednio 7% i 6%. Mimo że KSN już w sierpniu 2020 r., a następnie w czerwcu 2021 r. apelowała w liście do rządzących o realizację kolejnego etapu wzrostu wynagrodzeń, apele te pozostały bez odzewu. Również wspólny apel środowiska akademickiego w sprawie systemowego wzrostu finansowania szkolnictwa wyższego i nauki z budżetu państwa, sygnowany w lipcu 2021 r. przez KSN wraz z RSzWiN ZNP, KRASP i innymi gremiami, nie spotkał się ze zrozumieniem rządzących. Od listopada 2020 r. spotykaliśmy się z kierownictwem MEiN trzykrotnie, przedstawiając problemy nurtujące pracowników naszego sektora. Mimo to w roku 2021 zaniechano dalszych regulacji wynagrodzeń, a na 2022 rok brak jest prognoz wywiązania się ze złożonych zobowiązań. W związku z powyższym oraz uwzględniając nastroje pracowników szkolnictwa wyższego i nauki, po konsultacjach z organizacjami związkowymi w uczelniach i instytutach, 4 listopada Rada KSN przekształciła się w sztab protestacyjny i ogłosiła swoje żądania. NSZZ „Solidarność” podejmie wszelkie przewidziane prawem działania, aby skłonić rząd do właściwego finansowania uczelni i zapewnienia pracownikom uczelni godziwego wynagrodzenia.

O spełnienie jakich konkretnych postulatów walczyć?

Akcja informacyjno-protestacyjna Krajowej Sekcji Nauki skupiła się wokół trzech podstawowych postulatów. Po pierwsze żądamy pełnej realizacji zobowiązania strony rządowej z 2018 r. zwiększenia wynagrodzeń zasadniczych pracowników nauki i szkolnictwa wyższego o 30%. Taką obietnicę złożył minister nauki i szkolnictwa wyższego 3 października 2018 r. podczas inauguracji roku akademickiego w Politechnice Krakowskiej, a potem jeszcze wielokrotnie to społeczne zobowiązanie było powtarzane przez rządzących. Przypominam również, że w grudniu 2018 r. to sam wicepremier rządu mówił, że „poziom zarobków na uczelniach ciągle

jeszcze rażąco odstaje od tego, ile naprawdę warta jest praca wykładowców akademickich i naukowców. Pracując nad Konstytucją dla Nauki, zapowiadaliśmy, że tym głębokim reformom towarzyszyć musi – jeśli mają się one zakończyć powodzeniem – zdecydowane zwiększanie nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe, w tym podniesienie poziomu wynagrodzeń dla świata akademickiego”. Już 3 lata uczelnie funkcjonują w nowej rzeczywistości prawnej określonej przez Konstytucję dla Nauki. Niestety, rząd nie wywiązuje się ze zobowiązań, które wtedy publicznie ogłosił; ale również były one przedmiotem rozmów Krajowej Sekcji Nauki z ministerstwem. Rozumiemy trudną sytuację gospodarczą, ale obawiamy się, że jeżeli nie zostaną zrealizowane te obietnice rządu, to zagłodzony system nauki i szkolnictwa wyższego bezpowrotnie straci to, co najcenniejsze – ostatnich młodych wiążących swoją przyszłość z nauką, czyli pozbawi nasz kraj jakiegokolwiek szansy na rozwój i suwerenność. Jest to naprawdę racja stanu – dbać o rozwój nauki i szkolnictwa wyższego.

To jak rozumiem podstawowy postulat. Co oprócz tego?

Żądamy także wzrostu minimalnego wynagrodzenia zasadniczego profesora oraz powiązania wynagrodzeń zasadniczych wszystkich pracowników uczelni i instytutów z wysokością minimalnego wynagrodzenia zasadniczego profesora. Podczas wprowadzania reformy w 2018 r., po długich negocjacjach udało się doprowadzić do konsensusu, w wyniku którego wprowadzane rozporządzeniem ministra minimalne wynagrodzenie zasadnicze profesora będzie wynosiło trzykrotność płacy minimalnej w danym roku (w 2018 r. było to 6410 zł brutto, przy płacy minimalnej wynoszącej 2100 zł). Niestety również ta umowa społeczna nie została dochowana i mimo że płaca minimalna rośnie z roku na rok, to rozporządzenie ministra pozostaje niezmiennie. Brak corocznej rewaloryzacji minimalnego wynagrodzenia profesora spowodował, że w roku 2022 przelicznik ten spadnie z 3-krotności w 2018 r. prawie do 2-krotności. To wyraźnie pokazuje spłaszczenie wynagrodzeń w uczelniach i zubożenie całego środowiska. Osobnym problemem pozostaje całkowite uwolnienie płac nienauczycieli. Tak jak przewidywaliśmy, jest to grupa, która najbardziej odczuwa skutki braku środków finansowych, dlatego domagamy się powiązania wynagrodzeń zasadniczych pracowników niebędących nauczycielami akademickimi z wynagrodzeniem profesora. Oczekujemy takiego samego potraktowania pracowników instytutów naukowych i badawczych.

Trzecim postulatem jest żądanie wdrożenia systemowego wzrostu nakładów finansowych z budżetu państwa na naukę i szkolnictwo wyższe, tak by jak najszybciej osiągnąć finansowanie

na poziomie średnim krajów UE. Stawiając ten postulat, nie tylko myślimy o zabezpieczeniu środków na realizację wcześniejszych zadań. Próbuje się ścigać się w światowych rankingach uczelni. Zapominamy przy tym, że finansowanie nauki w Polsce nie osiąga nawet 1% PKB, a kraje takie jak Izrael czy Chiny osiągnęły poziom 3% PKB. Ponadto społeczeństwo musi sobie uświadomić, zwłaszcza w czasach pandemii, że każdy z nas jest beneficjentem – w sposób bezpośredni lub pośredni – systemu szkolnictwa wyższego i nauki. Musimy pamiętać o społecznej odpowiedzialności nauki, o wpływie nauki uprawianej w Polsce na rozwój naszej gospodarki narodowej. To szkoły wyższe są kuźnią przyszłych kadr dla przemysłu i gospodarki, medycyny, oświaty, administracji, a prowadzone przez naukowców badania mają na celu poprawę bytu całego społeczeństwa, rozwiązywanie problemów trapiących ludzkość i środowisko oraz stałe podnoszenie stopnia rozwoju cywilizacyjnego. To w uczelniach i instytutach powstają nowe rozwiązania dla przemysłu, branży IT, nowe leki, szczepionki, to uczelnie przygotowują nauczycieli do pracy z naszymi dziećmi. Odpowiednie finansowanie tego sektora przyniesie wymierne korzyści dla całej gospodarki Polski, ale jest to proces długofalowy. Jak wyraźnie pokazują badania, każda złotówka zainwestowana w naukę przynosi 5 zł wzrostu PKB. Wystarczy spojrzeć, jak szybki jest postęp rozwoju gospodarczego krajów, które dostatecznie inwestują w naukę i szkolnictwo wyższe. Dlatego apelujemy, aby rządzący jak najszybciej doprowadzili do sytuacji, by finansowanie tego sektora było przynajmniej na poziomie średnim krajów UE.

Jak w tej chwili kształtują się wynagrodzenia dla poszczególnych grup zatrudnionych na uczelniach?

Wynagrodzenia zasadnicze nauczycieli akademickich balansują na granicy płacy minimalnej określonej ustawą dla poszczególnych stanowisk i tylko na niektórych uczelniach są nieco wyższe. Wysokość minimalnej płacy zasadniczej nauczyciela akademickiego uzależniona jest od minimalnego wynagrodzenia zasadniczego profesora (obecnie to 6410 zł brutto) i wynosi odpowiednio dla profesora uczelni 5320 zł, adiunkta 4680 zł, a dla asystenta/wykładowcy/lektora to 3205 zł brutto. Przypominam, że w 2022 roku minimalne wynagrodzenie za pracę wzrośnie do 3010 zł brutto. Takie wynagrodzenia nauczycieli akademickich powodują, że uczelnie kształcą zdolnych i bardzo dobrze przygotowanych absolwentów na potrzeby zagranicznych korporacji. Absolwenci nie chcą podejmować pracy naukowej, ponieważ pierwsza praca poza uczelnią zapewni im wynagrodzenie wyższe niż to, które otrzymują ich promotorzy. Minister nauki i szkolnictwa wyższego sam mówił w 2018 r., że „podwyżki zapewne przyhamują rozglądanie się za innym niż nauczanie akademickie czy prace badawczo-rozwojowe zajęciem i spowodują, że część cennych dla szkół wyższych kadr zdecyduje się jednak w nich pozostać”. Czyli problem ten jest dobrze znany rządzącym. Mimo to wciąż mało mówi się o luce pokoleniowej, która jest w naszym sektorze. Najstarsi odchodzą na emeryturę. Chcielibyśmy, żeby zastępowali ich najlepsi absolwenci. Jak można to osiągnąć przy tak marnych zarobkach? Nie wolno też zapominać, że praca na uczelni to nie tylko badania, ale również dydaktyka. Powinna ona być prowadzona na jak najwyższym poziomie, a taki młody pracownik musi przynajmniej kilka lat uczyć się pod okiem starszego kolegi, żeby nabrać wprawy w prowadzeniu zajęć.

Kadra pomocnicza, bez której żadna uczelnia nie może prawidłowo funkcjonować, otrzymuje wynagrodzenie, które często balansuje na granicy płacy minimalnej. Przypominam, że w większości są to osoby z wyższym wykształceniem, ze znajomością języków obcych, są specjalistami w swojej dziedzinie i do tego znają specyfikę pracy na uczelniach (np. różnice w interpretacji niektórych przepisów w naszej branży). To są również



informatycy, bez których współczesna uczelnia czy instytut nie są w stanie funkcjonować, zwłaszcza w czasach pandemii. Wszyscy znamy rynek pracy informatyków, osób zarządzających projektami, finansami i zasobami ludzkimi, wiemy jak wysokie zarobki potrafią osiągać te grupy zawodowe na wolnym rynku. Więc jakie mamy mechanizmy, które pozwolą zatrzymać te wysoko wykwalifikowane kadry na uczelniach? Dzisiaj te osoby odchodzą z uczelni i przechodzą do sektora prywatnego, do gospodarki, tam, gdzie mogą za zarobione pieniądze godnie żyć. W ostatnim roku w dyscyplinie informatyka nadano jedynie jeden tytuł.

Niestety podobnie albo jeszcze gorzej wygląda sprawa wynagrodzeń zasadniczych wśród pracowników instytutów badawczych i jednostek PAN.

Z jakim odzewem spotkała się zapowiedź grudniowej akcji? W komentarzach daje się odczuć niewiarę w jej powodzenie.

Sztab protestacyjny KSN spotkał się 2 grudnia br. z przedstawicielami kilkudziesięciu organizacji zakładowych NSZZ „Solidarność” w uczelniach i instytutach z całej Polski. W dyskusji zostały zatwierdzone wspólne postulaty akcji informacyjno-protestacyjnej. Wymieniliśmy się również poglądami na temat sposobu przeprowadzenia protestu oraz problemów, jakie na co dzień napotykać nasi przedstawiciele w swoich macierzystych placówkach. Od tej pory codziennie wpływają do nas uchwały komisji zakładowych popierających ogólnopolski protest Krajowej Sekcji Nauki i deklaracje o przystąpieniu kolejnych uczelni i instytutów do akcji. Na znak protestu uczelnie zostały oflagowane, a plakaty informacyjne są rozwieszane we wszystkich budynkach. Biorąc pod uwagę istotę problemu, również Zarządy Regionów NSZZ „Solidarność” proszone są o włączenie się w protest.

Jakie planujecie dalsze kroki?

Akcja protestacyjno-informacyjna KSN w uczelniach i instytutach rozpoczęła się w pełni 2 grudnia i będzie trwała, dopóki strona rządowa nie zajmie się realizacją naszych postulatów. W grudniu chcemy skupić się na informowaniu naszego środowiska, ale również całego społeczeństwa o problemach, na jakie napotykamy w naszej pracy zawodowej. Wstępnie rozważaliśmy przeprowadzenie pikiet 20 grudnia, ale ten termin nie jest dla nas decydujący, chociaż wiemy, że jeżeli warunki epidemiczne na to pozwolą, część uczelni zamierza w tym dniu przeprowadzić pikiet. Chcemy wierzyć, że rząd pochyli się nad problemami szkolnictwa wyższego i nauki, usłyszysz głosy płynące z całego środowiska i wreszcie przystąpi do rozmów o przyszłości naszego sektora. Jeśli Krajowa Sekcja Nauki NSZZ „Solidarność” nie zobaczy dobrej woli ze strony rządzących i wznowienia z nami konstruktywnego dialogu, będziemy zmuszeni do podjęcia bardziej radykalnych działań, również we współpracy z innymi sektorami. Bo należy pamiętać, że nauka i szkolnictwo wyższe są silnie powiązane z wieloma branżami, w tym z oświatą, przemysłem, medycyną i zdrowiem publicznym, ale również z kulturą i sztuką.

Rozmawiał Mariusz Karwowski

Rozmowa z prof. Maciejem Żyliczem, biologiem i fizykiem, prezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej

Dzięki uczonym Fundacja staje się lepsza

Jesteśmy małą organizacją, która może na niewielką skalę przetestować pewne pomysły, a potem mogą je kontynuować instytucje większe i dysponujące znacznie poważniejszymi niż my środkami.

Fundacja, która dziś ma trzydzieści lat i wydaje się kwitnąć, na początku działalności zaliczyła jednak wpadkę inwestycyjną.

Przede wszystkim, na samym początku, zarówno cele, jak i status instytucjonalny Fundacji nie były jasno sprecyzowane. To był właściwie nieformalny departament w Ministerstwie Nauki, nawet kierowali nią jego przedstawiciele. W tamtym czasie działano trochę po omacku: realizowano programy, które nie miały wiele wspólnego ze wspieraniem nauki, np. finansowano zakup karetek dla szpitali dziecięcych, rzeczywiście popełniono też błędy w zarządzaniu działalnością inwestycyjną. W pierwszym roku działalności Fundacji uruchomiono Program Pożyczki, który nawiązywał do koncepcji „banku nauki”. Pożyczki miały wspierać jednostki naukowe w procesie komercjalizacji. Program był oparty na nierealistycznych i nierynkowych założeniach. Pamiętajmy, że mówimy o wczesnych latach 90., kiedy wszyscy uczyliśmy się nowej rzeczywistości. Rynek finansowy w Polsce dopiero się rodził, a urzędnicy nie mieli żadnego praktycznego przygotowania do inwestowania. Mówiąc krótko, trzeba było szybko – i notabene zgodnie z rekomendacjami NIK-u – uniezależnić Fundację od ministerstwa. Zaczął to robić profesor Maciej W. Grabski, prezes FNP w latach 1992-2005, a ja dokończyłem. Kiedy Fundacją zaczął kierować prof. Grabski, rozpoczął się proces definiowania misji Fundacji, tworzenia standardów jej działania, którym jesteśmy wierni do dziś.

Co się stało z kapitałem założycielskim Fundacji pochodzącym z likwidowanego Centralnego Funduszu Rozwoju Nauki i Techniki? Jak wygląda dziś finansowanie nauki przez FNP?

Decyzją Sejmu w 1991 r. FNP dostała 95 mln zł (to wartość po denominacji z 1995 r.; faktycznie FNP otrzymała 950 mld zł – red.) jako fundusz założycielski. Ponad 10 lat później, w latach 2003-2004, z budżetu państwa przekazano jej jeszcze ok. 51 mln zł z prywatyzacji spółek skarbu państwa. Środki te Fundacja lokowała na rynkach finansowych, pomnażając je i z zysków finansując działalność statutową. To dość popularny sposób funkcjonowania fundacji na świecie, w Polsce – prawie nieobecny. Jak to zadziało, najlepiej pokazują liczby: w ciągu 30

lat FNP przekazała ze środków własnych na wspieranie nauki w Polsce ponad 521 mln zł. Dzisiaj wartość naszego majątku przekracza 300 mln zł. Pomnożyliśmy zatem kapitał założycielski wielokrotnie, dzięki czemu nasi laureaci łącznie otrzymali już wielokrotnie więcej niż Fundacja na swoim starcie. W ostatnich latach osiąganie zysków poprzez bezpieczne inwestycje na rynkach finansowych stało się jednak bardzo trudne.

Czy pomnażanie kapitału jest nadal możliwe?

Owszem, ale musimy szukać równowagi pomiędzy potencjalnymi zyskami a akceptowalnym dla Fundacji poziomem ryzyka. Cykle inwestycyjne uległy w ostatniej dekadzie znacznemu skróceniu, a tzw. bezpieczne inwestycje od dłuższego już czasu nie pokonują inflacji. Dlatego w aktywny sposób poszukujemy nowych możliwości inwestycyjnych. W ostatnim czasie to m.in. inwestycje w start-upy, za pośrednictwem już istniejących funduszy venture capital, w tym szczególnie w spółki wykorzystujące innowacyjne wyniki badań naukowych. Podejmujemy większe ryzyko finansowe, ale w ten sposób realizujemy jednocześnie jeden ze statutowych celów Fundacji: wspieramy transfer nauki do gospodarki, a nawet szerzej – transfer wiedzy i technologii do społeczeństwa.

W pewnym momencie w działalności FNP pojawiły się środki europejskie.

Po wejściu Polski do Unii Europejskiej zaproponowano nam uczestnictwo w dystrybucji funduszy strukturalnych. Od 2008 roku realizowaliśmy Program Operacyjny Innowacyjna Gospodarka, a od 2015 – Program Operacyjny Inteligentny Rozwój. To spowodowało, że budżet Fundacji na wspomaganie nauki w Polsce wyraźnie wzrósł. W zeszłym roku na programy wsparcia nauki wydaliśmy ok. 260 mln zł, z czego niecałe 6 mln zł pochodziło ze środków własnych FNP, reszta ze środków europejskich. Operowanie pieniędzmi z programów ramowych wiąże się też dla nas z dodatkowymi kosztami. Wymaga od nas dodania pieniędzy do tzw. pomocy technicznej. Co roku, żeby ten system mógł działać, żebyśmy mogli przekazywać te setki milionów złotych na badania naukowe prowadzone w Polsce, musimy

dopłacić 2-2,7 mln zł z własnych funduszy. Pamiętam sytuację, kiedy staraliśmy się o pieniądze unijne. Jeden z ministrów powiedział mi wtedy: nie dopuszczę do tego, żeby Fundacja zarabiała na środkach unijnych. Prawda jest taka, że nie tylko na nich nie zarabiamy, ale co roku dokładamy własne pieniądze, żeby móc realizować programy finansowane ze środków strukturalnych.

Czy są realne wpływy z odpisów jednego procenta podatku dochodowego od osób fizycznych?

Na początku, kiedy jako organizacja pożytku publicznego zaczęliśmy otrzymywać odpisy 1%, to były kwoty rzędu 30-50 tys. złotych rocznie. W tej chwili jest to około 70-80 tys. zł, czyli nie są to kwoty wysokie w porównaniu do naszych wydatków programowych. Ale dla nas mają one bardzo duże znaczenie, bo pokazują wsparcie społeczeństwa dla naszych działań. Pozy-skujemy też darowizny od indywidualnych darczyńców i firm. W 2019 roku zebraliśmy w ten sposób przeszło milion złotych. Warto wspomnieć, że dopiero od niedawna bardziej aktywnie prowadzimy te zbiórki i wciąż dyskutujemy, jak to robić. Mamy świadomość, że zbierając środki na finansowanie stypendiów START dla najmłodszych naukowców, różnimy się od fundacji, które zbierają pieniądze na przykład na ciężko chore dzieci. Uważamy, że nie powinniśmy przekraczać pewnej psychologicznej bariery, bo tamte fundacje mają pierwszeństwo, jeśli chodzi o zbiórkę społeczną. Chcielibyśmy natomiast docierać do tych osób, przedsiębiorców czy instytucji, które chcą się angażować we wspieranie nauki w Polsce i uważają, że to też jest ważny społecznie cel.

Działalność Fundacji się zmieniała. Gdy już opracowała własny system wspierania nauki, w pierw inwestowano w aparaturę, której wówczas bardzo w polskich laboratoriach brakowało. Potem, po negatywnych doświadczeniach, o których niegdyś opowiadał mi prof. Maciej Grabski, postanowiono wspierać przede wszystkim ludzi. Jak wygląda polityka wspierania nauki przez FNP w obliczu ograniczeń formalnych, jakie narzucają środki europejskie?

Rzeczywiście, przez pierwsze półtora roku istnienia Fundacji nie bardzo wiadano, na czym powinna polegać jej działalność. Potem prof. Grabski, wraz ze swoimi współpracownikami, zwłaszcza z wiceprezesa prof. Marianem Grynbergiem i z ówczesną Radą Fundacji, stworzyli program wspierania nauki, który w kolejnych latach naturalnie ewoluował wskutek zmian w polskim systemie nauki, możliwości Fundacji, otoczenia prawnego. Nową możliwość niewątpliwie stworzyło wejście do Unii Europejskiej. Po zaspokojeniu wielkich potrzeb aparaturowych i infrastrukturalnych po czasach PRL, Fundacja przekierowała energię na inwestowanie w ludzi uprawiających naukę w Polsce i różne cele z tym związane: przyspieszanie uzyskiwania samodzielności naukowej przez młodych badaczy, umożliwienie im tworzenia własnych zespołów, ułatwienie powrotów do Polski zdolnym ludziom, którzy wyjechali za granicę, tworzenie atrakcyjnych i konkurencyjnych rynkowo miejsc pracy w nauce, umiędzynarodowienie nauki w Polsce.

Poza tym pewne idee i programy Fundacji przejmowały większe, finansowane z budżetu państwa instytucje: Komitet Badań Naukowych, a potem ministerstwo nauki (pod różnymi nazwami) czy Narodowe Centrum Nauki. W takich sytuacjach, aby nie dublować systemu wspierania nauki w Polsce, rezygnowaliśmy z wielu naszych programów. Zatem nasza oferta wspierania nauki cały czas się zmienia. Staramy się dopasować do sytuacji, a także szybko i w miarę naszych możliwości reagować na pojawiające się potrzeby naukowców. Priorytetem od dawna jest rzeczywiście, najogólniej mówiąc, inwestowanie w ludzi



Fot. FNP

Prof. **Maciej Żylicz** (ur. w 1953 r.) studiował fizykę i biologię na Uniwersytecie Gdańskim. Habilitację i tytuł profesora uzyskał z zakresu biologii molekularnej i biochemii. W latach 1980-1999 nauczyciel akademicki UG (w latach 1990-1993 prorektor ds. nauki UG), a w latach 1999-2005 – UW. W latach 1999-2016 pracownik naukowy Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Od 2005 r. jest prezesem Zarządu Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Jego prace naukowe z zakresu białek szoku termicznego są szeroko cytowane (24 prace cytowane powyżej 100 razy). Wyizolował i opisał pod względem biochemicznym pierwsze białka szoku termicznego, wykazał ich udział w replikacji DNA oraz wraz z współpracownikami opisał ich rolę opiekuńczą w dysocjacji agregatów białkowych, związaniu się i degradacji białek. Odkrył ich udział w transformacji nowotworowej. Jego ostatnie badania mogą mieć implikacje kliniczne. Członek wielu krajowych i zagranicznych akademii nauk, w tym PAN i PAU, laureat licznych nagród naukowych (w tym Nagrody FNP w 1999 r.). Doktor honoris causa UW, UG i UJ.

uprawiających w Polsce naukę, i ten kierunek działania był całkowicie zgodny z wytycznymi Unii Europejskiej.

Przypomnę hasło Fundacji: wspieramy najlepszych, by stali się jeszcze lepszymi.

Dziś już zatarło się, który z „ojców założycieli” Fundacji był autorem tego hasła, na pewno kluczowymi dla ukształtowania jej misji postaciami byli obaj prezesi: Maciej W. Grabski i Marian Grynberg, a także prof. Janusz Sławiński i prof. Henryk Samsonowicz, zasiadający w Radzie FNP. W każdym razie od trzydziestu lat kierujemy nasze programy do najlepszych, niezależnie od ich narodowości, byleby swoje pasje badawcze realizowali w Polsce. Uważam, że to hasło trafnie oddaje misję Fundacji i pozostaje wciąż aktualne.

Jaka jest rola Rady Fundacji, prócz tego, że jest ona jury najbardziej prestiżowego konkursu FNP?

Rzeczywiście pełni ona rolę jury Nagrody Fundacji, a także dyskutuje i zatwierdza listę laureatów programu START. Przede wszystkim jednak pełni rolę rady nadzorczej. Zatwierdza roczne sprawozdania zarządu. Wspólnie dyskutujemy nad strategiami i programami działania Fundacji, w tym nad każdym nowym

projektowanym programem. Konsultujemy z radą kluczowe decyzje dotyczące działalności Fundacji, natomiast wszystkie elementy należące do nadzoru nad Fundacją leżą w kompetencjach rady. To ona wybiera prezesa Fundacji, a następnie głosuje nad zaproponowanymi przez niego wiceprezesami. Może też, w przypadku nieprzyjęcia sprawozdania zarządu za dany rok, odwołać z funkcji prezesa i nominować jego następcę.

Ale to się nigdy nie zdarzyło.

Nie, ale taka możliwość „wisi” nad każdym prezesem. To na pewno gasi ewentualne zapędy zarządu do zbyt samowolnych działań. Jednak chodzi nie tylko o zabezpieczenie się, ale także o odpowiedzialność za decyzje. Ufamy, a wieloletnie doświadczenie to potwierdza, że Radę Fundacji tworzą mądrzy ludzie o różnorodnych kompetencjach, na których opinii można polegać.

Proszę przybliżyć zasady powoływania członków i konstytuowania się rady.

Rada wybiera nowych członków zgodnie z procedurą opisaną w statucie FNP i ze swego grona wybiera przewodniczącego. Członkiem rady można być najwyżej przez dwie czteroletnie kadencje. Wymogiem formalnym jest posiadanie tytułu naukowego profesora. Członkowie rady są dobierani tak, aby reprezentowali różne obszary wiedzy.

Zarząd FNP nie ma nic do rady?

Statut FNP wyraźnie rozdziela kompetencje tych dwóch organów. Rada nadzoruje działalność Fundacji, zarząd nią zarządza. Staramy się wzajemnie wspierać i blisko współpracujemy, natomiast na pewno zarząd nie wpływa na skład i decyzje rady.

W Zarządzie FNP mamy przedstawicieli dwóch różnych obszarów nauki: biologa i literaturoznawcę oraz fachowca od finansów.

Rzeczywiście, choć nasz „minister finansów”, Tomasz Perkowski, jest doktorem nauk rolniczych, a inwestowaniem zainteresował się dopiero podczas studiów MBA. Decyzje podejmujemy wspólnie, ale każdy z nas ma trochę inny zakres obowiązków. Ja zajmuję się działalnością programową Fundacji w szerokim zakresie, wiceprezes prof. Włodzimierz Bolecki, jest odpowiedzialny za obszar programowy skierowany do humanistyki i nauk społecznych.

Mimo zmienności programów Fundacji mamy dwa najstarsze, które są niemal jej równolatkami: Nagrody FNP oraz START, który pierwotnie nosił nazwę Stypendia dla młodych naukowców, a także Monografie FNP, który jest raptem dwa lata młodszy.

Mimo długiego trwania tych programów, trzeba zauważyć, że wszystkie one podlegały pewnym zmianom w czasie. Obecnie dyskutujemy z radą nad programem stypendialnym START, wiedząc, że np. w programie stypendialnym Ministerstwa Nauki młodzi ludzie mogą dostać dużo większe pieniądze niż od nas. Zastanawiamy się, co wobec tego powinniśmy zrobić, żeby nasze stypendia pozostały atrakcyjne i nadal cieszyły się prestiżem. Nasi stypendyści mogą w ramach programu wyjeżdżać za granicę na rekoniesans naukowy, a dodatkowo chcemy wprowadzić mentoring połączony z wyjazdem zagranicznym. Modyfikujemy ofertę z myślą o stworzeniu zdolnym naukowcom na początku kariery jak najlepszych warunków do tego, by w roku pobierania stypendium mogli się rozwinąć naukowo. Zmieniamy te programy, choć ich cel się nie zmienia.

Podobnie korektom, nieznacznym co prawda, podlegają zasady przyznawania Nagród Fundacji. Stałym tematem dyskutowanym w radzie jest problem, na ile indywidualne dzieła wyróżnione nagrodą powinno być wykonane w Polsce. Na przykład fizycy teoretycy zwracają nam uwagę, że najważniejsze odkrycia mogą powstać choćby w pociągu, w czasie podróży z Wiednia do Krakowa. Niedawno Rada Fundacji zmieniła zapis regulaminu, wymagając spełnienia co najmniej jednego z warunków: dokonania osiągnięcia w Polsce, udokumentowania go publikacjami afiliowanymi przy polskiej jednostce naukowej lub warunkowi, by dotyczyło ono problematyki polskiej.

Program Monografie FNP także bardzo się zmienił przez 25 lat, m.in. poszerzyliśmy skład Rady Wydawniczej pełniącą rolę jury w tym konkursie, wprowadziliśmy ofertę związaną z ułatwianiem autorom publikowania monografii za granicą: dodatkowy konkurs na tłumaczenia książek oraz na adjustację prac przetłumaczonych na języki obce. Mamy nadzieję, że to pomaga otwierać polską humanistykę na świat. Każda książka ukazuje się także w formie e-booka, a starsze tytuły są dostępne w ramach Open Access na stronie poświęconej serii Monografie FNP w formie PDF (więcej na temat programu Monografie FNP w rozmowie z prof. Włodzimierzem Boleckim na str. 30).

Prawie trzydzieści lat temu podzieliliście obszary przyznawania nagrody tak, jak wiele lat później podzieliła naukę Europejska Rada Badań Naukowych.

Od początku Nagroda FNP była przyznawana w czterech „domenach” naukowych. Ich zakres i nazewnictwo zmieniało się jednak w czasie. Dzisiejszy podział nie został wzięty „spod dużego palca”. Zrobiliśmy mapę współpracy w Polsce w ramach realizowanych przez FNP programów. Zobaczyliśmy, jak ze sobą współpracują różne przestrzenie nauki. I tak wyznaczyliśmy te obszary – one wynikają z obserwacji rzeczywistości, nie zostały wymyślone a priori. Podobne ćwiczenie wykonała pewnie potem ERC i wnioski musiały być podobne.

Uniwersytet Wrocławski chce z Fundacją konkurować wysokością Nagrody Naukowej im. Heisiga.

Nie konkurujemy z Uniwersytetem Wrocławskim. Przyznawane w czterech obszarach Nagrody FNP rozdajemy w tym roku po raz trzydziesty, a od 2007 r. wysokość nagrody dla jednego laureata wynosi 200 tysięcy złotych, tyle samo co przyznanej w tym roku po raz pierwszy przez Uniwersytet Wrocławski nagrody Heisiga. Gratuluję Uniwersytetowi Wrocławskiemu tej inicjatywy i mam nadzieję, że podobne działania wspierające wybitnych naukowców i finansowane z prywatnych środków będą podejmowane też w innych uczelniach w Polsce.

Chciałbym podkreślić inspirującą rolę Fundacji. Inspirowała ona szereg rozwiązań w zakresie finansowania nauki, testowała je u siebie, nie tylko w sensie ogólnym, czyli konkursowego podejścia i niezależnych ekspertów, ale nawet konkretnych programów, które z czasem pojawiły się w ofertach instytucji państwowych, jak ministerstwo, Narodowe Centrum Nauki czy NAWA.

Jednym z pierwszych programów, które jako nowy prezes FNP wprowadziłem w 2005 roku, był Focus. Nie mieliśmy wtedy dużego budżetu na realizację, ale chcieliśmy stworzyć młodym ludziom szansę na utworzenie pierwszych własnych zespołów naukowych. To był strzał w dziesiątkę. Później, korzystając już z funduszy europejskich, kontynuowaliśmy ten program jako First Team, a w przyszłej perspektywie finansowej młodzi badacze tworzący własne zespoły także będą mogli korzystać ze wsparcia Fundacji w ramach programu Team. W międzyczasie powstało Narodowe Centrum Badań

i Rozwoju, które było zainteresowane podobną działalnością. Po zapoznaniu się z naszą dokumentacją dotyczącą Focusa NCBR stworzyło program Lider, który do dziś z powodzeniem działa. Jesteśmy małą organizacją, która może na niewielką skalę przetestować pewne pomysły, a potem mogą je kontynuować instytucje większe i dysponujące znacznie poważniejszymi niż my środkami. Zrezygnowaliśmy z programu Mistrz, gdy NCN wprowadziło bardzo podobny program Maestro. Takich przykładów jest więcej. Nie możemy konkurować z instytucjami budżetowymi. Naszym zadaniem jest pokazywanie nowych obszarów i projektów nowych działań. Nasze stypendia zagraniczne Kolumb, wprowadzone w 1995 r. i cieszące się wielkim powodzeniem, zainteresowały Ministerstwo Nauki, które stworzyło podobny program. Teraz NAWA kontynuuje te chlubne tradycje. Cieszymy się, że ktoś chce te programy kontynuować. Dla środowiska naukowego to jest najważniejsze.

Coraz częściej w nauce mówi się o ważnej roli nie tylko instytucji, ale konkretnych liderów i zespołów naukowych. Fundacja miała tu coś do powiedzenia właśnie jako prekursor takiego podejścia do finansowania badań.

W okresie słusznie minionym ważne były instytucje. W Fundacji uważamy, że to dzięki wspaniałym uczonym i ich zespołom instytucja staje się lepsza. Dlatego tworzymy programy wspomagania pracy wybitnych uczonych, na każdym etapie drogi naukowej. Wypracowaliśmy metody ich identyfikacji. W tego rodzaju programach, polegających m.in. na tworzeniu zespołów naukowych przez wybitnych liderów, oprócz badaczy z kraju, mogą brać udział naukowcy z zagranicy, o ile zechcą pracować w Polsce. To była ważna modyfikacja. Zobaczyliśmy siłę tych programów. Okazało się, że jeden człowiek może zmienić całą instytucję. Tak się stało np. w jednym z instytutów PAN, do którego trafił laureat naszego programu Homing. On zupełnie zmienił instytut, postawił go na nogi, przyczynił się do podniesienia jego kategorii naukowej.

Oczywiście tego rodzaju programy – ściągania ludzi z zagranicy do pracy w Polsce, z myślą o pozostaniu tu na stałe – realizuje teraz NAWA. Czy rozmawiał pan z badaczami, którzy przyjechali do Polski dzięki takiemu programowi, ale realia działania w polskiej instytucji naukowej sprawiły, że wrócili lub poszukują drogi powrotu za granicę?

Polskie realia są trudne i wcale się nie dziwię tym, którzy się zniechęcili. Fundacja cyklicznie przeprowadza badania na temat barier w pracy naukowej, z trudnościami spotykamy się też przy codziennej realizacji naszych programów, realizowanych przecież w polskich jednostkach badawczych. Jednak, o czym wspominałem, są osoby, którym mimo tych trudności udało się zainstalować tu na stałe, dobrze się czują, współpracują z nami, korzystają z polskiego systemu grantowego. Staramy się poprzez nasze programy zmieniać kulturę jakości w polskiej nauce. Myślę, że mamy już, na razie nieliczne, świetne instytucje, nieodbiegające od światowych standardów, oraz większość, w których jest jeszcze dużo do zrobienia. Od powrotu ze Stanów Zjednoczonych, gdzie przepracowałem kilka lat, próbuję robić coś w tym kierunku, na razie z ograniczonym skutkiem. Natomiast nasze działania i działania NAWA bardzo dobrze się uzupełniają. NAWA zachęca do przyjazdu do Polski i przynajmniej personalne wsparcie dla osób, które zdecydują się na taki krok. My, poprzez granty badawcze, pomagamy im rozwinąć działalność naukową.

Postawię tezę, że przez granty FNP można budować karierę naukową, począwszy od stypendium dla młodych naukow-

ców, przez inne granty – stosownie do potrzeb konkretnego badacza – a skończywszy na Nagrodzie FNP.

Pracując na amerykańskich uniwersytetach, widziałem, jak absolwenci pomagają im, by stawały się jeszcze lepsze. Siłą Fundacji są jej beneficjenci. Gdy mam problem, którego nie potrafię rozwiązać, dzwonię do laureata Nagrody FNP i pytam go o zdanie. Jeżeli mamy problem z wyznaczeniem recenzenta, dzwoniemy do naszych beneficjentów. I to działa. Przez te szesnaście lat kierowania Fundacją nikt mi nie odmówił tego rodzaju pomocy. Są badacze, którzy faktycznie przeszli przez wiele form wsparcia Fundacji, zaczynając od stypendium START, przez inne programy, aż po Nagrodę FNP, ale czasami także przez zaangażowanie się w ocenę wniosków grantowych czy pracę w Radzie FNP. Staramy się utrzymywać kontakty z beneficjentami naszych programów, a oni pokazują w swoich naukowych życiorysach znaczenie grantów Fundacji, przysyłają do nas swoich uczniów. Są profesorowie, którzy pamiętają, jak ważny w ich rozwoju naukowym był program START, dlatego teraz nam pomagają. Nie musimy pokazywać Fundacji, żeby promować jej działalność, ale musimy pokazywać naszych beneficjentów, pokazywać ich sukcesy. To są także nasze sukcesy.

Można mówić o środowisku czy społeczności naukowej FNP?

Na pewno coś takiego jest. Poza tymi nieformalnymi relacjami wiele lat temu powstał też Klub Stypendystów FNP, na początku składający się ze stypendystów programu Kolumb, którzy po powrocie ze staży podoktorskich za granicą mogli utrzymywać ze sobą kontakt i wspierać się wzajemnie, a z czasem poszerzony o laureatów innych programów Fundacji. Bardzo wspieramy tą działalność.

Mówi się o kryzysie recenzowania, a pan wspominał o tym już kilka lat temu. Jak sobie radzicie z tym problemem w FNP?

Środowisko polskie, wbrew pozorom, jest bardzo małe, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę poszczególne dyscypliny, gdzie wszyscy się znają, istnieją sieci wzajemnych powiązań naukowych i towarzyskich. Idea powoływania recenzentów zagranicznych powstała nie dlatego, że Polacy nie potrafią pisać rzetelnych recenzji, że im nie wierzymy, ale dlatego, że nie chcemy ich stawiać w sytuacji konfliktu interesów. Ufamy laureatom naszych programów, ale nie możemy ich narażać na tego rodzaju sytuację. Dopóki nie byliśmy instytucją wdrażającą programy unijne, prawie wszyscy współpracujący z nami recenzenci byli spoza kraju. Później, ze względu na obowiązujące procedury realizacji programów finansowanych z funduszy UE i konieczność używania języka polskiego (co w przypadku nauki jest absurdalnym wymogiem), zaczęliśmy w szerszym zakresie korzystać z opinii naukowców polskiego pochodzenia, pracujących poza krajem.

Zasadą jest ocena ekspercka. Jak to się udaje robić i czy można taką praktykę wdrożyć w całej polskiej nauce?

W tej chwili baza współpracujących z nami ekspertów liczy ok. 6800 osób, głównie z zagranicy. NCN stosuje podobną praktykę. Zatem, jak się okazuje, można w sporym obszarze polskiego systemu finansowania badań naukowych wdrożyć metodę oceny eksperckiej. Najtrudniej jest wejść w nasz system. Zagraniczni badacze często wcześniej nie słyszeli o Fundacji. Jednak, gdy już rozpoczną współpracę z nami, potem zazwyczaj ją kontynuują. Oczywiście, zdarzają się błędy w ocenie ekspertów. To normalne. Gdy otrzymujemy skrajnie rozbieżne oceny tego samego wniosku, przekazujemy go innemu panelowi i patrzymy na rezultat pracy drugiej grupy ekspertów. Kiedy audytor zewnętrzny powiadził nam, że musimy uśredniać wyniki takich rozbieżnych ekspertyz, nie zgodzi-

liśmy się z tym wnioskiem. To nie na tym polega. Gdy ktoś porównuje duże liczby z małymi i nie bierze pod uwagę odchylenia standardowego, popełnia ogromny błąd. Zwróciłem na to uwagę audytorom, a oni zapytali: „a co to jest odchylenie standardowe?”. W przypadku skrajnych ocen musimy stwierdzić, skąd się biorą rozbieżności i znaleźć tę właściwą ocenę. Uśrednianie w przypadku oceny eksperckiej jest błędem i może wypaczyć końcowy wynik. System peer review polega na tym, że eksperci czytają wnioski. W Wellcome Trust czy Howard Hughes Medical Institute każdy wniosek jest czytany przez kilkunastu ekspertów. Staramy się wzorować na tych instytucjach. W przypadku oceny wniosków przesyłanych do konkursów FNP pierwszy panel składa się z 5-6 ekspertów. Potem jest trzech ekspertów zewnętrznych i następny panel wielodzielniowy. Zatem decyzje podejmujemy na podstawie opinii ponad dziesięciu uczonych.

Czy zdarzyło się, że po upływie czasu uznał pan niektóre decyzje grantowe za błędne?

Po zakończeniu realizacji programów przeprowadzamy ich zewnętrzną ewaluację, do której zapraszamy badaczy z dużym autorytetem. Ocenie poddana zostaje realizacja programu i poszczególnych grantów z konkretnych konkursów. Pierwsze pytanie, które zadajemy ekspertom, brzmi: czy znając końcowe wyniki, przyznalibyście ponownie ten grant. W przypadku POIG na kilkaset grantów zdarzył się jeden znak zapytania.

Ponad dziesięć lat temu pojawił się wielki program Międzynarodowych Agend Badawczych. Zaczął się z kłopotami – uruchomienie pierwszego MAB-u prof. Tomasza Dietla się opóźniało. Kilka lat temu pojawiły się wątpliwości dotyczące sposobu realizacji projektu prof. Agnieszki Chacińskiej. Jak pan ocenia ten program z perspektywy lat?

To od początku był program – wyzwanie. Program, który bardzo optymistycznie zakładał, że można szybko zbudować od zera centrum doskonałości na bazie ludzi, pomysłu i pieniędzy. Nie robiliśmy wcześniej czegoś takiego, a skala finansowa – bo nie tylko naukowa – przedsięwzięcia była duża. Umieemy tworzyć niewielkie zespoły naukowe, ale już budowanie większych centrów złożonych z wielu zespołów jest bardzo trudne i czasochłonne. Chcieliśmy, by te nowe centra doskonałości były całkowicie niezależne. To okazało się bardzo trudne, choć nie niemożliwe. Szybko przekonaaliśmy się, że tworzenie zupełnie nowego bytu prawnego, od czego zaczął prof. Tomasz Dietl, było niezmiernie trudne. W międzyczasie zmieniło się prawo unijne i polskie, co pozwoliło, by organizacja badawcza mogła być także jednostką nieposiadającą osobowości prawnej. Prof. Dietl, który początkowo budował MAB jako fundację, zmienił formułę i przeniósł realizację programu do Instytutu Fizyki PAN, gdzie udało się uzyskać samodzielność instytucjonalną. MAB został wydzielony w strukturze organizacyjnej instytutu i miał zapewnioną autonomię w zakresie uprawiania nauki i rekrutacji współpracowników. Obecnie jest to jeden z MAB-ów najlepiej ocenianych przez zewnętrznych ekspertów. W tej chwili działa 14 MAB-ów, wśród nich są ośrodki wydzielone w strukturze uczelni, PAN, Narodowego Instytutu Badań Jądrowych, jest także po jednej fundacji i spółce z o.o. (jej właścicielem jest Sieć Badawcza Łukasiewicz). Mamy więc dużą różnorodność instytucjonalną tych centrów doskonałości. Zrobiliśmy coś, co inne kraje zrobiły kilkanaście lat wcześniej. Obecnie MAB-y są na bardzo wczesnym etapie rozwoju, niektóre z nich działają świetnie i spełniają wymogi centrów doskonałości naukowej, uprawiając badania na najwyższym poziomie (polecam lekturę wywiadów z dyrektorami tych jednostek, które uka-

zywały się w czerwcu i lipcu tego roku w kolejnych numerach „Polityki”). W przypadku niektórych z nich jest jeszcze za wcześnie, by przesądzić, czy doskonałość naukowa jest dla nich rzeczywiście priorytetem. Mam nadzieję, że tak. Nieliczne MAB-y mają pewne kłopoty administracyjne lub/i personalne, które staramy się rozwiązywać, bo przecież liderzy prowadzący te centra przeszli surową procedurę konkursową, zaproponowali interesujące plany badawcze. Główny problem polega na tym, że uczelnia czy instytut PAN potrafią w sensowny sposób wydać 3-4 miliony złotych w ramach 3-4-letniego grantu pozyskanego przez pracującego u nich badacza. Ale brakuje doświadczenia w sytuacjach, gdy ktoś dostaje 40 milionów na 5 lat. Pojawiają się problemy z przetargami czy mało elastycznymi procedurami obowiązującymi w uczelni bądź instytucie naukowym. System administrowania funduszami przeznaczonymi na naukę wewnątrz jednostek naukowych jest niesprawny. Ale nie uciekniemy od budowania instytucji badawczych o dużych budżetach i długim czasie trwania. Musimy się tego wspólnie nauczyć. Przyznam się, że od pewnego czasu 60% mojego czasu poświęcam MAB-om, dyskutując z naukowcami, kierownikami MAB-ów, władzami instytucji, w których działają, starając się na bieżąco rozwiązywać pojawiające się problemy.

Jak wygląda umiędzynarodowienie MAB-ów? Czy tylko z nazwy są międzynarodowe?

To wyszło znakomicie. Połowa postdoków pracujących w MAB-ach jest spoza kraju; 30% liderów to obcokrajowcy. Oznacza to, że ludzie spoza Polski są zainteresowani pracą u nas, tu widzą swoje perspektywy. Oczywiście w sytuacji pandemicznej pojawiły się problemy związane z podróżami i współpracą międzynarodową, ale to dotyczy prawie wszystkich naszych programów.

Co z MAB-ami po zakończeniu finansowania przez FNP?

Finansowanie kończy się w 2023 roku. Każdy MAB będzie mógł w 2022 roku stanąć do otwartego konkursu na powtórne uzyskanie tego samego statusu na następne 5 lat. W konkursie będziemy oceniać: nowy oryginalny program naukowy, rozliczenie finansowe z poprzednich 5 lat realizacji programu i, co najważniejsze, efekty badawcze zrealizowanego projektu. Ministerstwo Nauki zadeklarowało, że po kolejnym 5-letnim cyklu finansowanie tych centrów doskonałości przejmie budżet państwa. Poproszono nas, aby to Fundacja nadal prowadziła ten projekt. Najlepsze centra doskonałości mają więc szansę istnieć dłużej, pytanie, czy z tej szansy skorzystają.

Prowadzicie bardzo szeroką współpracę międzynarodową. Jest wiele wspólnych nagród z partnerskimi, podobnymi do FNP, instytucjami z innych krajów.

Zaczynaliśmy od wspólnych nagród i wyróżnień. Naszym pierwszym partnerem była niemiecka DFG. Tworzymy wspólne jury i razem finansujemy Nagrodę Copernicus dla dwójki współpracujących uczonych – z Polski i Niemiec. W 2019 r. ustanowiliśmy Nagrodę Polsko-Francuską, obecnie przyznawaną we współpracy z Francuską Akademią Nauk oraz z Fundacją Zaleskiego, która finansuje część nagrody po stronie francuskiej. Pracujemy nad ponownym uruchomieniem Nagrody Polsko-Amerykańskiej, poszukujemy nowego partnera z tamtej strony. W tym roku po raz ostatni przyznamy Honorowe Stypendia im. von Humboldta. Chciałbym, aby ten program przejęła od nas inna instytucja, bo Fundacja Humboldta, która jest partnerem tych stypendiów, jest bardzo zasłużona dla polskiej nauki. Jesteśmy członkiem Science Europe, europejskiej organizacji skupiającej agencje finansujące naukę.

Czy są programy, których zakończenia pan żałuje i chciałby do nich wrócić?

Chyba nie, bo programy, które uznaliśmy za wartościowe i potrzebne w tym momencie, staramy się kontynuować, a inne ważne dla nauki zostały przejęte przez inne instytucje, zatem nie ma potrzeby wracać do nich w Fundacji. Ponad dziesięć lat temu poddaliśmy naszą ofertę programową kompleksowej zewnętrznej ewaluacji, do której zaprosiliśmy ekspertów z prestiżowych zagranicznych instytucji wspierających naukę. Dowiedzieliśmy się wtedy, że mamy za bardzo rozdrobnioną strukturę, za dużo programów realizujących szczegółowe cele. Przez lata pracowaliśmy nad ich konsolidacją i mam nadzieję, że osiągnęliśmy właściwy poziom nasycenia programami.

Jakie znaczenie ma dla takiej instytucji jak FNP posiadanie własnej siedziby?

Po pierwsze prozaiczne – komfort pracy. Po drugie – miejsce na spotkania z naszymi interesariuszami, mam na myśli nie tylko spotkania biznesowe, ale przede wszystkim stworzenie przestrzeni integrującej ludzi związanych z nauką. Wreszcie siedziba jest w pewnym sensie elementem tożsamości instytucji. Organizacje budują tożsamość przez swoje miejsce. Po przeprowadzce do nowej, większej siedziby w 2014 roku zaczęliśmy organizować w niej spotkania ludzi związanych z Fundacją, mogliśmy „u siebie” świętować 25-lecie Fundacji. Niestety pandemia sprawiła, że okrągły jubileusz 30-lecia nie może się odbyć w podobny sposób, ale wierzymy, że niedługo dane nam będzie wrócić do tej formuły.

Jakie macie plany na najbliższe lata?

W tej chwili pracujemy pełną parą nad nowymi propozycjami programowymi, które chcielibyśmy realizować w rozpoczynającej się nowej perspektywie finansowej UE na lata 2021-2027. Przedstawiamy je do zatwierdzenia w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej. Wygląda na to, że nasze propozycje uzyskają akceptację i będziemy realizować m.in. nową odsłonę programu First Team dla młodych badaczy. Będziemy też kontynuować w odświeżonej wersji Team Net, czyli tworzenie konsorcjów, które będą działać w celu doprowadzenia pomysłu naukowego do komercjalizacji.

Czy nie zabieracie pola NCBR-owi?

Raczej się uzupełniamy, bo nie chodzi nam o konsorcja z przemysłem ani o udzielanie pomocy publicznej. Chcemy pokazać, że da się skomercjalizować wyniki badań siłami samej nauki, na podstawie pomysłu powstałego w laboratorium. Niektórzy wątpią w tę drogę komercjalizacji, a ja jestem przekonany, że to się da zrobić. W Team Net będziemy tworzyli konsorcja działające w zakresie tematycznym, w którym państwo chce rozbudować swoje kompetencje. Konsorcjum będzie zobowiązane powołać własną firmę, aby skomercjalizować pomysł naukowy. Największym wyzwaniem naszej nowej oferty programowej jest program Innowator 2.0, czyli budowanie start-upów na podstawie pomysłów powstałych na polskich uczelniach. Wierzymy, że można to zrobić i osiągnąć sukces. Etap przejścia od laboratorium do praktyki gospodarczej jest bardzo trudny. Depczemy tu po palcach różnym grupom interesów. Uważam, że w Polsce ta droga prawie w ogóle nie

działa, poza nielicznymi wyjątkami. A może działać, bo gdzie indziej, np. w Wielkiej Brytanii czy USA, działa.

Fundacja przyjęła szereg kodeksów etycznych. Czy trzeba zasady formalizować w ten sposób, żeby działały?

Na początku 2005 roku, niedługo po tym, jak zostałem prezesem Fundacji, przeżyłem taką sytuację: zostałem poinformowany, że jeden z laureatów fabrykuje wyniki. Od razu podjąłem próbę wyjaśnienia, ale czułem, że nie ja powinienem rozstrzygać takie sprawy. Powołaliśmy niezależną komisję etyczną przy Fundacji, która w razie wątpliwości może szybko podjąć działania, rozpatrzyć sprawę, przedstawić swoje wnioski zarządowi, aby ten mógł podjąć ostateczną decyzję. Od niej zaś musi być możliwość odwołania, w naszym przypadku do Rady Fundacji. Od tamtej pory dorobiliśmy się dwóch kodeksów: dotyczącego nas samych oraz naszych beneficjentów i kandydatów biorących udział w konkursach, a także regulaminu postępowania w przypadku potencjalnego naruszenia zasad. Kodyfikacja reguł w zakresie standardów etycznych jest dziś obowiązkowym elementem działalności instytucji przyznających granty badawcze. Instytucja, która przyznaje pieniądze na badania naukowe, zyskuje ważny oręż. Na tej podstawie możemy zareagować na nieetyczne działania i np. osobie, która poważnie naruszyła nasze zasady i podważyła nasze zaufanie, odmówić przyznania jakichkolwiek grantów w przyszłości. Tak działają systemy grantowe za granicą. Oczywiście w skrajnych przypadkach, gdy przypuszczamy, że mogło dojść do naruszenia prawa, zgłaszamy sprawę do prokuratury.

Ile razy takie sytuacje miały miejsce?

Bardzo niewiele, procedurę z udziałem komisji etycznej uruchamialiśmy w ciągu ostatnich kilku lat nie więcej niż 10 razy, a jedną sprawę przekazaliśmy do prokuratury.

Czy widzi pan jakieś zagrożenia dla działalności Fundacji?

Żyjemy w niespokojnych czasach, więc skłamałbym mówiąc, że ich nie dostrzegam. Staramy się jednak koncentrować na obszarach, na które mamy wpływ i które próbujemy zmieniać na lepsze.

Rozmawiał Piotr Kieraciński



Stoją od lewej: dr Tomasz Perkowski, prof. Maciej Żyłicz, prof. Włodzimierz Bolecki.

Fot. FNP

Twarda walka o pieniądze

Początki Fundacji na rzecz Nauki Polskiej wspomina dr Jan Krzysztof Frąckowiak, fizyk, pracownik Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN, wieloletni zastępca przewodniczącego Komitetu Badań Naukowych jako podsekretarz, a przejściowo sekretarz stanu, oraz drugi prezes Fundacji.

Z nadania profesora Witolda Karczewskiego, przewodniczącego Komitetu Badań Naukowych, zostałem prezesem Fundacji w początkach jej działalności. Fundację utworzono przyznając jej środki pozostałe po zlikwidowanym Centralnym Funduszu Rozwoju Nauki i Techniki, którego szefem był prof. Jan Janowski, rektor Akademii Górniczo-Hutniczej. To chyba jego przenikliwości i sile politycznej zawdzięczamy fakt powstania Fundacji i zaopatrzenia jej w solidny fundusz założycielski. Mój bezpośredni szef, prof. Karczewski, też zadbał o to, aby Fundacja działała poprawnie.

Na samym początku natknęliśmy się na niespodziewany problem. Przewidywania mówiły, że Urząd Postępu Technicznego i Wdrożeń zniknie, a pieniądze Funduszu pójdą na utworzenie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Nikt z nas nie wiedział, jak to ma działać, wszyscy myśleli, że to będzie taka nieduża, niebogata fundacja. A tu nagle okazało się, że na kontach Funduszu jest 950 miliardów złotych, wtedy równowartość 100 milionów dolarów. To były bardzo duże pieniądze.

Ta informacja spowodowała, żeśmy się zaczęli zastanawiać, jak z tego bezpiecznie (dla publicznych środków na naukę) wybrnąć. Prof. Karczewski wezwał mnie wtedy i zaproponował kierowanie Fundacją. Powiedział: masz godzinę na odpowiedź. Wahałem się, ale wtedy wszyscy byliśmy entuzjastycznie nastawieni do odważnych zmian ustrojowych.

Gdy rozeszła się wieść, że powstała bardzo bogata Fundacja, która ma górę pieniędzy, pojawiły się różne pomysły ich wykorzystania. Ze środka KBN przyszedł pomysł, by zamiast jednej dużej, utworzyć wiele mniejszych fundacji. Natomiast pogląd mój i prof. Karczewskiego był zgodny i dokładnie przeciwny: uważaliśmy, że należy te pieniądze zatrzymać w jednym, silnym podmiocie, bo ich rozdrobnienie może sprawić, że zostaną rozproszone i źle wydane. Zakładaliśmy, że KBN roztoczy kontrolę nad tym przedsięwzięciem.

Niestety, propozycje podzielenia pieniędzy pojawiły się także ze strony wówczas politycznie najmocniejszej, bo z samej „Solidarności”. „S” zgłosiła się do mnie z apelem o wsparcie upadających, niekoniecznie nowoczesnych przedsiębiorstw – to był wielki problem rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego. Politycy z wyższej półki przychodzili do prof. Karczewskiego, ci z niższej do mnie. Walczyliśmy z tymi poglądami, starając się nikogo nie urazić. Brak jednoznacznej, rozsądnej podstawy prawnej był naszym głównym argumentem. To były pomysły na rozdanie pieniędzy (na naukę!) bez gwarancji jakiegokolwiek sukcesu badawczego czy chociażby innowacyjnego.

Moi koledzy z „Solidarności” udali się wtedy po pomoc do swoich kolegów w Parlamencie, prosząc ich o odebranie Fun-

dacji tych 100 milionów dolarów, a przynajmniej ich części. Sejm powołał komisję, która wypracowała wniosek, aby część z tego funduszu, który miał być przekazany Fundacji (bodaj 500 miliardów złotych) przekazać na inne cele. Na szczęście wniosek nie przeszedł w Sejmie.

Ale na tym nie koniec. Pewnego chłodnego, deszczowego dnia około północy jako prezes Fundacji zostałem zaproszony do premiera Krzysztofa Bieleckiego. Byli u niego ludzie z „Solidarności”, w tym bliscy koledzy, razem mieliśmy ustalić jakieś programy, które miałyby sfinansować Fundacja. W dokumentach, które ją tworzyły, była mowa o wspieraniu badań naukowych, wynikach naukowych, obiektywnych ocenach wniosków. Upierałem się zatem, że to trzeba zapisać w regulaminach przyznawania środków. Stanowisko KBN-u było takie, że pieniądze na wartościowe projekty zostaną przyznane, ale o tym, które projekty są wartościowe i mają szanse realizacji, muszą zdecydować niezależni eksperci ze środowiska akademickiego. To ma być działanie

na rzecz nauki, a nie pomysł na wypłacenie pensji ze środków Fundacji – bo były i takie propozycje. Nie podpisywałem żadnego dokumentu, który nie zawierał tego zastrzeżenia. Z kilkudziesięciu projektów, które złożono wtedy w Fundacji, dwa oceniono jako rokujące nadzieję. Dwa przedsiębiorstwa otrzymały środki na modernizację swoich produktów. Mam satysfakcję, że te firmy unowocześniły swoją produkcję i nie upadły, co pozostaje pozytywnym efektem wydatkowania środków FNP.

Moim pierwszym zadaniem jako przewodniczącego była obrona Fundacji przed zniszczeniem i to się powiodło, mimo dwóch nieudanych inwestycji. Już w 1992 roku prezesem Fundacji został prof. Maciej Grabski i wtedy weszła ona w pełni (brak politycznych uzależnień!) na właściwe tory: przewodniczył jej teraz wielkiej klasy uczoney, całkowicie niezależny od władzy politycznej, podczas gdy mnie można było wyrzucić z pracy z dnia na dzień. System zaczął funkcjonować prawidłowo, groźba wpływu polityki na wydatki praktycznie zniknęła. Korzystaliśmy tutaj także z doświadczeń podobnych organizacji zagranicznych. Przewyciężenie nacisków „Solidarności” i kilku ministerstw (nie mówiąc o Sejmie) było na pewno ważnym krokiem. Utworzenie FNP działało też dobrze na sam KBN (kto lepiej wydaje pieniądze publiczne?) i resztę środowiska naukowego. Fundacja odegrała również istotną rolę jako pewien wzorzec, nie tylko w skali krajowej, co potwierdzają zagraniczni eksperci zapraszani do audytów. W Brukseli wciąż dobiegają do mnie pozytywne głosy o jej działaniu.

Notował Piotr Kieraciński



Fot. Stefan Ciechan

Fundacja innowacyjności

Prof. Leon Gradorń, specjalista w zakresie inżynierii chemicznej i biomedycznej z Politechniki Warszawskiej, laureat Nagrody FNP z 2006 r., były przewodniczący Rady FNP, mówi o działalności Fundacji w kontekście przedsiębiorczości naukowców.

Z zasady nie występuję o granty. Wynika to ze stoickiej postawy, która każe mi unikać takich elementów życia, w których dominuje losowość, na które nie mam wpływu. W przypadku wszelkiego rodzaju konkursów element losowości jest zbyt duży, jak na moje inżynierskie przekonania, które każą mi poruszać się w takich obszarach, gdzie jasno definiuje się cel, wymagania i jest jeden lub dwóch rywalizujących ludzi, którzy chcą go rozwiązać. Wtedy wiem, dlaczego wygrałem. Nagrodę FNP dostałem, ponieważ ktoś inny mnie zgłosił; właściwie nie wiedziałem, kto to zrobił. To jedno z najważniejszych i najbardziej prestiżowych wyróżnień w polskiej nauce, a zatem cieszącym się dużym zainteresowaniem mediów. Ogromną zaletą nagrody FNP, o której rzadko się mówi jest to, że pozwala ona przedstawić publicznie nasze prace, osiągnięcia, te nagradzane, ale przy okazji także inne. Nośność nagrody jest ogromna. W moim przypadku chodziło o wyniki pewnych badań podstawowych, które doprowadziły do wdrożeń, w różnej skali, ale także jednego wdrożenia przez dużego gracza rynkowego, który w swoich fabrykach w Stanach Zjednoczonych – początkowo także w Polsce – produkuje filtry kancerogennych cząstek mgły olejowej do samochodów w silnikami diesla, oparte na rozwiązaniach moich i zespołu. Korzysta z tego społeczeństwo, bo mamy dzięki temu czystsze powietrze.

Skutkiem nagrody była także popularyzacja postaw innowacyjnych. To ważne, bo to coś innego niż zwykły postęp techniczny. Innowacyjność to aktywność twórcza, nauka włączona w cały system gospodarczy. W każdym nowoczesnym państwie innowacja staje się siłą napędową rozwoju, pozwala zastąpić model odtwórczy, modelem innowacyjnym. To, co mi się dzięki Nagrodzie FNP udało, to pobudzenie w gronie moich współpracowników kreatywności, które wyzwala wolność twórczą, eliminację różnych ograniczeń wynikających z rutyny, z przyzwyczajęń. Chlubię się postawą, którą lansował niegdyś Adam Smith – postawą ekonomiczną (homo economicus), która wciąga jednostki w działalność innowacyjną, i bazuje na zasadzie własnej korzyści.

Od kilkunastu lat Fundacja wprowadza także programy, które mają pobudzić akademicką innowacyjność na wielu różnych polach, nie tylko ściśle technicznym. Mamy obecnie w uczelniach technicznych do czynienia z pewnym marazmem. W programie kształcenia nie ma czegoś takiego jak pobudzenie wśród studentów postaw przedsiębiorczych – gdzie łączy się wiedzę, doświadczenie, intuicję. Niestety, programy grantowe NCBR i NCN nie mają w kryteriach oceny elementu kreatywności. Fundacja, przez pewne zmiany w programach, ma szansę przełamać

ten impas, polegający na zatrzymaniu badań na wynikach czysto teoretycznych. Moi studenci i doktoranci, którzy przebywają teraz w University of California czy ETH, z nadzieją przyglądają się tym nowym programom oraz kapitałowi, który przybywa do Polski, i zastanawiają się nad powrotem do kraju. Ewolucja programów Fundacji w tę stronę może przynieść bardzo interesujące i ważne korzyści dla nauki i gospodarki.

Pracowałem w Radzie NCBR, byłem członkiem Senatu PW, no i wreszcie w Radzie Fundacji. Ona pracuje trochę inaczej niż pozostałe organy kolegialne. Wydatnie wspomaga działania Zarządu FNP. Ta ścisła współpraca przynosi dobre rezultaty, a członkom Rady daje satysfakcję ze sprawczości. Byłem członkiem Rady FNP, a potem jej przewodniczącym w bardzo trudnym okresie. Fundacja znalazła się wówczas w sytuacji, gdy na podstawie umowy z NCBRem, z beneficjenta stała się instytucją wdrażającą programy unijne. Wskutek tego utraciła możliwość kreatywnego i bardziej swobodnego działania według własnych wyobrażeń, a musiała przyjąć wymogi, które określił fundator programów - Unia Europejska poprzez instytucje nadzorujące Program Operacyjny Inteligentny Rozwój. Fundacja poradziła sobie z tym ograniczeniem najlepiej, jak można było. Działalność kreatywna pozostała tam, gdzie większy wpływ miała Rada, czyli w MABach, w których Fundacja zachowała status beneficjenta i dwóch podstawowych programach: stypendiach START i Nagrodzie FNP, gdzie Rada ma szczególne plenipotencje, od wyłaniania kandydatów do zatwierdzenia laureatów.

Członkowie Rady to zespół silnych indywidualności o odmiennym przygotowaniu naukowym, o różnych spojrzeniach na to, co robimy. Zadaniem przewodniczącego jest doprowadzenie do pewnego konsensusu, bo tak właśnie działamy - nie przegłosowujemy się, ale szukamy wspólnego rozwiązania. Przewodniczący, dla zachowania czystego sumienia, własnych wartości i przekonań, musi minimalizować osobiste straty. To się w moim przypadku udawało robić. Czasami miałem wiedzę, której nie mogłem ujawniać pozostałym członkom Rady, a jednak udawało mi się przekonać ich do rozwiązań z tej wiedzy wynikających. Dobrze wspominam współpracę z Zarządem Fundacji w realizacji programu Międzynarodowych Agend Badawczych. Nasze uwagi były zwykle uwzględniane, co na pewno pomogło rozwiązać najtrudniejsze sprawy MABów, które okazały się bardzo trudnym programem. To są duże pieniądze, wielkie indywidualności. To wielki eksperyment Fundacji. Bardzo jestem ciekaw jego rezultatów.



Fot. Stefan Ciechan

Notował Piotr Kieraciński

Jak wzorzec z Sèvres

W gdańskiej rodzinie Horodeckich jest czterech fizyków: nestor Ryszard, Michał i Paweł są niemal równolatkami oraz najmłodszy Karol. Wszyscy są beneficjentami programów FNP. To się zaczęło w 1998 r., gdy Michał i Paweł otrzymali Stypendium dla młodych naukowców. Opublikowaliśmy wówczas w FA artykuł „Alicja w krainie kwantów”.

Śmiała inicjatywa

Powstanie FNP, samodzielnej struktury, niezwiązanej z żadną instytucją państwową w ówczesnym kontekście społeczno-politycznym graniczyło z cudem. Podziw musi budzić dalekowzroczność nie tylko jej inicjatorów, ale także znakomych kontynuatorów. Szukając odniesień do wydarzenia tej rangi przychodzi mi na myśl *Sztafeta* Wańkowicza – raport o polskim pochodzie gospodarczym w drugiej RP. Niezwykle śmiała, choć oczywiście nie w tej skali, inicjatywa wymagała dużej odwagi i wyobraźni, a przy tym zmysłu ekonomicznego



Fot. Piotr Kierczalski

i żelaznej konsekwencji w działaniu, aby ten założycielski kapitał nie rozpląnął się, ale pomnażany służył niezwykle bogatej mozaice inicjatyw wspierających naukę w Polsce. Kiedy synowie, a w kilka lat później i ja – za sprawą nagrody FNP – staliśmy się beneficjentami Fundacji, mogłem mieć tylko nadzieję, że dług zaciągnięty u jej Ojców spłacimy w „sztafecie” pokoleń.

Ryszard Horodecki

Symbol konsekwentnego wsparcia

Z pewnością nie ma instytucji doskonałych, ale jeżeli można sobie jakkolwiek wyobrazić wzorzec z Sèvres funkcjonowania niezależnych od państwa instytucji, których misją jest wspieranie krajowej nauki, to FNP stanowi takiego wzorca dobre przybliżenie. Pośród zmieniających się okoliczności pozostaje niepowtarzalnym symbolem konsekwentnego wsparcia dla nauki w Polsce. Idea rozpoznawania w kraju tematów istotnych, ośrodków dysponujących silnym rezonansem międzynarodowym, przyjazne nastawienie do grantobiorców, unikanie nadmiernej biurokracji przy równoczesnym przenikliwie i wymagająco prowadzonym monitoringu wspieranych badań to niektóre wyróżniki działalności Fundacji.

Stypendium dla młodych naukowców przyznane mi przez Fundację wspominam z sentymentem. Zbiegło się w mojej karierze młodego asystenta z podjętą jeszcze przed doktoratem pierwszą samodzielną współpracą międzynarodową, a odnośny artykuł spotkał się z dużym rezonansem i jest cytowany po

dziś dzień. Wsparcie Fundacji zapewniło komfort, który pozwolił na owocną finalizację zarówno tego, jak i innych pasjonujących zagadnień badawczych w tamtym okresie. Ponad trzy lata temu brałem udział, wraz z prof. Markiem Żukowskim, kierownikiem projektu, jako tzw. ko-aplikant, w procesie występowania o fundusze w ramach inicjatywy FNP Międzynarodowe Agendy Badawczej, który zakończył się przyznaniem grantu. Nowo utworzony instytut kierowany przez prof. Żukowskiego tętni naukowym życiem, co pozwala z nadzieją patrzeć w przyszłość. Młodzi badacze, już ze znaczącym dorobkiem, przybyli z całego świata, z zapałem dyskutują z doświadczonymi, co skutkuje coraz to nowymi wynikami teoretycznymi i praktycznymi. Powstawanie w kraju, pod auspicjami Fundacji, w ostatnich latach ośrodków naukowych opartych na podobnej idei – zakorzenionych w kraju, a równocześnie mających międzynarodową pozycję i powiązanych z resztą świata bogatą współpracą – może napawać optymizmem co do rozwoju nauk w Polsce.

Paweł Horodecki

Kontakt nacechowany życzliwością

Otrzymaliśmy stypendium FNP w czasach zamierzchłych, kiedy jeszcze nie nazywało się START. Obaj z bratem Pawłem aplikowaliśmy o stypendium z nadzieją, że to zwiększy szansę, że któryś z nas dostanie. Ucieszyliśmy się bardzo, że dostaliśmy obaj. Kontakt z Fundacją jest zawsze nacechowany życzliwością – czujesz, że grantodawcom naprawdę zależy na tym, żebyś uprawiała/uprawiał naukę najlepiej jak potrafisz, i nawet jeżeli środki, którymi dysponuje, pochodzą z „trudnych” funduszy, których wydawanie jest obwarowane różnymi obostrzeniami, to Fundacja pomaga jak może, pochyla się nad tym wraz z tobą. Jest ona przykładem jedności działań z deklaracjami.

Czy taka laurka może brzmieć szczerze w ustach kogoś, kto jest beneficjentem dużego grantu otrzymanego od Fundacji? Można wierzyć, można nie wierzyć, jednak zawsze właśnie tak myślałem o Fundacji. Wydaje się, że ten założycielski entuzjazm nie tylko wciąż żyje, ale rozwija się i adaptuje do zmieniających się czasów i reguł, jest jednak wciąż entuzjazmem, który wierzy, że możemy w Polsce mieć naukę na najwyższym poziomie. Inicjatywa Międzynarodowych Agend Badawczych trafiła idealnie w nasze zapotrzebowanie – pozwoliła zastąpić strukturę łataną z grantów atrakcyjnym stabilnym finansowaniem, przyciągającym na studia doktoranckie i staże postdoktorskie znakomych kandydatów z całego świata.

Michał Horodecki

Wsparcie i zobowiązanie

Stypendium FNP Start, którego beneficjentem byłem dwukrotnie, było zarówno wspierające, jak i zobowiązujące. Pozwoliło na spokojny rozwój naukowy, w tym pisanie pracy doktorskiej, a także na intensywne badania naukowe. Owocem tego okresu jest artykuł, w którym wraz ze współautorami wyka-

załem, że bezpieczeństwo względem kwantowego adwersarza można uzyskać również wtedy, gdy nie da się wiernie przesyłać kwantowej informacji. W tym samym czasie powstała publikacja ustalająca paradygmat otrzymywania bezpieczeństwa względem kwantowego adwersarza ze stanów kwantowych. Mając wsparcie stypendium FNP Start, zostałem również współautorem pracy przeglądowej pod tytułem *Quantum Entanglement*, która po kilkunastu latach od publikacji stanowi klasyczną pozycję literaturową omawiającą zjawisko splątania.

Wsparcie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej zobowiązuje. Tematykę kwantowej kryptografii rozwijaną w okresie stypendium Start kontynuowałem prowadząc grupę badawczą w ciągu ostatnich 6 lat, zbudowaną dzięki grantowi NCN Sonata Bis 5, jak również, od roku 2019, jako senior post-doc w ramach pracy dla Międzynarodowego Centrum Teorii Technologii Kwantowych.

Karol Horodecki

Inspiratorka

Prof. Krzysztof Józwiak jest beneficjentem kilku programów FNP. Gdyby nie one, zapewne pracowałby dziś za granicą.

Nie sposób opisać w krótkim tekście wszystkich zasług Fundacji w dziele wspierania najlepszej nauki w naszym kraju. 30 lat temu zdarzyło się coś wyjątkowego, dla niektórych było to może nawet coś w kategoriach cudu. W przełomowym dla Polski okresie, kiedy z jednej strony permanentnie brakowało pieniędzy, a z drugiej na obrzeżach państwowego majątku nierzadko zdarzały się finansowe nieprawidłowości, udało się stworzyć rzetelną, profesjonalną i opartą na najlepszych światowych wzorcach agencję skutecznie wspierającą naukowców w Polsce. Od początku kluczem do sukcesu był bardzo dobrze przemyślany model działalności punktowo skupionej na identyfikowaniu najlepiej rokujących badaczy i wyposażaniu ich w narzędzia i fundusze, które najlepiej mogły pomóc w realizacji ich pasji naukowych. Zaczęło się od fundowania stypendiów dla naukowej młodzieży oraz staży podoktorskich u największych światowych mistrzów, z czasem oferta Fundacji poszerzała się na kolejne grupy bardziej doświadczonych badaczy. Dopiero od niedawna, dzięki wsparciu funduszy UE, skala działalności pozwala na wsparcie powstania zupełnie nowych instytucji naukowych skupiających wybitne i zróżnicowane międzynarodowo grupy badawcze.

Tak skonstruowana oferta Fundacji stała się ważnym argumentem dla naukowców pracujących za granicą do rozważenia możliwości kontynuowania badań naukowych w polskich instytucjach. Oczywiście w pierwszej kolejności dotyczy to naszych rodaków na obczyźnie, ale jest w tym gronie coraz więcej autentycznych obcokrajowców. Na pewno było tak w moim przypadku. Gdy w 2004 roku kończyłem post-doka w Narodowych Instytutach Zdrowia, bardzo ważna była świadomość, że w Polsce mogę znaleźć warunki do dalszych realizacji swoich pasji naukowych. Droga to oczywiście niełatwa, ale nieoceniona jest możliwość aplikowania w otwartych konkursach przeznaczonych dla osób takich jak ja. W tamtym czasie Fundacja na rzecz Nauki Polskiej była bodaj jedyną instytucją, która dawała gwarancję otwartej konkurencji zgłoszonych projektów badawczych. Z perspektywy czasu mogę przyznać, że przecucie mnie nie myliło. Jestem dumnym laureatem kilku programów Fundacji, które odegrały olbrzymią rolę na mojej drodze do naukowej samodzielności.



for: FNP

Oprócz rysu osobistego chciałem zwrócić uwagę na moim zdaniem najważniejszy wymiar przełomowej roli Fundacji w ostatnich 30 latach. Jubilatka w wielu przypadkach była prekursorem rozwiązań, które wydatnie pomagały i nadal pomagają w przestawieniu naszej nauki z modelu odziedziczonego po PRL na model powszechnie przyjęty w krajach naukowo rozwiniętych. Najlepszy przykład to Program Kolumb, finansujący staże naukowe młodych doktorów w najlepszych instytucjach naukowych świata, był przecież pierwszą systemową próbą implementacji idei mobilności polskich naukowców. Niejednokrotnie też proponowane przez Fundację rozwiązania spotykały się z krytyką części środowiska. Trudno sobie to teraz wyobrazić, ale był czas, gdy kontrowersyjna była sama idea otwartych konkursów skierowanych nie do instytucji, ale do pojedynczych badaczy i to niezależnie od ośrodka, w którym pracują. Podobnie było z konsekwentnie realizowanym modelem oceny wniosków przez niezależnych (i anonimowych) ekspertów, z których duża część pochodziła z zagranicy. Fundacja od początku była też orędowniczką tego, aby najlepszym, wyselekcjonowanym w bardzo trudnych konkursach badaczom zapewnić godziwe wynagrodzenie pozwalające w całości skupić się na pracy w projekcie, a dotyczyło to zarówno laureatów, jak i ich doktorantów czy post-doków. Pamiętam, że wielu moich profesorów uważało za niesłuszne, gdy młokos w projekcie FNP potrafił zarobić więcej niż profesor.

Te i wiele innych kontrowersji udawało się rozbroić dzięki wytrwałej pracy i rosnącemu z roku na rok autorytetowi. Można chyba zaryzykować stwierdzenie, że przez długi okres czasu Fundacja była jedyną instytucją w Polsce realizującą politykę naukową opartą na najlepszych i najbardziej transparentnych międzynarodowych wzorcach. Gdy zaczęły powstawać inne, rządowe agencje, jak na przykład Narodowe Centrum Nauki, całymi garściami czerpały inspiracje i szczegółowe rozwiązania z wcześniejszych doświadczeń Fundacji. Wszystko to w imię zawsze aktualnej dewizy: warto wspierać najlepszych, aby mogli stać się jeszcze lepsi. Sto lat Fundacja!

Krzysztof Józwiak, Uniwersytet Medyczny w Lublinie

Rozmowa z prof. Włodzimierzem Boleckim, literaturoznawcą z Instytutu Badań Literackich PAN,
wiceprezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Książka jest najważniejszym osiągnięciem humanisty

Monografia definiuje i potwierdza powstające przez dłuższy czas, rozłożone na etapy wyniki badań naukowych, a sama w sobie jest osiągnięciem jako skomponowana całość dyskursywna. I choć wydawać by się mogło, że dziś nie ma potrzeby dyskutować o znaczeniu monografii w humanistyce, bo jest ono oczywiste, to jednak od dawna toczą się dyskusje nad zakresem pojęcia monografii.

Monografie to dość nietypowy program Fundacji...

Monografie FNP, obok START-u oraz Nagrody FNP, należą do najstarszych programów Fundacji. Wszystkie powstały na początku lat 90., niemal z narodzinami Fundacji, i mimo że w tym okresie istniało już kilka innych programów (np. PONT, PROMOCJA, ARCHIWA, SUBIN, SSEES), do dziś przetrwały tylko te trzy. Ich twórcami byli „ojcowie założyciele” Fundacji: profesorowie Maciej Grabski, Janusz Sławiński, Marian Grynbberg, Henryk Samsonowicz, Lech Szczucki, których wizja celów i sposobów działania FNP pozostaje do dziś aktualna. Wszyscy (poza prof. Grabskim) działali wcześniej w Towarzystwie Popierania i Krzewienia Nauk, nie dziwi więc ich wspólna diagnoza tego, co polskiemu środowisku naukowemu było wtedy najbardziej potrzebne.

Pierwsze programy Fundacji miały przede wszystkim charakter „pomocowy” i „ratowniczy”, finansowały głównie modernizację warsztatów pracy naukowej. Z okresu PRL nauka wychodziła z ogromnymi brakami i potrzebami w każdej dziedzinie. W tym okresie Fundacja (powstała w grudniu 1990 r.) w zasadzie nie finansowała badań; przede wszystkim wspomagała infrastrukturę badawczą lub stwarzała warunki do prowadzenia badań, a nie same badania. Do dziś w Nagrodzie FNP oceniane są osiągnięcia, wyniki badań, ale nagroda nie służy ich finansowaniu. W programie START jest podobnie: nagradzamy osoby za ich pierwsze osiągnięcia i plany na przyszłość, ale nie finansujemy projektów naukowych. Z kolei w Monografiach FNP, które powstały w 1994 r., finansujemy rezultat, efekt wcześniejszych, wieloletnich badań, czyli nagradzamy wybitne wyniki, osiągnięcia, a nie same badania. To, że te trzy programy do dzisiaj cieszą się uznaniem środowiska naukowego, potwierdza nie tylko ich niesłabnąca aktualność, ale przede wszystkim bezbłędną diagnozę „ojców założycieli” Fundacji. U początków działalności FNP brzmiała ona mniej więcej tak: nauka potrzebuje nie tylko wsparcia infrastrukturalnego, nie tylko środków na modernizację warsztatów pracy, nie tylko tworzenia warunków

nowoczesnych badań, ale przede wszystkim docenienia tego, co w nauce jest najważniejsze, czyli ludzi – konkretnych, wybitnych uczonych, bez których kreatywności, pięknych umysłów, pasji, bezinteresownej ciekawości świata najlepsze infrastruktury, aparaty i mury będą tylko zbiorem rzeczy nazywanych w żargonie naukowym drogimi zabawkami. A najważniejszą formą docenienia uczonych są nagrody dla konkretnych osób, dlatego przecież pod koniec każdego roku cały świat czeka na ogłoszenie laureatów Nagrody Nobla.

Dlaczego monografie?

Ponieważ książka jest najważniejszym, niekwestionowanym osiągnięciem każdego humanisty. I trzeba też pamiętać, że zdecydowana większość monografii to prace indywidualne. Nie artykuł, ale książka i to nie każda książka, lecz monografia, czyli całościowe przedstawienie oryginalnego tematu. Oczywiście monografia może być złożona z pojedynczych artykułów połączonych wspólnym tematem, wzajemnie się uzupełniających i rozwijających, co ostatecznie znalazło wyraz w zapisach ustawowych dotyczących kryteriów przyznawania stopni naukowych. Ten duży format publikacyjny jest charakterystyczny dla większości nauk humanistycznych i często także społecznych. Monografia definiuje i potwierdza powstające przez dłuższy czas, rozłożone na etapy wyniki badań naukowych, a sama w sobie jest osiągnięciem jako skomponowana całość dyskursywna. I choć wydawać by się mogło, że dziś nie ma potrzeby dyskutować o znaczeniu monografii w humanistyce, bo jest ono oczywiste, to jednak od dawna toczą się dyskusje nad zakresem pojęcia monografii. Przed takim problemem stanął kilka lat temu Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych, proponując objęcie terminem „monografia” duże, nieksiążkowe i niedyskursywne formaty publikacyjne, np. mapy, atlasy, katalogi, bibliografie czy edycje źródeł. Są to bezdyskusyjnie swoiste i ważne formaty publikacyjne, chociaż znalazły się w koszyku monografii tylko ze względu procedury ewaluacji działalności

naukowej oraz – budzące dziś najwięcej kontrowersji – kryteria jej wyceny punktowej.

A czym się różnią Monografie FNP od monografii jako gatunku publikacji w humanistyce?

Monografie FNP zostały pomyślane jako rozpoznawalna i specyficzna seria, którą jest do dziś. Natomiast monografie jako gatunek to nieograniczony w czasie i przestrzeni zbiór książek, które – precyzyjnie lub nie – są tak nazywane.

Co można dziś powiedzieć o tej serii?

Do tej pory w serii Monografie FNP ukazało się 236 tytułów (następne są w druku). Zatem w ciągu 26-27 lat publikowaliśmy średnio dziesięć tytułów rocznie, przy amplitudzie od czterech do piętnastu. Najwięcej w roku 2000, a najmniej rok później, ale średnia roczna pozostała taka sama. Nie ma w tej amplitudzie żadnych cykli czy koniunktur. Liczba laureatów programu Monografie FNP jest jedynie informacją o tym, ile wybitnych prac zostało zgłoszonych do naszego konkursu, spośród których publikujemy około dziesięć procent tytułów. Podkreślam – wybitnych, a nie tylko dobrych czy bardzo dobrych, bo te mogą być opublikowane w różnych wydawnictwach naukowych. Jednak takie prace to zdecydowana większość zgłaszanych do konkursu i dlatego tak trudne jest zadanie Rady Wydawniczej. Notabene w programie START laureaci też stanowią około dziesięć procent wszystkich, którzy zgłosili się do konkursu.

Ciekawe jest tematyczne spektrum prac przysyłanych na konkurs, zwłaszcza tych, które otrzymują naszą subwencję. U początków serii dominowały prace historyczne, filozoficzne, monografie z nauk o kulturze, literaturoznawstwa, ale także z niszowych, lecz ważnych obszarów badawczych, jak historia matematyki, teologia, historia sztuki czy muzykologia. Ważnym nurtem były kiedyś prace z teorii i filozofii nauki. Wbrew potocznym wyobrażeniom, w serii Monografie FNP humanistykę traktujemy bardzo szeroko, obejmując tym terminem także nauki społeczne, prawne, o sztuce czy teologiczne.

W programie można zauważyć charakterystyczną cezurę. O ile przez pierwszą dekadę publikowano książki, których tematyka raczej nie zaskakiwała, była bardzo dobrze osadzona w tradycji dotychczasowych badań, to mniej więcej od drugiej dekady, czyli od 2004-2005 roku, na konkurs zaczęły napływać prace poświęcone tematom, których nikt wcześniej nie podejmował. Świadczy to nie tylko o nowych zainteresowaniach badaczy, ale także o zmianach w rozumieniu humanistyki i jej przedmiotu.

Na przykład?

Na przykład pierwsze książki poświęcone nowym zjawiskom społecznym i sposobom ich badania, takim jak supermarketyzacja czy semiotyka życia publicznego, pojęcie jakości życia w medycynie, subkultura zamkniętych osiedli, technologie cyfrowe a dynamika życia społecznego, ale także – zwłaszcza w ostatnich latach – prace na temat tatuaży, piercingu, relacji intymnych między ludźmi czy zjawisku usług domowych.

Pojawiły się też prace dotyczące tematów wcześniej niepodjętych, np. z zakresu technologii (związane z odkryciem gazu łupkowego) czy coachingu. Nowe tematy świadczą o zmianach w naukach społecznych i humanistycznych, o powstawaniu nowych obszarów badawczych. No i jest w tych pracach bardzo silny komponent interdyscyplinarny. Notabene kompletnie zlekceważony w Ustawie 2.0.

Program ma dwa podprogramy...

Tak, dwa osobne moduły: translacje i adiustacje. W okresie, gdy w FNP przeważała strategia pomocowa, Fundacja wspie-



rała też promocję polskiej humanistyki za granicą, dofinansowując tłumaczenia najlepszych książek przysyłanych na konkurs. Początkowo na ten konkurs można było zgłosić dowolną książkę, którą zainteresował się wydawca zagraniczny, a prace, które były wysoko ocenione, otrzymywały subwencję. W 2012 r. zmieniliśmy jednak zasady programu translatorskiego – finansujemy tylko tłumaczenia książek wydanych w serii Monografie FNP. Wynika to z faktu, że ministerstwo nauki wprowadziło program o podobnym charakterze. O ile wcześniej przysyłano prace, o których nikt nic nie wiedział i trzeba było je ocenić pod wszystkimi względami, o tyle teraz wychodzimy z założenia, że finansowanie tłumaczenia książek, które zostały zakwalifikowane do druku po bardzo wymagającej procedurze konkursowej, jest rodzajem dodatkowej nagrody dla autorów. Stawiamy jednak warunek, że deklarację wydania konkretnej książki musi wyrazić rozpoznawalne wydawnictwo zagraniczne.

Z kolei Adiustacje to niszowy dodatek do Translacji. Chodziło nam o to, żeby autorzy, którzy sami przygotowują prace po angielsku (lub w innym języku kongresowym), mogli je zweryfikować pod względem językowym (np. przez native speakera) przed wysłaniem do wydawcy zagranicznego. Jednak warunkiem jest złożenie takiej pracy do konkursu razem z pracami napisanymi po polsku. Prawdę mówiąc, takich prac było dotąd niewiele.

Jak Fundacja powołuje Radę Wydawniczą?

Początkowo Rada Wydawnicza składała się z trzech inicjatorów tej serii, profesorów: Janusza Sławińskiego (literaturoznawcy), Henryka Samsonowicza (historyka) i Lecha Szczuckiego (filozofa). Po mniej więcej dziesięciu latach do składu rady dołączył socjolog, prof. Marek Ziółkowski. Dzisiaj liczy ona pięć członków, a tym piątym jest historyk sztuki.

Fundacja zaprasza do uczestnictwa w Radzie Wydawniczej wybitnych humanistów, osoby, które są autorytetami w swoich dyscyplinach. Jeśli tacy uczeni nie rekomendują jakiejś pracy do publikacji, to z ich decyzją autorowi łatwiej się pogodzić. Rzecz ciekawa: autorzy prac niezakwalifikowanych do druku nie kwestionują ani recenzji, ani decyzji rady. A jest to z mora konkursów grantowych. Może dlatego, że w programie Monografie FNP nie ma odwołań. A decyzja Zarządu Fundacji, pod-

jęta na podstawie rekomendacji rady, jest ostateczna (notabene program finansujemy wyłącznie ze środków własnych).

Członkowie rady są wybierani na dwie czteroletnie, indywidualne kadencje, wymieniają się „na zakładkę”, czyli tak, by nowa rada nie zaczynała działalności od początku, by płynnie kontynuowała dotychczasowe działania.

W skład Rady Wydawniczej programu Monografie FNP od 2022 r. wchodzi profesorowie: Michał Buchowski, etnolog z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Magdalena Micińska z Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN (jej książka *Między Królem Duchem a mieszczaninem. Obraz bohatera narodowego w piśmiennictwie polskim przełomu XIX i XX w. (1890-1914)* ukazała się w serii Monografie FNP w 1995 r.), Joanna Odrowąż-Sypniewska z Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, Andrzej Pieńkos z Instytutu Historii Sztuki UW oraz Paweł Zajas, literaturoznawca, niderlandysta i badacz literatury afrikaans z UAM.

A jak rada dochodzi do decyzji o (nie)kwalifikowaniu prac do druku?

Konkurs odbywa się w trybie ciągłym, to znaczy rada zbiera się 4-5 razy w ciągu roku, żeby wybrać prace kwalifikujące się do drugiego etapu, czyli skierować je do recenzji (peer review) oraz by zdecydować, które z prac po recenzjach rekomenduje zarządowi do druku. Jeśli na konkurs wpłynie praca na tyle specyficzna, że nikt z członków Rady Wydawniczej nie czuje się kompetentny, by ją wstępnie ocenić, wówczas rada kieruje ją do zewnętrznego eksperta/konsultanta. I zadaje mu pytanie, czy warto tę pracę skierować do drugiego etapu, czyli do recenzji zewnętrznej. A kiedy rada dysponuje już recenzjami (zawsze bardzo szczegółowymi) – notabene dołączane czasem do wniosków recenzje prac doktorskich czy habilitacyjnych w ogóle nie są brane uwagę – rozpoczyna się długa dyskusja o zgłoszonej pracy. Nawet jeśli dwie recenzje są pozytywne, nie gwarantuje to zakwalifikowania do serii. Warto pamiętać, że nie recenzenci, lecz Rada Wydawnicza, po przedyskutowaniu wszystkich „za i przeciw”, rekomenduje Zarządowi Fundacji laureatów konkursu.

A jakimi kryteriami kieruje się Rada Wydawnicza?

Konkurs Monografie FNP początkowo nie miał sformalizowanych kryteriów oceny. O rekomendacji zarządowi danej pracy do opublikowania w serii decydowała Rada Wydawnicza na podstawie wiedzy eksperckiej swoich członków, ich opinii i oczywiście dyskusji. Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że to były łatwe rozmowy. Profesorowie Samsonowicz, Szczucki czy Sławiński formułowali oceny w sposób bardzo zdecydowany, a ponieważ nadesłane prace oceniali z zupełnie różnych punktów widzenia, to bywało gorąco. Z czasem ustanowiliśmy pięć podstawowych kryteriów, jakimi powinny charakteryzować się książki publikowane w naszej serii: muszą reprezentować bardzo wysoki poziom naukowy; cechować się odkrywczością założeń i istotnością wyników, a także oryginalnością ujęcia problematyki; konieczna jest integralność formy i tematu, no i wreszcie – książka musi być po prostu interesująca i dobrze napisana, czyli zrozumiała dla ogółu humanistów. Nieakceptowany jest żargon ani hermetyczny dyskurs jakiegokolwiek dyscypliny, co jest typowe dla różnych prac eksperckich, które także są przysyłane na konkurs.

Te kryteria powodują, że Rada Wydawnicza, która funkcjonuje jako panel ekspertów i zarazem kapituła programu, kwalifikuje do druku tylko prace najwybitniejsze. Muszę jednak powtórzyć, że niemal wszystkie prace, które wpływają na konkurs, czyli ok. 90 rocznie, nadają się do druku. Do tych pięciu wymienionych kryteriów dochodzi jeszcze jedno, które bierze pod uwagę Rada Wydawnicza – możliwość zainteresowania tematem książki czytelników zagranicznych.

Czy wprowadzaliście też inne zmiany?

Oczywiście, w ciągu ćwierćwiecza swego istnienia program podlegał stale różnym modyfikacjom. Były to czasem drobiazgi, ale istotne. Na przykład niegdyś nie obowiązywał limit objętości przysyłanych prac. Zdarzyło się jednak kilkakrotnie, że prace „puchły” w trakcie opracowania redakcyjnego, a tym samym dezaktualizował się kosztorys, który trzeba było przygotować od początku. Wprowadziliśmy więc ograniczenie objętości prac do dwudziestu pięciu arkuszy. Przez lata funkcjonowała w programie korelacja pomiędzy objętością pracy a honorarium autora. Była to zasada wyniesiona jeszcze z praktyki wydawniczej w PRL. Zmieniliśmy ją. Od wielu lat każdy autor otrzymuje takie samo wynagrodzenie w wysokości 15 tys. złotych. Autorzy bardzo je cenią, gdyż generalnie za książki naukowe, które są niskonakładowe, nie otrzymuje się honorarium. W humanistyce nie można niczego opatentować, więc to honorarium pełni w naszym programie funkcję nagrody, jest jakby substytutem udanej komercjalizacji wyników badań. Inny drobiazg to nakłady książek. Do końca 2010 roku wszystkie książki FNP ukazywały się w Wydawnictwie Uniwersytetu Wrocławskiego w nakładzie tysiąca egzemplarzy, takim samym dla każdego tytułu. O ile jeszcze w latach 90. taki nakład był „trafiony”, ponieważ inny był rynek książki, a książki w czasach PRL publikowano w wysokich nakładach, to w warunkach wolnego rynku (lawinowy przyrost tytułów) taki nakład okazał się za duży. Dzisiaj przeciętny nakład książki naukowej w humanistyce oscyluje ok. 500 egzemplarzy, a do tego doszła możliwość czytania książek w wersji elektronicznej.

Nie tylko zmniejszyliśmy nakład wszystkich książek, ale przerzuciliśmy określanie nakładu na wydawnictwo – od 2011 r. jest nim Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nakład naszych tytułów kształtuje się przeciętnie od 300 do 600 egzemplarzy, a decyzja o jego wysokości rzutuje na zysk wydawcy ze sprzedaży, co uwzględnia nasza dotacja. Te nakłady po kilku latach w całości się sprzedają, więc jest to istotna zmiana w porównaniu do wcześniejszych rozwiązań, gdy duża część nakładów zalegała w magazynach wydawnictwa. Notabene tytuły, które odniosły sukces rynkowy, Wydawnictwo UMK wznawia na własny koszt.

Czy warto było ujednoczyć szatę graficzną?

Seria musi być rozpoznawalna i dlatego ma charakterystyczny format i okładki. Początkowo książki w serii były wydawane w ciemnobrązowych okładkach z charakterystyczną złotą ramką, złotymi napisami i logo Fundacji. Jednak pod wpływem krytycznych głosów z rynku Fundacja uznała, że okładka jest zbyt ciemna i zbyt ciężka. Rozjaśniono ją i dodano obwolutę, której skrzydełka są wykorzystywane na zamieszczenie not o autorze i treści książek. Format nadal jest taki sam, każda okładka ma identyczny złotawy kolor, jednak każdy tytuł ma na okładce indywidualną, identyfikującą go grafikę.

Kto może zgłaszać prace na wasz konkurs? Macie jakieś preferencje lub ograniczenia?

Formuła programu Monografie FNP, którą zaproponowali „ojcowie założyciele” Fundacji, nie zawiera żadnych ograniczeń wiekowych, tytułarnych czy związanych z pełnieniem jakichkolwiek funkcji akademickich. To jest program otwarty. Porównałbym go do programu OPUS Narodowego Centrum Nauki. Praca przysłana przez magistra czy doktora konkuruje z pracą habilitacyjną czy tzw. książką profesorską. Tych ostatnich jest co prawda najmniej, ale się zdarzają. Decyduje wyłącznie jakość pracy, a nie status naukowy autora. Taka zasada jest gwarancją składania na konkurs najlepszych prac, które przecież powstają na różnych etapach kariery naukowej.

W ciągu trzydziestu lat istnienia serii opublikowano w niej prace wybitnych uczonych, powszechnie dziś rozpoznawalnych w swoich dyscyplinach: m.in. Magdaleny Micińskiej, Wojciecha Wrzoska, Romana Michałowskiego, Michała Tymowskiego, Teresy Kostkiewiczowej, Grażyny Jurkowlaniec, Macieja Gołaba, Andrzeja Szahaja, Ryszarda Nycza, Wojciecha Tomasiaka, Edwarda Balcerzana, Tamary Brzostowskiej-Tereszkiewicz, Marka Węcowskiego, Karola Myśliwca, Przemysława Urbańczyka, Zbigniewa Bokszańskiego, Cezarego Wodzińskiego, Andrzeja Dąbrówki, Magdaleny Heydel, Haliny Manikowskiej, Tadeusza Szubki, Gabrieli Świtek, Wojciecha Bałusa, Anny Grześkowiak-Krwawicz, Marcina Kuli i wielu, wielu innych. To plejada polskiej humanistyki, są to nazwiska doskonale znane każdemu, kto się interesuje daną dyscypliną lub konkretnym tematem.

W ostatnich latach obserwuję w Monografiach FNP swoisty szturm nauk społecznych, a właściwie łączenie metod i przedmiotów nauk społecznych i humanistycznych, powodujące powstawanie prac interdyscyplinarnych, pogranicznych, w których przedmiot, temat czy metody z trudem dają się przyporządkować jednej dyscyplinie. A równocześnie wśród przysyłanych prac wyraźnie dominują bardzo dobre książki doktorskie. Może to świadczyć, że młodzi badacze rozpoznają Monografie FNP jako serię prestiżową, w której opublikowanie książki ma istotne znaczenie w ich dalszej karierze naukowej. Taka była zresztą konkluzja ewaluacji, której poddaliśmy ten program dziesięć lat temu. Okazało się, że opublikowanie książki w naszej serii jest dla autorów wyróżnieniem i znakiem prestiżu. Warto też pamiętać, że w kryteriach ewaluacji ministerstwa nauki publikacja monografii w naszej serii skutkuje podniesieniem punktacji.

Ze względu na logo FNP?

Tak, ale mówiąc precyzyjnie: ze względu na staranną procedurę konkursową i wyśrubowane kryteria, które trzeba spełnić, żeby książka została zakwalifikowana do druku. Jeden tytuł na dziesięć to jednak robi wrażenie.

A inne wskaźniki sukcesu?

O Translacjach już mówiliśmy. Wiele książek z naszej serii zdobywa nagrody w konkursach naukowych i książkowych. Są to nagrody premiera, KLIO z zakresu nauk historycznych, Aca-

demia czy wreszcie nagrody i nominacje do Nagrody im. Jana Długosza. Seria jest rozpoznawalna jako potencjalna droga do prestiżowych nagród.

Czy promocja takiej serii jest trudna?

Promocja książki naukowej jest w Polsce bardzo trudna, podobnie jak promocja nauki czy konkretnych osiągnięć badawczych. W medialnej hierarchii ważności nauka przegrywa z polityką, sportem, rozrywką, reklamą piwa etc. A do tego dochodzi niski wskaźnik czytelnictwa w Polsce. Dlatego najważniejsza jest grupa docelowych odbiorców konkretnej serii czy jej tytułów. Od początku istnienia Monografii FNP promowaliśmy i serię, i poszczególne książki. Początkowo były to głównie spotkania autorskie organizowane przez wydawnictwo lub Fundację, na przykład podczas targów książki, czy przez wyodrębnianie serii na specjalnych regałach w dużych księgarniach naukowych. Od wielu lat Monografie FNP są omawiane w radiowej Dwójce w audycji „Skarbiec nauki polskiej” (tu promujemy ich autorów), finansowaliśmy wkładki z recenzjami w specjalnych dodatkach „Tygodnika Powszechnego”, zamieszczaliśmy reklamy nowych tytułów w prasie branżowej i wysokonakładowej. Im trudniejszy jest rynek książki, tym większe znaczenie ma stała na nim obecność.

Od kilku lat prowadzimy w FNP spotkania pod nazwą „Wielogłos o monografiach”, promując wybrane tytuły i ich autorów, otwierając możliwość dyskusji naukowej na każdy temat związany z konkretną książką. W ten sposób poszerza się środowisko FNP, któremu chcemy przybliżyć i serię, i Fundację – w naszej wyjątkowej siedzibie. Oczywiście od ponad roku „Wielogłosy” przeniosły się do internetu, co uniemożliwia bezpośrednie kontakty, ale ma tę zaletę, że mogą w nich uczestniczyć osoby spoza Warszawy. Chcemy tę hybrydową formę spotkań zachować w przyszłości. Udział w takich debatach bierze od kilkudziesięciu do stu pięćdziesięciu osób. Chcę podkreślić, że to są dyskusje naukowe, które często wychodzą poza samą treść książki. A problem, czy spotkanie ma dotyczyć tylko książki, czy też traktujemy ją jako pretekst do szerszej dyskusji, rozstrzyga się w praktyce. Książka dyskusję otwiera, a nie ogranicza.

Notował Piotr Kieraciński



27.11.2019. Wielogłos o MONOGRAFIACH FNP – wokół książki Kamila Pietrowiaka, *Świat po omacku. Etnograficzne studium (nie)widerzenia i (nie)sprawności*.

Fot. Karolina Stemon-Bielska

W stronę całości

Słów kilka o historii badań nad Norwidem

Na kończący się właśnie Rok Norwidowski, ustanowiony przez Sejm RP w 200. rocznicę urodzin poety, złożyły się wystawy, filmy, liczne publikacje, spektakle, koncerty, prapremiera opery *Wanda* Joanny Wnuk-Nazarowej. Dokładając cegiełkę, prezentujemy dwa artykuły związane z badaniami nad twórczością autora *Promethidiona*.

Cyprian Norwid nigdy nie ukończył żadnego z wiodących uniwersytetów na ziemiach polskich ani za granicą, co nie znaczy, że nie brał udziału w życiu akademickim. Pojawia się przecież we Florencji jako uczeń w pracowni rzeźby Luigiego Pampaloniego, profesora Akademii Sztuk Pięknych (1844), czy w Berlinie (1845) – obraca się tam w kręgach polskich akademików, gdzie też wygłasza swoje odczyty. Nigdzie jednak nie był zapisany jako student, można przypuszczać, że był wiecznym „wolnym słuchaczem”.

Dość szybko jego nazwisko pojawiło się w podręcznikach do literatury jak chociażby w *Historii literatury polskiej w zarysach* K.W. Wójcickiego (1846), gdzie zostało wymienione pośród innych obiecujących pisarzy. Jednak za życia poeta nie miał szczęścia do akademików, którzy traktowali go (podobnie jak reszta szerokiej publiczności) marginalnie. Do najbardziej znanych epizodów w biografii autora *Quidama* należy jego reakcja na błędną atrybucję adresata wiersza Słowackiego *Do Ludwika N.* w *Pismach pośmiertnych* (1866). Wydawca wiersza, Antoni Małecki, uznał, że adresatem był Ludwik Nabelak, jeden z emigrantów polistopadowych. Ta pomyłka została sprostowana przez Cypriana, gdyż adresat wiersza, Ludwik, był jego rodzonym bratem. Niewątpliwie też poeta czytał o sobie w monografii lwowskiego profesora: „Wielmożnemu Małeckiemu mam zaszczyt nadmienić, że jeżeli »widzi się w konieczności« powiedzieć »otwarciem«, że z Cypriana Norwida ktoś »zażartował«, jak to na 316 stronie swego o Słowackim dzieła zamieszcza, to [...] jednakowoż w takich razach zwykło się pierwej pisać do osoby prywatnie i żądać objaśnień, zwłaszcza, jeżeli ta osoba znała osobiście człowieka, którego życiorysem zajmuje się autor” (C. Norwid, *Pisma wszystkie*, oprac. J.W. Gomulicki, Warszawa 1971, t. 9, s. 286). Ta uwaga dotyczy wzmianki w przypisie monografii Małeckiego *Juliusz Słowacki. Jego życie i dzieło* (1866).

Podobnie autor *Promethidiona* zareagował na wzmiankę o sobie w podręczniku Władysława Nehringa, który w *Kursie literatury polskiej dla użytku szkół* komentował twórczość Norwida „którego poezje zanadto są pełne zagadkowych i ciemnych myśli i niezrozumiałych uniesień” (cyt. za: *Norwid. Z dziejów recepcji twórczości*, oprac. M. Ingot, Warszawa 1983, s. 116).

Poznański profesor wymienił niezręcznie poetę w przypisku odnoszącym się do polskich autorek, tym samym stwarzając mylne wrażenie, że Cyprian Norwid również należy do piszących kobiet. Sam Norwid protestował przeciwko wpisywaniu go do jakiegokolwiek szkoły (a w przypadku tego podręcznika – do szkoły mazowieckiej): „[...] Cyprian Norwid nigdy żadnej szkoły mazowieckiej stworzyć nie myślił [...]. Ale na cóż go między kobiety kłaść i przypadkiem spominać??? [...] Pomiędzy kobietami piszącymi pod napisem *Uwaga* Norwid. »Do szeregu tych (mów doktor filozofii Nehring) wymienić należy Norwida«. »Do szeregu« nie »wymienia się«, ale włącza. [...] Oto gramatycznie, estetycznie i historycznie uwaga doktora filozofii i członka” (C. Norwid, *Pisma wszystkie...*, op.cit., t. 9, s. 272-273).

Ta seria pomyłek – zwłaszcza w latach sześćdziesiątych – świadczy, że faktycznie dla swoich współczesnych, szerokiej publiczności Norwid był autorem nieznanym, a nawet niewartym zainteresowania.

Norwid i estetycy

Po śmierci poety zapadła nad nim cisza, ale wkrótce została przerwana. W 1896 roku w „Przeglądzie Literackim” ukazało się ogłoszenie: „Wiktor Gomulicki [...] wreszcie przygotowywa [sic!] do druku dwie obszernie monografie: jedną o poecie Cyprianie Norwidzie, drugą o Fryderyku i Adolfie Dietrichach, znakomitych rytownikach polskich. Co do tych monografii, sz. autor prosi, aby osoby posiadające jakiegokolwiek materiały życiorysowe, rysunkowe i inne, tyżące Norwida i obu Dietrichów, zechciały mu ich udzielić do spożytkowania w swej pracy” (cyt. za: *Norwid. Z dziejów recepcji...* op.cit., s. 139).

Pod koniec lat 90. Zenon Przesmycki w zaciśniętej bibliotece odkrywa poezje Norwida. Odkrycie poety, można rzec, nastąpiło w odpowiednim momencie, jego odosobnienie, a wręcz izolacja oraz krytyczny stosunek do hipokryzji i społecznych kompromisów jej służących znakomicie wpisywały się model poète maudit. Fakt, iż Norwid nie był szczególnie znanym, jego poezje ukazywały się sporadycznie na łamach czasopism, a część też krążyła w obiegu rękopiśmiennym, przyczynił się do tego, że powstał spontaniczny ruch przywraca-

nia pamięci o zapomnianym artyście. Otwiera go oczywiście słynny zeszyt „Chimery” z 1904 r., zawierający niektóre wiersze z *Vade-mecum* oraz cykl tzw. nowel włoskich, czyli najlepsze utwory niepublikowane za życia poety, oraz korespondencję z Marią Trębicką.

Równoległe z odkrywaniem jego poezji dla czytelników rozpoczęły się badania nad biografią. Trzeba przyznać, że nieocznione zasługi na tym polu położył znowuż Przesmycki, który zgromadził latami korespondencję z osobami znającymi poetę. W wyniku tej aktywności powstało bogate archiwum (dziś w zbiorach Biblioteki Narodowej). Dla Przesmyckiego było oczywiste, że jak najszybciej należy rozpocząć prace nad edycją dzieł poety. W wyżej wspomnianej „Chimerze” (1904) Przesmycki postulował „[...] o wydaniu zupełnym nie ma co dzisiaj marzyć, konieczną za to i pilną jest rzeczą [...] przystąpić niezwłocznie do jakiejś *édition perpétuelle* »zebranych pism« poety, która obejmie naprzód to, co dzisiaj zgromadzić się dało, a później, w miarę napływania nowych materiałów, stopniowo uzupełnić się może” (cyt. za: Norwid. *Z dziejów recepcji... op.cit.*, s. 145). Nie przewidywał wówczas, iż ten postulat nie straci swojej aktualności przez kolejne 120 lat, bowiem Norwid należy wciąż do tych autorów, którzy piszą. Z aukcji bibliotecznych, katalogów rękopisów bibliotek i archiwów od czasu do czasu wypływają nieznane listy, a nawet wiersze (np. E. i P. Chlebowski, „*Blade kłosa na odłogu*” – nieznanymi wiersz Norwida, „*Studia Norwidiana*” 34:2016). Nie przewidział też wydawca *Pism zebranych*, że jego wydawnicze przedsięwzięcie, które rozpoczęło się wydaniem poezji w dwóch woluminach (1912), zostanie przerwane przez wybuch wojny w 1914 r. Kolejna wojna – 25 lat później – zatrzyma wydanie tomu prozy tej edycji (oznaczony literą F).

Owe poszukiwania bardzo szybko rozszerzyły się na wszystkie zaborcy: w Warszawie działał Wiktor Gomulicki, w podobnym czasie do Krakowa trafiła spuścizna po Józefie Bohdanie Zaleskim (a w niej bogata korespondencja z Norwidem, jego utwory oraz liczne wzmianki w dziennikach Zaleskiego). Mniej więcej od lat osiemdziesiątych XIX w. ukazują się edycje korespondencji Z. Krasińskiego z Cieszkowskim, Koźmianami wraz z licznymi wzmiankami i uwagami o Norwidzie, często krytycznymi i niesprawiedliwymi. Zatem nazwisko autora *Promethidiona* pojawia się na marginesie badań nad romantyzmem polskim.

W ośrodkach naukowych odbywają się pierwsze odczyty o poecie, jak ten z 1904 (a więc w tym samym roku, w którym ukazuje się Norwidowski tom „Chimery”) Franciszka Chłapowskiego na forum Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. To zainteresowanie przyczynia się też do poszukiwań na terenie zaboru pruskiego Norwidowskich ineditów. Sekretarz towarzystwa Bolesław Erzepki odnajduje w archiwum Władysława Bentkowskiego nieznane dotąd arcydzieła, jak *Bema pamięci...* czy *Epos nasza*. W 1909 roku we Lwowie Adam Krechowicki wydaje biografię *O Cyprianie Norwidzie*. Zostaje w niej spopularyzowana opowieść o nieodwzajemnionej miłości poety do Marii Kalergis. Książka w większości powstała na podstawie materiałów z archiwum J.B. Zaleskiego.

W okresie przedwojennym Norwid trafia do szerokiej publiczności literackiej. Zapanowuje swoista moda na Norwida. Przede wszystkim do popularyzacji jego dzieła przyczyniają się kolejne edycje utworów (R. Zrębowicza, Z. Przesmyckiego, T. Piniego). Twórczość stała się przedmiotem procesu sądowego między wydawcą *Pism zebranych* a Tadeuszem Pinim, który opublikował twórczość literacką w popularnej serii „Biblioteka Poetów Polskich” (1934). Przesmycki pozwał wydawcę, zarzucając mu bezprawne korzystanie z ustaleń poprzednich edycji, a także zniekształcenie i ośmieszenie dzieła Norwida przez

liczne omyłki. Sprawa stała się głośna, ale też zwróciła uwagę opinii publicznej na jakość edycji dzieł literackich i wagę tego problemu.

Przed drugą wojną światową zainteresowanie skupiło się przede wszystkim na biografii (Z. Wasilewski, J.W. Gomulicki), co w późniejszym okresie, tuż po wojnie, zaowocuje np. powieścią biograficzną Hanny Malewskiej *Żniwo na sierpie*. Niezwykle ważnym działem są inedita. Przede wszystkim do rąk czytelników trafia nieznana dotąd korespondencja poety (z T. Lenartowiczem, Bronisławem Zaleskim), listy publikują m.in. S. Pigoń, J.W. Gomulicki, a co jest charakterystyczne – rozmaite osoby niezajmujące się zawodowo literaturą polską, jak chociażby R. Brandstaetter.

Norwid staje się też tematem seminariów uniwersyteckich np. na Uniwersytecie Poznańskim, na seminariach prof. Polłaka czy Tadeusza Grabowskiego. Powstają dysertacje doktorskie i monografie wydawane w akademickich seriach.

Po 1945 roku – edycje, badania, popularyzacja

Charakterystyczne, w okresie tuż powojennym, w 1947 roku Waław Borowy publikuje w fotokopii uratowany z ruin Warszawy rękopis *Vade-mecum* oraz katalog wystawy w rocznicę urodzin Norwida *Pamięci Cypriana Norwida* (1946). Katalog zawiera artykuły, które właściwie zarysują program badań na drugą połowę wieku XX: Norwid-poeta, Norwid-myśliciel i Norwid-malarz.

Właśnie nowe edycje twórczości Norwida przyczyniły się do szerszego nią zainteresowania, zwłaszcza te wydane po roku 1956. Co więcej, poezja trafia do programów szkolnych i oczywiście studiów uniwersyteckich.

Przede wszystkim należy podkreślić, że dzisiejszych badań nad Norwidem nie byłoby lub byłyby zupełnie inne, gdyby nie działalność Juliusza Wiktora Gomulickiego. Swoją powojenną drogę Norwidowską (bo oczywiście Norwid interesował go jeszcze przed rokiem 1939) rozpoczął m.in. od publikacji *Okruchów poetyckich i dramatycznych* (1958) – literackich ineditów, których nie zdążył opublikować Przesmycki, a które pozostawały w odpisach w archiwum w Bibliotece Narodowej. W 1960 roku opracował po raz pierwszy i wydał *Vade-mecum*, niemal sto lat po powstaniu cyklu, a także przygotował bogato komentowaną edycję liryki Norwida jako *Dzieła zebrane* (1966). Postulat pełnego wydania pism poety udało mu się zrealizować dopiero w latach 70. XX w., kiedy ukazała się 11-tomowa edycja *Pism wszystkich*. Ma ona bardzo duże znaczenie, gdyż na ponad 30 lat stała się warsztatem badawczym dla norwidologów w polskich i zagranicznych ośrodkach akademickich. Jednocześnie twórczość Norwida staje się tematem i przedmiotem zainteresowania dla eseistów (M. Jastrun popularyzuje poemat *Quidam*) czy poetów (J. Przyboś). Tę syntezę zainteresowań badaczy i poetów najlepiej reprezentują *Nowe studia o Norwidzie* (wyd. 1961).

W tym okresie (lata 60. i 70. XX w.) powstają studia, które próbują opisać system historiozoficzny autora *Promethidiona* (Alicja Lisiecka, Elżbieta Feliksiak), ale też prace charakteryzujące postawy poety wobec jego współczesności (Zofia Stefanowska: *Norwidowski romantyzm i Norwid – poeta wieku kupieckiego i przemysłowego*, studia Zdzisława Łapińskiego czy Michała Głowińskiego). Powstają też prace ukazujące konteksty twórczości poety, np. jego literackiego debiutu (Zofia Trojanczowa). Z czasem powstają monografie poszczególnych problemów (np. epepeja w twórczości Norwida, Byron Norwida, Norwid i krytyka literacka).

Jeszcze w latach 70. ze strony środowiska naukowego pojawił się postulat zbudowania czegoś, co można nazwać podstawowym warsztatem pracy badawczej, tj. kalenda-

rza Cypriana Norwida, w którym fakty zostałyby krytycznie uporządkowane; słownik języka dokumentujący idiolekt poety oraz pełne i krytyczne wydanie wszystkich pism autora *Quidama*. To ostatnie zadanie zostało sformułowane w połowie lat 90., kiedy edycja *Pism wszystkich* okazała się niewystarczająca do celów badawczych, gdyż nie zawierała już wszystkich pism Norwida – od tamtego czasu opublikowano dotąd nieznane utwory i listy autora *Ad leones*. Coraz bardziej stawał się dotkliwy brak opracowań spuścizny artystycznej poety.

Od badań zinstytucjonalizowanych do stowarzyszeń

W latach 80. wyżej wspomniane postulaty badaczy zyskały formę instytucjonalną. Od 1983, tj. od obchodów stulecia śmierci Norwida, badacze a zarazem miłośnicy twórczości poety stworzyli swoje pismo, rocznik „Studia Norwidiana”, pod auspicjami Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: „Studia» publikować będą teksty o wszystkim, co odnosi się do zjawiska »Norwid«, zjawiska rozumianego szeroko: w polskim i europejskim kontekście kulturowym. [...] Chcielibyśmy, aby pismo przyczyniło się do pogłębienia znajomości utworów jednego z największych, lecz i najtrudniejszych polskich pisarzy, aby zmniejszyło zaniedbania badawcze, zro-

zumiało na tle niezwykłych dzieł jego recepcji, aby ukazywało ogólnoludzkie wartości tej tak oryginalnej a nadal zbyt słabo znanej, zwłaszcza poza Polską, twórczości, aby stało się wreszcie organem własnym wszystkich norwidologów” (*Od redakcji* „Studia Norwidiana” 1983, t. 1, s. 3). W skład komitetu redakcyjnego wchodziło najważniejszych i wciąż aktywnych badaczy twórczości poety: Jan Błoński, Józef Fert, Zdzisław Łapiński, Stefan Sawicki, Irena Sławińska, Zofia Stefanowska, Zofia Trojanowiczowa. Obecnie rocznik wciąż się ukazuje pod redakcją m.in. Piotra Chlebowskiego. Cyklicznym wydarzeniem, które właściwie można nazwać instytucją, są Colloquia Norwidiana organizowane co dwa lata (od 1990) w Kazimierzu Dolnym przez Zakład Badań nad Twórczością Norwida KUL. Spotkania mają charakter monograficzny, skupiając się na wybranych problemach twórczości Norwida.

Na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego powstała Pracownia Słownika Języka Cypriana Norwida pod kierunkiem prof. Jadwigi Puzyrny, a od 1987 roku w Instytucie Filologii Polskiej UAM w Poznaniu rozpoczęła działalność Pracownia Życia i Twórczości Cypriana Norwida pod kierunkiem prof. Zofii Trojanowiczowej. Najwcześniej, bo już w 2007 roku, ukazał się *Kalendarz życia i twórczości Cypriana Norwida* w trzech tomach. Oczywiście od tamtego czasu wiedza o biografii poety znacznie się pogłębiła i wiele ówczesnych ustaleń jest już mało prawdopodobnych i aktualnych. Słownik języka Cypriana Norwida jest powszechnie dostępny w formie elektronicznej (<https://www.sloownikjezykanorwida.uw.edu.pl/>). Trwają prace nad największym przedsięwzięciem – edycją *Dzieł wszystkich* pod red. prof. Stefana Sawickiego. Jak dotąd z planowanych 18 tomów ukazały się tomy obejmujące korespondencję (część), poematy, dramaty, prozę artystyczną. W opracowanie poszczególnych tomów zostali zaangażowani badacze z najważniejszych ośrodków badań nad Norwidem (Lublin, Warszawa, Kraków, Toruń, Poznań).

Obok *Dzieł wszystkich* Edyta Chlebowska (Zakład Badań nad Twórczością C. Norwida KUL) wydaje sukcesywnie katalogi prac plastycznych Norwida.

Praca tych zinstytucjonalizowanych ośrodków badawczych przyczyniła się do pogłębienia wiedzy o życiu, języku i twórczości poety. Co jest warte podkreślenia – na początku XXI w. badacze z ośrodków warszawskiego, lubelskiego i poznańskiego rozpoczęli współpracę z lokalnymi działaczami na Mazowszu w miejscowościach związanych z rodziną Norwida i jego matki: w Strachówce, Łochowie i tradycyjnie w Wyszku. Niewątpliwie fakt, iż z ośrodkami akademickimi w tym czasie wiązali się młodzi badacze twórczości poety, nie pozostał bez echa w środowiskach szkolnych i właśnie lokalnych. Ta współpraca samorządów i lokalnych organizacji (warto wymienić Dąbrówckie Stowarzyszenie „Ścieżkami Norwida”, Stowarzyszenie Rzeczpospolita Norwidowska) z ośrodkami akademickimi zaowocowała w długiej perspektywie powstaniem Pałacu w Chrzęsnem na Mazowszu, a w tym roku (2021), dzięki wysiłkowi Fundacji Museion Norwida <http://fundacja-museionnorwid.pl/>, udało się ustanowić Muzeum Norwida, które mieścić się będzie w Dębinkach, w pałacu niegdyś należącym do dziada poety.

Do całości Norwidowskiej wciąż daleko, ale też być może to natura jego dzieła: otwartego, które wciąż kolejne pokolenia czytelników zaprasza do lektury.

Dr hab. Zofia Dambek-Giallelis, literaturoznawczyni, badaczka Norwida, kierownik Laboratorium Dokumentacji Literackiej, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu



Cyprian Kamil Norwid, fot. Michał Szweycer, 1871.

Aleksandra Sikorska-Krystek

Od mimesis do ekspresji

O Cyprianie Norwidzie – karykaturyście

Twórczość autora *Vade-mecum* obejmująca karykatury nie zawsze jednak była interpretowana z intencją przyznania jej statusu ważnej i wartościowej. To, co wcześniej bywało częstokroć niedoceniane, dziś jawi się jako wyznacznik konsekwentnej i przemyślanej wizji artystycznej.

Aspekt twórczości Cypriana Norwida dotyczący działalności plastycznej został w ostatnich latach szczegółowo opracowany przez Edytę Chlebowską. Wydanie dotychczas pięciu, spośród planowanych siedmiu, tomów katalogu prac plastycznych artysty w ramach nowej edycji *Dzieł wszystkich* pozwala na ustalenie hierarchii artystycznych tematów, gatunków i technik podejmowanych przez sztukmistrza, wśród których ważne miejsce zajmują karykatury. Przed laty doceniali je niektórzy przygodni komentatorzy spuścizny plastycznej autora *Quidama* – Waclaw Husarski (autor książki *Karykatura w Polsce*, 1926) czy też Jerzy Sienkiewicz, który nazwał je „ulubionym terenem Norwida”.

Jako karykaturzysta Norwid został zapamiętany przez wielu swych współczesnych, m.in. malarzy z kręgu polskiej kolonii artystycznej w Paryżu – Jana Rosena, Henryka Piątkowskiego, Pantaleona Szynclera. O skłonności artysty do kreślenia karykatur wspominali Aleksander Półkoźic-Niewiarowski czy też Waleria Morzkowska-Marrené na łamach „Przeglądu Tygodniowego” w 1879 roku, a więc jeszcze przed odkryciem Norwida przez Wiktora Gomulickiego i Zenona Przesmyckiego (Miriamą). Morzkowska-Marrené wspominała: „Mamy przed oczyma kilkanaście szkiców jego, robionych piórem. Zwykł był rzucać je na papier od niechcenia, w towarzystwie, w czasie ogólnej rozmowy, ilustrując jej główne zarysy. I rzecz dziwna, szkice te pełne są nieraz humorystycznej werwy. Świadczą, że obok mistyka, był w nim materiał na wielkiego karykaturzystę, że zdolnym był dostrzec nie tylko komiczną stronę ludzi, ale i martwych przedmiotów”. Autor *Quidama* tworzył karykatury niemal przez cały okres swej działalności twórczej (by przywołać jedną ze wczesnych prac – *Ach babuniu, babuniu, gdzie Cię diabli tak niosą*, po najpóźniejsze satyryczne szkice przedstawiające mieszkańców Domu Św. Kazimierza). Również na wielu autoportretach Norwid przedstawił siebie w konwencji satyrycznej. W pracy znanej dziś pod tytułem *Norwid-karykaturzysta* artysta przekształcił elementy własnej sylwetki z charakterystyczną konwencją, która obecna jest w karykaturze do dzisiaj: głowa artysty jest powiększona w stosunku do pozostałych części ciała. Według Chlebowskiej rola tych satyrycznych autoportretów polega na przeciwstawie dla podobizny nacechowanych powagą i ujawnianiu

zdolności artysty do spoglądania na siebie z dystansem i sporą dozą poczucia humoru. Ale być może zwłaszcza ta praca jest świadectwem autotożsamości artysty, który strategiami deformacji, redukcji, zniekształcenia, przejawskrawienia, posługiwał się nie tylko w twórczości plastycznej, ale i literackiej – by sięgnąć po karykaturalność, zwaną przez Rolfa Fiegutha „agresywnością estetyczną”, obecną w poemacie *Quidam* czy we wczesnym opowiadaniu Norwida *Łaskawy obywatel, czyli Bartłomiej Alfonsen*.

Karykatura – medium nowoczesności

Poza twórczością plastyczną artysty można odnaleźć dowody na znaczącą rolę tego gatunku w kształtowaniu jego światopoglądu artystycznego. Norwid nie byłby Norwidem, gdyby nie zajmowała go teoretyczna i historyczna strona gatunku, cieszącego się tak olbrzymią popularnością przez cały wiek XIX. Jeszcze w latach młodzieńczych, przed opuszczeniem Warszawy, poeta dał wyraz zainteresowaniu twórczością Aleksandra Orłowskiego i Williama Hogartha (zob. artykuł *O cynkografii p. Seweryna Oleszczyńskiego*). Jeśli karykatura była dla niego jednym z mediów nowoczesności, to słusznie dociekał jej korzeni w sztuce dawnej. Pochlebiało mu (czemu dał wyraz kilkakrotnie w swych listach), że kiedy opublikował w czasopiśmie „L'artiste” akwafortę *Sybilla*, redakcja miesięcznika, kresząc jego sylwetkę artystyczną, spostrzegła, że Norwida pasjonuje ekspresja posunięta aż do granic karykatury, jak u Leonarda da Vinci. Z korespondencji Norwida z Wojciechem Gersonem z 1876 roku wiemy, że poeta powziął napisanie historii tego gatunku, która w jego zamyśle miała obejmować aż trzy tomy (rękopisy przesłane warszawskiemu malarzowi pozostają dziś nieznanne). W tym samym liście Norwid wspominał „odkrytą niedawno karykaturę Chrystusa-Pana”, czyli odsłoniętą w 1857 roku tzw. graffiti Aleksamenosa na murze Pałacu Cezarów na Wzgórzu Palatyńskim w Rzymie, któremu Jules Champfleury poświęcił osobny rozdział (*Caricatures contre le Christ et les premiers chretiens*) swej monumentalnej, sześciotomowej *Histoire de la caricature*. Kilka dni później Norwid zapewniał Gersona, że w przesłanym mu fragmencie na temat obecności karykatur w kulturze starożytnego Egiptu znajdują się „rzeczy na więcej niż na wysokości obecnej teorii i wiedzy”.

Jednocześnie poeta był rzecz jasna świadomy żywiołów: praso- i politycznego, w który nieuchronnie wtłoczona była karykatura. Komentując atmosferę życia publicznego Paryża, pisał: „Jawności we Francji nad-użyto (co jeszcze jednym jest dowodem, że lubo całą prawdę nie bez pewnych względów głosić można), wszystko, co jest *intime* (co poufne, wewnętrzne), stało się tu publicznym – skutkiem jest, na odwrót, że co publicznym być by winno, w zamian staje się skrytym. I tak, życie domowe każdego znanego choćby najmniej człowieka – czego też krytyce, karykaturze, cenzurze publicznej tu podlega”. W krótkim, ironicznym tekście *Obywatel Gustaw Courbet. Zarys – publicystom, artystom, krytykom i korespondentom polskich dzienników poświęcony* pisarz dowiódł znajomości satyrycznych przedstawień malarza, czyniąc wiele aluzji do obecnych w ówczesnej prasie francuskiej karykatur (4 kwietnia w 1871 roku na okładce czasopisma „Le Grelot” został umieszczony rysunek przedstawiający Courbeta, „okraszony” ironicznym nagłówkiem: *La Citoyen Courbet par Bertall*) na temat politycznego zaangażowania twórcy *Pochodzenia świata*, który poparł zburzenie kolumny na placu Vendôme w 1871 roku (Norwid wraz z innymi artystami podpisał apel protestacyjny w tej sprawie). Wypowiadając się na temat karykatur w korespondencji pry-

watnej, utworach literackich i tych o odcieniu publicystycznym, poeta pozostawał jednocześnie „mistrzem zastrzeżenia”, jak określił go trafnie przed laty Jan Błoński. W *Assuncie* odnajdujemy *passus*, w którym oskarżenie:

„Z sztuki robicie szyldy albo szarże*,
Kawiarnię z sceny lub hipodrom mały.
Jak koń stepowy poleć i zarzę,
Że się żelazne-koleje udały!”...

zostało opatrzone odautorskim komentarzem poety: „Uświadomieni w sztuce wiedzą, że ta najwyraźniej postąpiła w efektach i w rozwoju karykatury – N”.

Szlafrok, szlafmyca, cybuch

Jeśli Norwida w karykaturze nazbyt razila efektywność, pociągał go zarazem jej intermedialny charakter, pozwalający na przekraczanie granic genologicznych i stylistycznych. Szczególnym przykładem wzajemnego przenikania i dopełniania materii literackiej i plastycznej są hybrydyczne prace, jak *Klary Nagnioszewska samobójstwo* czy *Pamiętnik podróżny*, w których karykaturalność stanowi dominantę świata przedstawionego, niezależnie od medium. *Pamiętnik podróżny* jest reminiscencją wycieczki, którą Norwid odbył w latach 40. XIX wieku w towarzystwie Władysława Wężyka. Bohaterami utworu są szlachcic – „bardzo szanowny obywatel i dobry sąsiad, i dobry patriota” – oraz jego potomek, spotkany po latach. Duchowa organizacja postaci w *Pamiętniku podróżnym* oraz na rysunkach poświęconych temu typowi definiowana jest przez towarzyszące mu atrybuty: szlafrok, szlafmycę oraz cybuch. Są to przedmioty, których obecność w twórczości Norwida niejednokrotnie niesie konotację negatywną, natomiast ich symbolika zawsze wiąże się ze sferą prywatności.

Szlachcic z *Pamiętnika podróżnego* ubrany był w żółty szlafrok „popstrzony” okazałymi kwiatami piwonii, które w XIX wieku uważano za pospolite, na głowie miał „czapkę z guzikiem”, a w ustach fajkę na „długim, przedziurawionym kiju”. Kolor odzienia symbolizuje intelektualną degradację tego bohatera, który – w przeciwieństwie do spotkanych rozmówców, zaopatrzonych w podróżną biblioteczkę – wyraża pogardę wobec lektur („To chleba nie daje!”), sprowadzając proces czytelnicy do czynności ułatwiającej zasypianie. W literaturze można znaleźć stwierdzenie, iż opisana przez Norwida „czapka z guzikiem” towarzysząca szlafrokowi to zapewne szlafmyca, karykatura frygijskiej czapki. Ostatnim przedmiotem charakteryzującym szlachcica jest dziurawy cybuch jego fajki, ochoczko palonej. Elżbieta Kowicka pisze, iż pod koniec pierwszej ćwierci XIX wieku nastąpiła moda na palenie tureckich fajek, tzw. stambulek, które miały długie cybuchy. Badaczka zaznacza jednak, iż w rzeczywistości były one bardzo drogie, w związku z czym korzystano na co dzień z imitujących je tzw. fajek staszówek, pochodzących ze Staszowa.

Fajka jest także atrybutem szanowanego obywatela na rysunku-karykaturze *Szlachcic i jego arendarz*, która przedstawia zrelaksowanego szlachcica w koszuli nocnej, oczywiście ze szlafmycą na głowie. Ów obywatel nonszalancko wydmuchuje dym i przybiera specyficzną pozę: wystawia do przodu nogę i mocno wypina brzuch, rękę układa za plecami. Arendarz jest najprawdopodobniej starozakonnym (wskazują także na to: chałat, kapelusz i zgięta sylwetka). Często przedstawiano w podobny sposób Żydów-dzierżawców, by przywołać karykatury Aleksandra Orłowskiego). Postać szlachcica z książką i cybuchem Norwid przedstawił także na kilku karykaturach, znanych pod tytułami: *Szlachcic z książką do ogrodu*, *Z książką spać do ogrodu* oraz *Szlachcic z książką w ogrodzie* (dwie prace o tym samym tytule).



Karykatura Bolesława Plucińskiego.

Ciekawym zabiegiem zastosowanym przez Norwida w opisie szlachcica jest zabieg reifikacji. Wraz z narastającą treścią utworu wspomnienie postaci staje się coraz bardziej zredukowane: początkowo szlachcic jest „bardzo szanownym obywatelem i dobrym sąsiadem, i dobrym patriotą”, w kolejnym przywołaniu jest już tylko „obywatelem”, później „tyłem osoby”, a na samym końcu „rzeczą”. Ta coraz bardziej negatywna aksjologia jest odzwierciedleniem podpadającego, a docelowo upadłego szacunku Norwida wobec tej postaci. Zofia Dambek twierdzi, iż rysunki towarzyszące *Pamiętnikowi podróżnemu* nie mają cechy karykatury, a ów wydzźwięk nadają im dopiero towarzyszące podpisy. Taki zabieg jest charakterystyczny dla wielu rysunków Norwida, jednakże kwestia karykaturalności omawianych prac wydaje się bardziej złożona. Na rysunku „otwierającym” utwór przedstawiony jest szlachcic, który lewą ręką trzyma kurczowo fajkę, natomiast prawą wyciąga w sposób grubiański w kierunku książki. Wyraźnie kontrastuje ona z dłonią podającą książkę (dłonią Norwida?), która jest drobna, sprawia wrażenie lekkości, w przeciwieństwie do masywnej dłoni szlachcica. Z kolei twarz szlachcica jest zdeformowana poprzez wyraźny grymas, który wyraża naburmuszenie i pewną dozę odrazy. Kolejny rysunek towarzyszący *Pamiętnikowi podróżnemu* przedstawia śpiącą postać, odwróconą tyłem. Zwraca na siebie uwagę leżąca książka i towarzyszący jej podpis „To chleba nie daje!”.

Demitologizacja świata

Przenikliwa zdolność obserwacji zjawisk i rzeczy połączona z chęcią ich utrwalania powodowały, że tworząc karykatury, Norwid najczęściej posługiwał się szkicem. Sporo z nich badacze datują na lata 70. XIX wieku, m.in. prace przedstawiające szlachcica – karykaturę bezrefleksyjnego odbiorcy sztuki, karykatury osobowe (np. *Karykatura Bolesława Plucińskiego*) oraz stanowiące dokumentację życia towarzyskiego samego poety (Norwid w październiku tegoż roku uczestniczył w spotkaniach klubów emigracyjnych czy też Czytelni Polskiej). W 1873 roku artysta stworzył także dwa rysunki wykonane ołówkiem, znane powszechnie jako *Różne mody i niewygody I i II*. Na rysunku *Różne mody i niewygody I* przedstawione są trzy postaci: dwie kobiety i jeden mężczyzna. Kobieta z lewej strony jest odwrócona tyłem do widza, zarazem zwrócona do pozostałych osób. Ma na sobie strój wyraźnie podkreślający talię. Na szczycie jej głowy znajduje się drobny kapelusz, który – zredukowany – jest bez wątpienia przybraniem fryzury, a nie jej nakryciem. Kobieta w lewej ręce trzyma parasol. W centralnej części pracy widzimy ubraną w rozłożystą suknię postać, a obok niej mężczyznę. Rozpiętość sukni została przez Norwida podkreślona podwójnie: poprzez skonstrastowanie jej z górną częścią ubioru, którą stanowi zapewne gorset, a w wymiarze formalnym poprzez zastosowanie licznych kresek, wskazujących na wiele warstw falban, podkreślających rozpiętość ubrania. Rozłożysta suknia zdecydowanie podkreśla i poszerza biodra, deformując zarazem kształt ciała. Sposób narysowania kobiecej twarzy sugeruje jednak, że cała postać jawi się Norwidowi jako zdeformowana. W stronę kobiety ubranej (przebranej) w suknię z krynoliną zwrócony (a ponadto wyraźnie przechylony) jest mężczyzna. Jego twarz zdradza niezadowolenie, a szeroko otwarte usta wskazują na to, iż – mimo pozornie niewielkiej odległości oddzielającej go od kobiety w rozłożystej sukni – musi podnieść głos, aby go usłyszano. Ów dekoracyjny strój nie tylko nie sprzyjał kontaktom, był zarazem bardzo niefunkcjonalny, co Norwid ukazał na drugiej z karykatur przynależących do tego mikrocyklu.

Rysunek *Różne mody i niewygody II* podobnie jak poprzedni przedstawia dwie kobiety oraz mężczyznę. Wytworność pierw-

szej jest podkreślona nie tylko poprzez strój, ale także uczesanie i biżuterię. Na zasadzie kontrastu została przedstawiona kobieta, która pomaga owej wytwornej damie w przemieszczaniu. W przeciwieństwie do kobiety w krynolinie ma długą, wąską suknię, która podkreśla w naturalny sposób kształty jej ciała. Za „wytworną” damą znajduje się też mężczyzna, uchwycony w ruchu: wykonuje zamaszty krok. Być może chce zbliżyć się do damy w rozkloszowanej sukni? A może spogląda lubieżnie zza monokla? Te drobne szkice przed laty dowartościował Kazimierz Wyka, który uważał, że: „Giętka, Daumiera przywodząca na myśl linia tych rysunków służy plastycznemu wyrażeniu ironii i groteski i spełnia swoje zadanie niezależnie od obyczajowej wartości tematu”. Wspomniana przez Wykę obyczajowa wartość tematu może być rozszerzona o wymowę związaną z krytyką Francji doby Drugiego Cesarstwa, której krynolina zarówno poprzez eksponowaną wytworność, jak i związki z ówczesną techniką, stała się symbolem. „Uważaliśmy krynolinę za symbol Drugiego Cesarstwa we Francji, jego nadętego kłamstwa, jego bezmyślnej, butnej bezczelności” – pisał Friedrich Theodor Vischer. Norwid wiedział, że w wieku XIX zarówno strój, jak i uczesanie mogły mieć wymowę polityczną. Swoje stosunek do Francji za panowania Napoleona III wyrażał niejednokrotnie w takich utworach jak *Quidam czy Za kulisami*. W dramacie *Aktor Nicka-modystka* mówi:

„(...) historia jest modą ludzkości:
Rewolucja hiszpańska dała beret z piórem,
Gdy Napoleon trzeci krynolinę proci”.

Norwid w całej swej twórczości demitologizował świat jemu współczesny. Przenikliwa zdolność obserwacji zjawisk i rze-



Kartki z pamiętników.

czy spowodowała, że artysta tak ochoczo skłaniał się ku karykaturze, nie zatracając przy tym podobieństwa utrwalanych postaci, zawsze zaś akcentując ich duchową organizację. Twórczość autora *Vade-mecum* obejmująca karykatury nie zawsze jednak była interpretowana z intencją przyznania jej statusu ważnej i wartościowej. To, co wcześniej bywało częstokroć niedoceniane, dziś jawi się jako wyznacznik konsekwentnej i przemyślanej wizji artystycznej.

Zdolność przenikliwej obserwacji zjawisk i rzeczy popychała Norwida do permanentnej demitologizacji dostępnej mu rze-

czywistości. Artysta – choć ochoczo skłaniał się ku karykaturze – nie zatracił jednak w niej dystyngowanych cech portretowanych postaci, konsekwentnie kładąc nacisk na odkrywanie „duchowej organizacji” – źródła zachowań, zjawisk społecznych i postaw. Norwid-karykaturzysta jest więc twórcą o holistycznej predylekcji – spogląda w głąb zjawisk i ujawnia ich śmieszność.

*Aleksandra Sikorska-Krystek, doktorantka slawistyki
na Uniwersytecie we Fryburgu*



Fot. Źródło: polona.pl

Różne mody i niewygody I.



Fot. Źródło: polona.pl

Różne mody i niewygody II.

Mariusz Karwowski

Między nami równolatkami

Zajmują się technologiami kosmicznymi, architekturą późnobarokową, fizyką kwantową, inżynierią biomedyczną, lekami na białaczkę. Łączy ich jedno – przyszli na świat, tak jak my, w grudniu 1991 roku.

To był czas, gdy wiele rzeczy działo się po raz pierwszy. Polska została przyłączona do Internetu, wystartowała produkcja Poloneza Caro, w Poznaniu zagrali Deep Purple. Debiut zaliczyliśmy i my, wówczas jeszcze jako „Przeгляд Akademicki”. Przy okazji okrągłego jubileuszu chcieliśmy poznać naszych rówieśników. Wśród pracujących w polskiej nauce blisko pół tysiąca trzydziestolatków doliczyliśmy się 27, którzy urodzili się w grudniu 1991 roku. Rozsiani są po całym kraju: od Szczecina po Kraków. Pracują na uczelniach, w instytutach PAN oraz należących do Sieci Badawczej Łukasiewicza. Kilkoro z nich opowiedziało nam, co robią, jak widzą swoje miejsce w nauce, czy dostrzegają zmiany w niej zachodzące...

Omnia mea mecum porto

Już na długo przed pojawieniem się pomysłu konsolidacji gdańskich uczelni Paweł Wityk na własną rękę zaczął tę ideę wcielać w życie. Najpierw studia na Politechnice Gdańskiej, później doktorat na Uniwersytecie Gdańskim, a obecnie staż podoktorski w Gdańskim Uniwersytecie Medycznym w Zakładzie Biofarmacji i Farmakokinetyki. Jak przyznaje, w każdym z tych miejsc zaferowano mu inne spojrzenie na naukę, dzięki czemu może dziś czerpać z różnych doświadczeń. To zaowocowało w pełni interdyscyplinarnym podejściem do pracy badawczej. Zaczynał od syntezy związków siarkowych, potem zajął się chemią obliczeniową, a w międzyczasie również chemią kwantową. Badał uszkodzenia DNA, a na stażu w Pizie poznał zaawansowane procesy transferu elektronów w układach biologicznych.

– Nauka szybko ewoluuje i żeby nadążyć, trzeba ciągle się uczyć – przekonuje, zastrzegając od razu, że jemu to w pełni odpowiada. – Nowa wiedza pomaga mi rozwiązywać kolejne problemy naukowe i lepiej rozumieć ich naturę. Poza tym wyzwala z ograniczeń. Jeżeli będę chciał robić jutro zupełnie inną rzecz, jestem w stanie szybko się przestawić.

Nieco inaczej wyobrażał sobie otoczkę okołonaukową. Za dużo czasu poświęca się na sprawy organizacyjno-administracyjne, przygotowanie dokumentów... Jako naukowiec musi się znać i na finansach, i na zamówieniach publicznych, powinien też umieć zarządzać zespołem. W zdobyciu tych umiejętności

pomaga mu prowadzenie spółki biotechnologicznej, świadczącej usługi badawcze. Dzięki temu spogląda na naukę z dwóch stron. Kiedyś dziwił się, że to, co robi w laboratorium, inni mogą postrzegać jako niepotrzebne. Teraz już ma świadomość, na czym polega wprowadzanie nowych technologii i jak powinien się ukierunkować, by jego praca służyła społeczeństwu, a nie była tylko formą nauki dla nauki. Jako przykład przywołuje kilka prototypów mobilnej stacji sterylizacji oraz bezpieczny transporter materiału biologicznego. Rozwiązania opracowane przez niego wspólnie z Uniwersytetem Szczecińskim były odpowiedzialne za pandemię koronawirusa.

Wie już, że nauka pełna jest niepowodzeń, dlatego za każdym razem odczuwa frajdę nawet z drobnych osiągnięć, jak choćby uchwycenia jakiegoś produktu przejściowego w reakcji chemicznej. Marzy o założeniu własnej grupy.

– Profesura? Nie jako cel sam w sobie. Skupiam się na prowadzeniu pracy naukowej – zapewnia.

Przez to, że wkroczył na tę ścieżkę dość wcześnie (już w liceum brał udział w dodatkowych zajęciach na Wydziale Fizyki UG), nie traktuje 30 lat jako symbolicznej granicy, po przekroczeniu której odmieni się jego podejście do nauki. Pewnie gdyby prowadził dotąd typową karierę naukową, byłoby to dla niego przełomem, znajdowałby się wszak w zupełnie innym miejscu niż obecnie. A tak, również dzięki napotkaniu liderom zespołów, którzy dawali mu wolną rękę i pozwalali się rozwijać, od dawna samodzielnie wytycza swój szlak. Natomiast z pewnością ta trzydziestka wymusi określenie już konkretnego kierunku badawczego. Jak tłumaczy, nie da się zrobić wszystkiego i rozwijać w każdym możliwym kierunku jednocześnie.

W GUMed prowadzi eksperymentalny projekt związany z urosepsą, obejmujący elementy spektrometrii mas (to od dawna jego konik), biochemii, hodowli komórkowej. Jednak swoją przyszłość widzi gdzie indziej. Myśli o tworzeniu biosensorów, czy to elektrochemicznych, czy optoelektronicznych, do wykorzystania w szpitalach bądź przez pacjentów, którzy przebywają w domu, ale wymagają stałego monitoringu. Opracował już prototypy sensorów zdolnych do wykrywania przeciwciał. Stworzył też czujnik, który jest w stanie wykrywać mate-

riał RNA koronawirusa. Pracuje nad podobnym na grypę oraz innym, wykrywającym SARS-CoV-2 ze śliny.

– Habilitację będę robił z inżynierii biomedycznej. Dziedzina ta angażuje wszystko to, czym się dotychczas zajmowałem i pozwala mi cieszyć się nauką – mówi, kończąc swoją ulubioną maksymą: „Omnia mea mecum porto”.

Bez humanistyki nie istniejemy

– Wbrew temu, co większość sądzi, studia nad XVIII wiekiem również są bardzo interdyscyplinarne – wtóruje mu dr Alina Barczyk.

Inaczej niż poprzedni rozmówca, od czasu studiów związana jest z tą samą jednostką: Instytutem Historii Sztuki Uniwersytetu Łódzkiego. O pracy naukowej marzyła od zawsze. Wertując książki o architekturze, zwłaszcza tej dawnej, pasjonowała się tym, jak się dochodzi do prawdy historycznej, ile informacji zgromadzono w archiwach, jak można odkryć projekty pałaców sprzed lat. Idea, by się tym zawodowo zająć, z początku utopijna, z czasem okazała się w zasięgu jej możliwości. Teraz, badając materiały ikonograficzne, prowadząc kwerendy, jeżdżąc w teren, czuje się w swoim żywiole. Wszystko to pozwala jej zrozumieć nie tylko genezę i symbolikę architektury, ale też codzienne życie doby nowożytnej.

W pracy historyka architektury najważniejsze jej zdaniem jest uwzględnianie kontekstu przestrzennego. Pałace, rezydencje znajdowały się w szerszym planie urbanistycznym, a wzajemne powiązania między obiektami, ich skala, widok, jaki rozciągał się z okien, walory krajobrazowe – to wszystko można dostrzec jedynie prowadząc badania in situ. Na niej samej największe wrażenie pozostawił barokowy Kościół Bożogrobców w Nysie. To od niego zaczęła się jej fascynacja architekturą późnobarokową. Napisała książkę o rezydencjach rodu Mniszchów, a teraz zajmuje się tym, w jaki sposób rozwiązania saskie popularyzowały się w Polsce w czasach panowania Wettinów.

– Dach mansardowy, taki jak choćby w budynku Ambasady Belgijskiej, został wprowadzony do architektury warszaw-

skiej właśnie w tamtym okresie. Natrafiłam na korespondencję pokazującą skalę wyzwań związanych z tym technologicznym novum. Obawiano się, że miejscowi wykonawcy nie będą wiedzieli, jak stworzyć tego typu konstrukcję. Dlatego sprowadzono cieśli i budowniczych z Drezna. Z kosztami się nie liczone, bo chodziło o pokazanie splendoru właściciela pałacu. Były to zatem przemiany nie tylko o charakterze estetycznym, dekoracyjnym, ale też np. technologicznym – zauważa.

Epoka nowożytna, jak mówi, przyciąga dziś niewielu badaczy. Większość chce zgłębiać sztukę współczesną. Pojawiają się tematy kiedyś nieobecne w orbicie naukowego zainteresowania, jak choćby kwestie kobiece. Ona sama ani myśli o zmianie. Co więcej, im dłużej analizuje tamten okres, napotyka na coraz to nowe, równie ciekawe wątki. Poza tym choćby szeroko komentowany od lat pomysł odbudowy Pałacu Saskiego w Warszawie pokazuje, że dawna architektura nie poszła w zapomnienie i nadal budzi emocje.

– Toczą się gorące dyskusje, w jakiej formie powinno się na nowo postawić ten obiekt. Moje badania, w których ukazuję następujące wówczas przemiany, ich źródła i przyczyny, mogą być niezwykle przydatne we współczesnej debacie na temat niejednego zabytku – twierdzi.

Tegoroczne urodziny nie stanowią dla niej przełomowego momentu. To jedynie umowna granica, na którą patrzy jak na swego rodzaju zobowiązanie – wraz z wiekiem coraz więcej oczekuje od siebie samej. Pokorę uznaje za kluczową w nauce. W jej dziedzinie jest potrzebna na co dzień. Wprawdzie częściowa digitalizacja zbiorów znacznie ułatwiła pracę i przyspieszyła wymianę informacji (nie przekreślając wszak podróży i zbierania materiałów w terenie), lecz jednocześnie stale pojawiają się nowe odkrycia, które często podważają wcześniejsze ustalenia. Zmienia się kąt patrzenia na różne zagadnienia, inaczej interpretuje się dzieła i to, co chciano przekazać potomnym. Zastrzega jednak, że nie powinno się dyskredytować poprzednich prac i ich autorów. Byli przecież w zupełnie innej rzeczywistości, nierzadko pozbawieni dostępu do wielu miejsc i źró-



Fot. Paweł Suiłara

Paweł Wityk



Fot. Bartosz Kaluzny

Alina Barczyk

deł. Jej zdaniem, spojrzenie na efekty pracy naukowców w dziedzinach humanistycznych wymaga głębszej refleksji i dłuższej perspektywy czasowej. To nie są rzeczy do wdrożenia od zaraz. Mimo to, uważa, humanistyki nie powinno się marginalizować.

– Padają argumenty, że nic nie wnosi do naszego życia. A przecież bez niej nikt nie byłby w stanie funkcjonować. Ona naprawdę wiele zmienia i pomaga odnaleźć się w bardzo wielu sytuacjach, także zawodowych. A o znaczeniu architektury jako budynków dla ludzi nie trzeba chyba nikogo przekonywać – podsumowuje.

Oprócz przełomów są i pomyłki

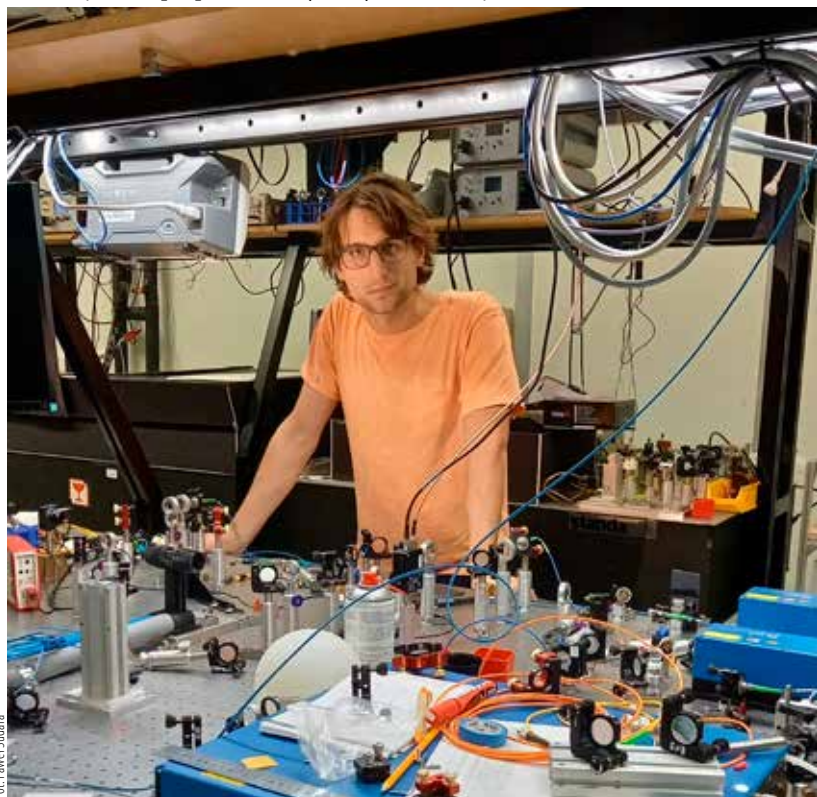
Życie niemal każdego mieszkańca tej planety zmienił na pewno Internet. Dlatego dr Michał Parniak, specjalista od technologii komunikacji optycznej, nie musi się obawiać o rezultaty swojej pracy. Zagrożenie dostrzega jednak w czym innym.

– W mojej dziedzinie, a szczególnie w dziedzinie komputerów kwantowych, problemem jest permanentny „overhype” – cokolwiek zrobimy, określa się to jako przełomowe. Tymczasem w nauce, która powinna służyć społeczeństwu, zdarzają się pomyłki i jako naukowcy mamy to z tyłu głowy. Trzeba podnosić społeczną świadomość w tym zakresie, a nie tylko skupiać się na wynikach – jasno stawia sprawę.

Po doktoracie na Uniwersytecie Warszawskim wyjechał do Kopenhagi, do Instytutu Nielsa Bohra na tamtejszym uniwersytecie. Pozwala mu to dziś spojrzeć na naukę z dwóch perspektyw. Z jednej strony wybrał studia fizyczne, a to w sposób naturalny dla tej dziedziny postawiło go przed wyborem kariery naukowej. Już na pierwszym roku trafił do laboratorium, zaczął się mocniej angażować. W Danii zobaczył też inne opcje. Tam przemysł oferuje fizykom zdecydowanie więcej możliwości. Oplaca się, bo wnoszą wiedzę, która w świecie najnowszych technologii jest na wagę złota. W Polsce ten proces dopiero się zaczyna. To nie znaczy wcale, że badań podstawowych należy zaniechać.

– Pracuję w pewnym sensie w wolnym zawodzie, sam znajduję sobie problemy, które muszę najpierw zdefiniować. To jednak nietypowe w porównaniu do większości profesji, ale zawsze przyciągało mnie to do nauki, tak ją sobie wyobrażałem – mówi.

Po postdoku wrócił na macierzystą uczelnię i dziś pracuje w Centrum Nowych Technologii UW, które jest siedzibą Międzynarodowej Agencji Badawczej – Centrum Optycznych Technologii Kwantowych. Jednym z pierwszych projektów z jego udziałem było urządzenie, które potrafi zapamiętać światło i przechować je w kwantowej pamięci. Różni się od aparatu fotograficznego tym, że zachowuje dokładność co do pojedynczego fotonu. Pamięć jest oparta na chłodzonych laserowo atomach, których chmura zawieszona w próżni może zarówno generować pojedyncze fotony, jak i przechowywać światło z zewnątrz. Zaproponował wykorzystanie urządzenia do



Fot. Paweł Sudara

Michał Parniak

przesyłania splątania kwantowego na duże odległości. W tej chwili pracuje nad dodaniem kolejnych funkcjonalności, tak żeby mogło ono być też komputerem kwantowym. Rozpoczyna także realizację projektu, w którym podobne atomy będą mogły przetwarzać pojedyncze fotony i sprzęgać fotony mikrofalowe z optycznymi. Nie kryje ekscytacji, bo zastosowania tego nowatorskiego pomysłu nasuwają się jedno po drugim.

– Jeśli chcemy wykryć jakieś sygnały mikrofalowe, to musimy mieć antenę dopasowaną do częstości takich mikrofal, co jest trudne, bo do każdej częstości trzeba wykonać inną antenę. W tym przypadku atomy są w stanie wykrywać wszystkie częstości jednocześnie. Przestrzajanie odbywa się „na żywo”. Może to być przydatne np. w radarach czy wykrywaniu bardzo słabych sygnałów – tłumaczy.

Pytany o satysfakcję czerpaną z nauki, odpowiada, że najbardziej odczuwa ją, gdy udaje się wybrać takie kierunki badań, które notorycznie przywodzą obiecujące rezultaty. Publikacje wyników, a później środowiskowe dyskusje o nich – to musi dawać spełnienie w pracy, w której rezultaty bywają przecież nieoczywiste. Dlatego tym bardziej cieszy się, że dziś, pisząc granty, można zakładać wiele ścieżek badawczych, ba, jest nawet dobrze widziane, gdy naukowiec planuje w projekcie pewne ryzyka, a zarazem sposoby ich niwelowania poprzez osiągnięcie innych, równie, a może nawet jeszcze ciekawszych, wyników.



Mikołaj Podgórski

Czy trzydziestka jest ważną cezurą w jego życiu? Rzeczywiście, jak przyznaje, to „magiczna” liczba. Dla jednych powoli przestaje się być młodym naukowcem, u innych (np. w ERC Starting Grant) na dobrą sprawę dopiero zaczyna się nim być. Ale jego zdaniem sprawczość nie zależy od wieku. Choć, gdyby się dobrze zastanowić, to może właśnie 30 urodziny są dobrym momentem na odpowiednie ustawienie kompasu. Cel, jaki sobie stawia, to stworzenie laboratorium, w którym budowane są zarówno proste urządzenia z myślą o praktycznych zastosowaniach, jak i tworzy się skomplikowane eksperymenty będące ukłonem w stronę fundamentalnej fizyki, odkrywania granic między światem klasycznym a kwantowym. Właśnie na połączeniu tych dwóch nurtów najbardziej mu zależy.

Uczelnia godne zaufania

Ołączeniu nauki z biznesem godzinami mógłby opowiadać Mikołaj Podgórski. Właśnie zaczął doktorat wdrożeniowy na Politechnice Wrocławskiej.

– Chciałbym, by moja praca naukowa przysłużyła się ludziom. Zobaczyć, że to, nad czym się pracowało latami, działa i przynosi wymierną korzyść, czy to finansową, czy technologiczną, jest od zawsze moim marzeniem. Nauka dla samej nauki mnie nie interesuje – wyjawia swoje zawodowe credo.

O takich jak on zwykło się mówić, że z niejednego pieca jedli chleb. Kręte ścieżki wiodły go od energetyki jądrowej, przez automatykę, aż po technologie kosmiczne, którym wierny pozostaje do dziś. Kończąc studia, czuł jednak, że kariera naukowa nie do końca mu odpowiada. Myślał bardziej o realizowaniu celów zawodowych poza uczelnią. Dopiero z biegiem lat, już z perspektywy osoby zarządzającej projektami biznesowymi, dostrzegł wymierne korzyści z tej synergii. Okazało się, że może ona pomóc w prowadzeniu firmy, zdobywaniu nowych kontaktów. Do powrotu na politechnikę skusił go doktorat wdrożeniowy. To alternatywna droga uzyskania stopnia doktora przeznaczona dla tych, którzy nie chcą rezygnować z pracy w sektorze komercyjnym. Przyznaje, że dla osób, dla których – jak u niego – uczelnia nie jest jedyną życiową opcją, to doskonały mechanizm pozwalający na zrównoważenie obu ścieżek. Jako pragmatyk uważa, że w idealnym świecie naukowiec powinien łączyć pracę u podstaw z wdrażaniem technologii i umieć w przystępny sposób przekazywać ten zasób wiedzy przemysłowi. Skorzystał mogliby na tym wszyscy.

Jego firma zajmuje się projektowaniem oraz produkcją teleskopów do satelitów obserwacyjnych. To urządzenia w postaci kamery do robienia zdjęć Ziemi z kosmosu. Przemysł kosmiczny nie oparł się trendom miniaturyzacji, ale w tym przypadku towarzyszy im akceptacja większego poziomu ryzyka. Trwa wyścig o zastosowanie odpowiednich komponentów, które muszą być superodporne i działać w warunkach próżni, niskiej temperatury, promieniowania. Pomyłki w tej branży bywają bardzo kosztowne.

– Konieczne jest wielokrotne testowanie. Chodzi więc o zoptymalizowanie tego etapu prac, zaprojektowanie go tak, by zaoszczędzić i czas, i pieniądze – opisuje tematykę swojego doktoratu, w którym łączy zagadnienia fizyki, mechaniki, optyki, elektroniki, projektowania...

Wszystko to sprowadza do jednego mianownika – inżynierii systemowej. Pozwala mu ona łączyć wiedzę z wielu obszarów. Tłumaczy, że dziś nie można przez całe życie specjalizować się tylko w jednej wąskiej działości. Skoro, przekonuje, większość przełomowych osiągnięć technologicznych mamy już za sobą, trzeba myśleć o racjonalizacji, doskonaleniu bądź wynajdywaniu nowych sposobów działania tych rzeczy, które już opisano.

Ale to nie rola jednego człowieka. Musi być zapewnione otoczenie, które będzie temu sprzyjać.

Tymczasem, jak zaobserwował, w ostatnich latach uczelnie skupiły się bardziej na dydaktyce niż nauce. Nie dziwi zatem, że rozwój technologii spoczywa w naszym kraju na przemyśle. Doktoraty wdrożeniowe to, w jego ocenie, udana próba zmiany tego kierunku. Nie ma wątpliwości, że nasze uczelnie, wzorem zachodnich, powinny stać się miejscem godnym zaufania dla przemysłu. Ta synergia jest tam bardzo duża i powstaje z niej wiele dobrego.

– U nas zazwyczaj jest tak, że jeśli ktoś na uczelni dokona istotnego odkrycia technologicznego, to raczej będzie je rozwijał na własną rękę, w spin-oucie. Pozytywne jest to, że dostrzeżono, w którą stronę powinniśmy iść, nastąpiła wymiana kadry naukowej, wchodzi ludzie młodszy, którzy inaczej na to patrzą. I widać, że zaczyna to służyć wszystkim – kończy z optymizmem w głosie.

Liczy się dorobek, a nie wiek

– Moje wyobrażenie o nauce było mocno wyidealizowane. Trochę jak w filmach: nowoczesny sprzęt, genialne pomysły, szybkie badania i... pacjent uleczony – wspomina dr Łukasz Szymański.

Pochodzi z lekarskiej rodziny, ale z medycyną nie było mu po drodze. Wybrał biotechnologię. Po studiach na Uniwersytecie Warszawskim i UCLA (USA) trafił do Wojskowego Instytutu Medycznego, później przeniósł się do Wojskowego Instytutu Higieny i Epidemiologii, a od półtora roku pracuje w Instytucie Genetyki i Biotechnologii Zwierząt PAN, gdzie prowadzi badania nad białaczkami. Wraz z zespołem szuka możliwości epigenetycznego przeprogramowania komórek, zarówno w zespołach mielodysplastycznych (choroby związane z deficytem krwinek), jak i w ostrej białaczce szpikowej. W tej ostatniej, jak mówi, od ponad trzydziestu lat nie odnotowano postępu w zakresie strategii terapeutycznych.

– Niedawno odkryliśmy, że skojarzona terapia kwasem all-trans-retinowym (ATRA) i lekiem przeciwdepresyjnym tranilcyprominą w warunkach laboratoryjnych ma silne działanie przeciwbiałaczkowe – wyjawia.

Choć nauka przynosi mu sporo satysfakcji, dostrzega także słabe punkty systemu. Nie spodziewał się, że aż tak trzeba walczyć o finansowanie, wypełniać tyle raportów pełnych tabel, że proces badawczy, w tym przetargi na potrzebną aparaturę i odczynniki, tak długo trwa... To zasadnicza różnica między sektorem prywatnym a instytutami. Wspomina, że podczas stypendium w Children's Medical Research Institute w Sydney wszystko szło dużo szybciej. Chodziło o to, by sprawnie realizować badania i na nich koncentrować uwagę, a nie grzęznąć w pracy administracyjnej. Trudno mu uniknąć porównań także tu, w Polsce, gdzie dzieli czas między naukę a pracę w firmie zajmującej się wyrobami medycznymi. W niej właśnie, jako osoba odpowiedzialna za badania i rozwój, udało mu się opracować dwa produkty do implantacji o najwyższej klasie ryzyka. Zarówno proszek hemostatyczny, jak i klej chirurgiczny weszły już na rynek i z powodzeniem stosowane są dziś przy operacjach.

Przyznaje, że do miejsca, w którym obecnie się znajduje, doprowadziła go niezależność w kwestii tego, co chce robić, w jakich projektach uczestniczyć, w jaki sposób prowadzić badania. Jest wdzięczny mentorom napotykanym na swojej drodze, do których mógł zwracać się bardziej o poradę niż o wytyczenie szlaku. Tym trudniej jest mu zrozumieć, dlaczego młodych naukowców ocenia się nie przez pryzmat ich dorobku, lecz wieku. Czuje to po sobie – obronił doktorat już jako 25-latek, ale dopiero teraz odnosi wrażenie, że przekracza pewną symboliczną granicę, po której na pierwszy plan wysuwają się osią-

gnięcia. Za jedno z najważniejszych, które w pewnym sensie utorowało mu dalszą drogę, uznaje opracowanie trójwymiarowego modelu ludzkiej skóry. Pionierski, bo stworzony bez konieczności pobierania komórek od pacjentów oraz z uwagi na zastosowaną w nim genipinę, która pozwala na kontrolowanie stopnia sieciowania kolagenu. Taki powtarzalny model można użyć do oceny leków, prowadzenia badań gojących się ran czy różnego rodzaju oddziaływań w skórze. Rozwija ten pomysł dalej, właśnie jest w trakcie przygotowywania patentu. Mogłoby się wydawać, że wykracza to poza orbitę jego obecnych zainteresowań, tymczasem jest efektem przemyślanego planu. Procesy, które zachodzą w gojącej się skórze, przypominają bowiem na poziomie molekularnym te nowotworowe. Zajmując się dziś tematyką onkologiczną, a zwłaszcza aspektami immunologicznymi, może więc do woli czerpać z poprzednich doświadczeń. Jak każdy marzy o naukowym „the next big thing”, ale tego zaplanować się nie da.

– Otrzymywane granty przekonują, że nasze pomysły mają w opinii recenzentów szanse na powodzenie, więc nie pozostaje mi nic innego, jak cierpliwie pracować na przyszłe sukcesy.

Po kilku latach w nauce uświadomił sobie, jak atmosfera w zespole może wpłynąć na jakość uzyskiwanych wyników. Tylko bowiem niewymuszona współpraca owocuje imponującymi rezultatami.



Łukasz Szymański

Przenikanie

Połączenie pragmatyzmu przypisywanego nauce oraz fantazji kojarzonej ze sztuką otwiera też drogę do eksploracji innego wymiaru, który ukryty jest na co dzień za zasłoną nabytych przekonań i obowiązującej kultury.

Obiektywny – subiektywny, prosty – złożony, wewnętrzny – zewnętrzny, obcy – swój, za pomocą tych i podobnych dychotomicznych par często próbuje się wyjaśnić rzeczywistość. W wyraźnym kategoriowym ujęciu brak jednak miejsca na jakiegokolwiek wahanie czy wątpliwości, niemożliwe jest też oddanie wielowarstwowości świata. Twarde obstawanie przy jednej tylko jego wizji może w pewien sposób zubożyć cały proces poznawczy. Wyjście poza własną przestrzeń epistemiczną wydaje się więc być dobrą drogą prowadzącą do zwiększenia świadomości jednoczesnego i równoprawnego istnienia bardzo zróżnicowanych sfer. O tym, że przenikanie elementów jednej z nich do drugiej niezwykle wzbogaca, przekonujemy się dzięki lekturze magazynu Polskiej Akademii Nauk „Academia” (nr 3/2021).

W wydaniu poświęconym wzajemnym relacjom sztuki i nauki znalazło się wiele przykładów przemawiających na korzyść dwustronnej reguły wymiany zasobów. Co dzieje się, kiedy taka wymiana nie zachodzi, zauważyć można chociażby w przypadku wielu współczesnych miast, kiedy to za sprawą pominięcia przez architektów i urbanistów wartości zieleni doprowadzono do zabetonowania przestrzeni, co w kontekście zachodzących zmian klimatycznych spowodowało realne zagrożenie dla terenów zurbanizowanych. Brak subtelności właściwej sztuce w połączeniu z narastającym stechnicyzowaniem ogółła z kolei współczesne dzieci z istniejącego w nich potencjału. Kontakt z przejawami działalności artystycznej potrafi wyrzeźbić realny wpływ na rozwój wyobraźni, a co za tym idzie na rozwój jednostki. Niestety dydaktyka obejmująca obszar sztuki została dziś, jak się zdaje, nieco zmarginalizowana, dlatego pilną potrzebą jest zapewnienie plastycy odpowiedniego miejsca w dziecięcej edukacji i nowoczesnym nauczaniu. Tym bardziej, że zdolności manualne oraz wyuczone umiejętności techniczne mogą przydać się w kolejnych etapach życia. Do łask wraca bowiem obecnie ilustracja w badaniach nad historią naturalną. Jak się okazuje, w świecie pełnym innowacyjnych rozwiązań technologicznych doskonale sprawdza się obecnie

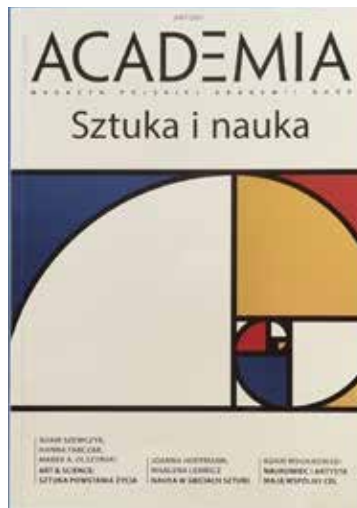
tradycyjny rysunek, za pomocą którego udaje się odzwierciedlić obserwowany obiekt, uwzględniając jego cechy uśrednione, co jest niemożliwe w przypadku fotografii, która prezentuje wyłącznie jeden, wybrany podmiot.

Pozytywne skutki przenikania się nauki i sztuki uwyrażniają się także we wzajemnym dialogu, jaki prowadzą ze sobą biologowie oraz artyści. Scalająca obie grupy ciekawość świata, kreatywność i współdzielenie doświadczeń zaowocowały wystawą „Art&Science”, w ramach której wykorzystane zostały powstałe przy użyciu różnych typów mikroskopów obrazy obiektów biologicznych.

Połączenie pragmatyzmu przypisywanego nauce oraz fantazji kojarzonej ze sztuką otwiera też drogę do eksploracji innego wymiaru, który ukryty jest na co dzień za zasłoną nabytych przekonań i obowiązującej kultury. Dostęp do świata wolnego od uprzedzeń można uzyskać dzięki praktykowaniu medytacji albo za pomocą psychodelików. Taki skok w czeluść własnych przeżyć praktykowali często w historii różni artyści. Podróż w głąb umysłu, może stanowić niezwykle ubogacające doświadczenie, oczywiście pod warunkiem gruntownego przygotowania i wyedukowania, co do mechanizmów działania środków zmieniających

świadomość.

Na planie sieci powiązań istniejących między nauką i sztuką znaleźć można także Ryzosferę. Tę Wielką Sieć Małych Światów stworzono z „potrzeby otwierania akademickich struktur, komunikacji wiedzy i doświadczeń, z ciekawości i imperatywu tworzenia”. Podstawę projektu, łączącego w sobie kilka różnych dziedzin, stanowią badania naukowe w obszarze nauk przyrodniczych, a struktura całego konceptu czerpie wzorzec z istniejących podziemnych biologicznych sieci korzeniowo-kłączowogrzybowych, zwanych właśnie ryzosferą. I jak istota tej ostatniej opiera się na wymianie zasobów, tak całe przedsięwzięcie zasadza się na wymianie oraz opracowaniu nowych strategii i struktur komunikacyjnych. Dyfuzja myśli stanowi klucz do zrozumienia złożoności świata.



Zbigniew Drozdowicz

Pożytki z konferencji naukowych

Jeśli miałbym sformułować generalizującą ocenę zagranicznych kongresów i konferencji, to powiedziałbym, że lepiej wypada ich organizacja w krajach, które mogą się wykazać długą tradycją akademicką, takich m.in. jak Francja, Włochy czy Hiszpania.

Konferencje naukowe należą do stałych i ważnych elementów akademickiego życia. Dla ich uczestników istotne znaczenie mają niejednokrotnie nie tylko pożytki naukowe, ale także towarzyskie i turystyczne. Są konferencje wyróżniające się poziomem naukowym wystąpień uczestników, ale oferta tzw. imprez towarzyszących jest nader skromna. Są również takie, na których mało kto ma coś ciekawego do powiedzenia, ale organizatorzy potrafili zadbać o owe imprezy.

Konferencje zagraniczne

Nie mam aż tak wielkiego doświadczenia konferencyjnego, aby z pełnym przekonaniem odpowiedzieć na pytanie, jak wyglądają proporcje między pierwszym i drugim rodzajem konferencji organizowanych w innych krajach. Brałem jednak udział w niejednej z nich, „zaliczając” przy okazji kilka kontynentów i kilkanaście krajów. Rzecz jasna, miały one różną naukowo rangę i różną liczbę uczestników. Przynajmniej teoretycznie najwyższą powinny mieć organizowane cyklicznie międzynarodowe kongresy naukowe. Brałem udział w kilkunastu takich spotkaniach. To, że obowiązuje na nich swoisty rytualizm, wie praktycznie każdy uczestnik. Wyraża się on nie tylko w obdarowywaniu już na wstępie konferencyjnymi gadżetami (takimi jak torby czy plakietki), ale także w rozpoczynaniu tych spotkań wykładem otwarcia. Czasami wygłaszany jest on przez uczonych szeroko znanych na świecie. Na odbytym w 1998 roku w Bostonie światowym kongresie filozoficznym można było wysłuchać wykładu jednego z najbardziej wpływowych współczesnych filozofów Willarda Quine’a.

Brałem również udział w zagranicznych kongresach, na których wykłady otwarcia wygłaszały osoby zapewne dobrze znane organizatorom, ale raczej nie większości ich uczestników. Zaliczam do nich odbyty w 2018 roku w Pekinie światowy kongres filozoficzny. Skłonny jestem wprawdzie podpisać się pod twierdzeniem „klasyka”, że „Chińczycy trzymają się mocno”, jednak w tym przypadku wyrażało się to głównie w imponującym rozmiarom Centrum Kongresowym (stanowiącym zresztą pozostałość po odbytych w tym mieście igrzyskach olimpijskich). W miarę atrakcyjna była również oferta imprez towarzyszą-

cych. Skorzystałem jedynie ze zwiedzania chińskiego muru, ale lista atrakcji była dłuższa. Znacznie gorzej wyglądała organizacja sekcji problemowych. Odbywały się one w boksach usytuowanych w garażach obiektu, w których słychać było sąsiednie wystąpienia. Imponujący jest natomiast kampus organizatora tego kongresu, Uniwersytetu Pekinńskiego. Jego część historyczna przekonuje, że mimo zawirowań politycznych w tym kraju obroniła się nie tylko dawna infrastruktura budowlana (w tym obiektu, w którym znajduje się Instytut Filozofii), ale także otoczenie przyrodnicze. Tyle tylko że nie tam odbywały się kongresowe obrady; a szkoda, bo zapewne zyskałyby na akademickim klimacie.

Jeśli miałbym sformułować generalizującą ocenę zagranicznych kongresów i konferencji, to powiedziałbym, że lepiej wypada ich organizacja w krajach, które mogą się wykazać długą tradycją akademicką, takich m.in. jak Francja, Włochy czy Hiszpania. Brałem wielokrotnie udział w organizowanych tam konferencjach i jestem przekonany, że uczestnicy rzadko kiedy mogli mieć zastrzeżenia do organizatorów. Inna sprawa, że we Francji najlepiej jest mówić po francusku (nie tylko zresztą na konferencjach). Brałem również udział w światowym kongresie filozofii francuskojęzycznej zorganizowanym kilka lat temu w Rio de Janeiro przez brazylijską Akademię Nauk. Odbywał się on na terenie Wyższej Szkoły Wojskowej. Usytuowana jest ona bowiem w dzielnicy Copacabana, kilka kroków od robiącej spore wrażenie góry o nazwie Głowa Cukru i w sąsiedztwie plaży nad oceanem. Problem był natomiast w tym, że organizatorzy zaproponowali posiłki w mało atrakcyjnej lokalowo i żywieniowo kantynie wojskowej. Skorzystałem z jej oferty tylko raz i podobnie zrobiło wielu innych uczestników. Największym zaskoczeniem mogła być jednak zwyczajowa uroczysta kolacja. Odbywała się w restauracji luksusowego hotelu i składała z wielu różnych dań. Na koniec okazało się jednak, że organizatorzy wprawdzie zadbali o zaproszenie na nią wszystkich uczestników kongresu, ale „zapomnieli” ich uprzedzić, że będą musieli za nią zapłacić z własnej kieszeni. O stronie naukowej kongresu mogę powiedzieć, że miała miejsce, a najbardziej dociekliwe pytania do mojego wystąpienia postawione zostały przez uczestniczkę dyskusji z Chin.

Jak na tych zagranicznych kongresach i mniejszej rangi naukowych spotkaniach radzą sobie Polacy? Na podstawie moich obserwacji skłonny jestem twierdzić, że nie gorzej niż uczestnicy z innych krajów. Rzecz jasna pod warunkiem, że nie tylko znają konferencyjne języki, ale także miejscowe obyczaje konferencyjne i zanadto nie przejmują się niedociągnięciami organizacyjnymi. Czasami jednak potrzebna była również spora wyrozumiałość organizatorów wobec uczestników konferencji. Niektórzy z nich bowiem wprawdzie widnieli w programie, ale gdy przychodziła godzina wystąpienia, to okazywało się, że albo o nim zapomnieli, albo po prostu uznali, że nie warto tym sobie zawracać głowy. Brałem udział również w konferencji w Budapeszcie, na której jeden z polskich uczestników wygłosił wprawdzie swój referat, tyle tylko że w żaden sposób nie mieścił się on w konferencyjnej tematyce. Być może pomylił konferencje, a może wychodził z założenia, że tym samym referatem można „obsłużyć” kilka różnych konferencji (był to profesor starszego pokolenia o bardzo znany nazwisko).

Konferencje krajowe

Nie prowadzę ewidencji krajowych konferencji, na których wygłaszałem referat. Mogę jednak powiedzieć, że było ich co najmniej kilkadziesiąt. Szczególnie wiele z nich przypada na drugą połowę lat 90. minionego stulecia i ostatnich kilkanaście lat. W jakiejś mierze związane jest to ze statusem belwiderskiego profesora (ta akademicka grupa otrzymuje zwykle najwięcej zaproszeń). W grę wchodziły i wchodzi jednak również inne względy, w tym towarzyskie. Mimo wielu zgromadzonych na tej podstawie obserwacji i doświadczeń trudno byłoby mi jednak sformułować generalizującą ocenę zarówno poziomu naukowego tych spotkań, jak i sprawności ich organizatorów. Nie podtrzymałbym jednak wcześniej sformułowanego twierdzenia, że im dłuższą tradycją mogą się wykazać uczelnie, na których się one odbywają, tym organizacja jest lepsza. Brałem całkiem niedawno udział w międzynarodowym kongresie zorganizowanym na najstarszej polskiej uczelni. Nie będę wymieniał nazwy kongresu, aby nie robić przykrości organizatorom. Mogę tylko powiedzieć, że bardzo się starali. Jednak nie wszystko im wyszło tak dobrze, jak można było oczekiwać na tak szacownej uczelni; i raczej wyjść nie mogło w sytuacji, gdy nieliczni organizatorzy zmagali się z wieloma różnymi problemami (łącznie z obsługą zdalnych wystąpień). Brałem również udział w spotkaniach naukowych organizowanych przez mniejsze uczelnie (np. w Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni) i mogę powiedzieć, że niejednokrotnie ich organizatorom niewiele można było zarzucić. Rzecz jasna sporo tutaj zależy nie tylko, a nawet nie tyle od pozycji uczelni na polskiej mapie akademickiej, ale od podejścia organizatorów i ich uczelnianego otoczenia.

Różnie to wyglądało w przywołanych wyżej przykładach, a także na wielu konferencjach odbywających się pod różnymi nazwami i z różną liczbą uczestników. Stwierdzenie, że mamy dzisiaj do czynienia ze swoistym „wysypem” takich spotkań nie będzie żadną przesadą. A to, że ich ilość nie idzie w parze z jakością, jest raczej oczywiste. Jak zresztą mogłoby być inaczej w sytuacji, gdy wiele z nich organizowanych jest nie tyle po to, aby dać okazję uczestnikom do zaprezentowania najnowszych wyników badań, lecz głównie po to, aby spotkać się towarzysko, a przy okazji przypomnieć, że czymś się zajmujemy naukowo lub przynajmniej coś opublikowaliśmy na jakiś temat. Byłem świadkiem wystąpienia, w którym uczestnik konferencji odczytał fragment swojej opublikowanej książki (trzymając ją w ręce). Innym razem odczytywane były fragmenty regulacji prawnej – nie tylko bez zająknięcia, ale także bez jakiegokolwiek komentarza. Tego rodzaju wystąpienia są udziałem młodych doktorów i doktorantów, a także wiekowych profesorów. Tym pierwszym czasami bra-

kuje odwagi, aby otwarcie prezentować swój lekceważący stosunek do uczestników i organizatorów konferencyjnych spotkań. Są oni zresztą rozliczani nie tylko z konferencyjnych wystąpień, ale także z pokonferencyjnych publikacji i raczej trudno liczyć na to, że uda się opublikować kolejny raz to, co już ukazało się drukiem. Nieco inaczej to wygląda na konferencjach organizowanych przez samych doktorantów dla doktorantów (takich również odbywa się wiele). Z wtórnością ich konferencyjnych wystąpień zmagają się jednak nie tylko organizatorzy, ale także redaktorzy czasopism, do których wysyłają oni konferencyjne „produkcje”.

Motywy stojące za organizowaniem licznych konferencji, które przynajmniej w nazwie mają „naukowość”, są bardzo różne. Niektóre z nich są zresztą takie same lub bardzo podobne do konferencji organizowanych za granicą. Należą do nich m.in. względy finansowe. W zdecydowanej większości przypadków udział w takich spotkaniach wiąże się z opłatą konferencyjną, a jeśli już ktoś jest z niej zwalniany, to osoby, które swoim nazwiskiem mogą legitymować ich naukowy charakter lub też stanowić swoistą zachętę dla szeregowych uczestników. Podobnie jest zresztą z wysyłaniem zaproszeń do osób, które nie są wprawdzie żadnymi specjalistami, jednak są rozpoznawalne w środowisku akademickim. Nie chciałbym sobie dodawać naukowego znaczenia. Jednak trudno jest mi inaczej wyjaśnić fakt, że niejednokrotnie otrzymywałem zaproszenia do udziału w konferencjach, których tematyka w żaden sposób nie wiązała się ani z obszarami moich zainteresowań badaw-



czych, ani nawet z moją dziedziną nauki. Być może jest to jedynie błąd w komputerowym zaszeregowaniu do nauk, z którymi nic mnie nie łączy. W czasach, w których CV pracowników akademickich jest albo przynajmniej powinno być dostępne w internecie, takie nieporozumienie łatwo jednak skorygować. Odrębną kategorię stanowią konferencje organizowane przez osoby i organizacje bez akademickiego statusu. Nigdy nie brałem w nich udziału. Skłonny jestem jednak zaryzykować twierdzenie, że ich naukowość występuje głównie w nazwie, a atrakcyjność w lokalizacji w turystycznej miejscowości.

Sugestie organizatora

Mam spore doświadczenie jako organizator konferencyjnych spotkań różnej rangi, z międzynarodowymi kongresami włącznie. Nie znam jednak przepisu, który gwarantowałby, że będą w nich brały udział osoby o znaczących osiągnięciach naukowych, a konferencyjne wystąpienia będą zachęcały do poważnych dyskusji. Kilka ogólniejszych sugestii chciałbym jednak sformułować. Pierwszą (zresztą dosyć banalną) jest stawianie raczej na jakość, a nie ilość uczestników. W moim przekonaniu liczące bardzo wielu uczestników kongresy w każdym przypadku obciążone są ryzykiem, że udział w nich zgłoszą nie tylko specjaliści w danej dziedzinie, ale także amatorzy, którzy z nauką mają niewiele wspólnego. Pojawiają się oni wprawdzie również na zagranicznych kongresach, ale nie jest to dla naszych amatorów żadne usprawiedliwienie.

W polskich realiach akademickich sporym ryzykiem obciążone jest również organizowanie konferencyjnych spotkań w formule międzynarodowej. Rzecz nie w tym, że nie można znaleźć chętnych do udziału w nich za granicą, lecz w tym, że w wielu przypadkach jest to wschodnia, a nie zachodnia granica. Nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie to, że tacy uczestnicy niejednokrotnie słabo znają języki konferencyjne i trzeba im zapewnić tłumacza. Zdarza się również, że w konferencyjnych wystąpieniach stosują standardy naukowości różniące się od zachodnich. Z trzymaniem się tych ostatnich miewają zresztą kłopot również rodzimi uczestnicy. Być może niektórzy z nich rozpoznają się w tej sugestii. Mimo to powiem, że nie powinni być zdziwieni tym, że nie otrzymują zaproszeń na organizowane przeze mnie konferencje. Niektórym powiedziałem to zresztą otwarcie. Jeśli jednak miałbym również w tej kwestii sformułować jakąś sugestię, to powiedziałbym, że nie należy przesadzać ze szczerością i surowością oceny konferencyjnych wystąpień. Może to wprawdzie zniechęć do wysłania kolejnych zgłoszeń na naukowe spotkania konferencyjne „turystów”, ale może to również urazić znajomych i przyjaciół, z którymi chcielibyśmy mimo wszystko zachować dobre relacje. Czasami warto przedłożyć względy towarzyskie nad naukowe. Rzecz jasna również pod tym względem nie należy przesadzać. Spotkania naukowe to jednak z założenia coś innego niż spotkania towarzyskie i dobrze byłoby się tego trzymać.



Rys. Sławomir Makal

Powodzenie działalności badawczej

Cz. I.

Przedstawionemu tu w skrócie mechanizmowi pozyskiwania badaczy i ich lokowania w zespołach katedralnych można przypisać znaczący udział w błędach decyzyjnych, skutkujących na ogół w niezbyt odległej przyszłości przykrymi niespodziankami i konsekwencjami dla wszystkich zainteresowanych stron.

Wieloletnia perspektywa obserwacji, wynikająca z przynależności do środowiska badaczy w naukach o zarządzaniu w Polsce (1969-2020), oraz bezpośrednie uczestnictwo w działalności badawczej w tym obszarze skłaniają mnie do refleksji i zachęcają do podzielenia się jej wynikami w kwestiach dotyczących przesłanek powodzenia bądź niepowodzenia (sukcesu, porażki) uprawiającego tu i teraz tę dyscyplinę badacza i nauczyciela akademickiego. Okolicznością dodatkowo zachęcającą do refleksji jest – nie waham się użyć tego określenia – swoista rewolucja, z jaką w ostatnich latach mamy do czynienia w każdym z możliwych aspektów uprawiania tej dyscypliny (doboru kandydatów do roli badacza, warunków i możliwości prowadzenia badań, przedmiotu badań, podejść metodologicznych i preferowanych metod badawczych, przeznaczenia i wykorzystywania wyników badań, sposobów i zakresu upowszechniania wyników badań w środowiskach naukowych, studenckich i menedżerskich).

Zwracam już na wstępie uwagę na wielość i różnorodność tych aspektów, by dać wyraz przekonaniu, iż w każdym z nich tkwić może źródło powodzenia i niepowodzenia aktywności badawczo-upowszechniającej dorobek dyscypliny, a tym samym by zdystansować się do wszechobecnej aktualnie narracji w tych kwestiach, zawężającej perspektywę dyskursu i skupianie jego uwagi na: publikowaniu prac w renomowanych czasopiśmie, czego świadectwem ma być odpowiednio wysoka ich punktacja; posiadanie wskaźników IF (najlepiej, aby były to czasopiśmie zagraniczne, anglojęzyczne); osiąganiu korzystnych wskaźników naukometrycznych publikowanego dorobku naukowego (liczba cytowań, wskaźnik Hirsza (HI) itp.; posługiwaniu się w badaniach metodami ilościowymi, w tym zaawansowanymi narzędziami statystyki matematycznej do opracowania i interpretacji wyników badania.

Opracowanie to, o charakterze eseju naukowego, pozbawione rygorów formalnych piśmiennictwa naukowego, może

stanowić inspirację do refleksji i dyskusji dla zainteresowanego podejmowaną problematyką czytelnika. Zamiar względnie szerokiego, można by rzec: holistycznego spojrzenia na czynniki warunkujące powodzenie działalności badawczej w wybranej dyscyplinie, będące w wielu przypadkach zapewne czynnikami wspólnymi dla wielu, a nawet wszystkich dyscyplin naukowych, nawet przy bardzo syntetycznym, wręcz sygnałowym ich ujęciu, trudno byłoby zrealizować, mieszcząc się w dopuszczalnych dla wydawcy ramach objętościowych tego rodzaju publikacji. Dlatego spróbuję zamiar ten zrealizować w trzech kolejnych, powiązanych ze sobą opracowaniach. Pierwsze (niniejsze) poświęcam grupie czynników leżących po stronie badacza, a następne dotyczyć będą kolejno czynników (2) o charakterze instytucjonalnym (zewnętrznym i wewnątrz-organizacyjnym) oraz (3) metodologiczno-organizacyjnym. Koncentrując uwagę w ramach jednego opracowania na określonej klasie czynników, postaram się zwracać uwagę na ich ważniejsze w mojej ocenie wzajemne powiązania, w szczególności powiązania między czynnikami przyporządkowanymi do różnych ich klas. W ten sposób powstawać będzie zarys modelu, który po odpowiednim rozwinięciu i zweryfikowaniu mógłby stanowić dogodne poznawczo i utylitarnie narzędzie dalszej działalności badawczej i usprawniającej w dyskutowanym tu, jak widać bardzo rozległym, obszarze tematycznym.

Warunki po stronie badacza

W poszukiwaniu źródeł powodzenia badacza można i należy sięgać do niekiedy odległej przeszłości, do czasu, kiedy zdobywał on (ów badacz adept) podstawowe kompetencje poznawcze i społeczne (w tym językowe, osobowościowe itd.) we wszystkich stadiach oraz formach socjalizacji i edukacji. Bez potrzeby głębszego uzasadniania, jak się wydaje, na czasie są tu pytania o jakość procesu edukacji na wszystkich jej poziomach, zwłaszcza pod względem rozwijania takich cech

wychowanków, jak: samodzielne, krytyczne i logiczne myślenie, ciekawość poznawcza, kreatywność, otwartość na zmiany itd. Kierunki i dokonania realizowanych w naszym kraju w minionych kilkudziesięciu latach reform systemu edukacji i szkolnictwa wyższego, śmiem twierdzić, nie są w powyższym względzie satysfakcjonujące, a wyzwania odnośnie do bliższej i dalszej przyszłości są wyjątkowo doniosłe i jednocześnie trudne. To jednak jest temat, któremu w tym miejscu, z oczywistych powodów, nie mogę poświęcić więcej uwagi.

Nie od rzeczy byłoby też zadbanie o to, by kandydat na badacza legitymował się sprzyjającym wypełnianiu tej roli profilem osobowościowym. Chodzi zarówno o podstawowy zestaw cech wymaganych od badacza jako takiego (racjonalność, analityczność, dokładność, cierpliwość, spostrzegawczość, kreatywność itd.), ale także dopasowanie odpowiednich cech do charakteru subdyscypliny. Bo trudno np. wróżyć powodzenie w rozwijaniu kariery naukowej badacza, który przy niewielkiej otwartości i wrażliwości na sprawy ludzkie chciałby zajmować się eksploracją obszaru HRM (zarządzanie zasobami ludzkimi) albo przy skłonności do analitycznego wnikania w szczegóły i schematyczności myślenia chciałby zajmować się obszarem zarządzania strategicznego.

Wśród czynników leżących po stronie badacza godzi się jeszcze zwrócić uwagę na jego predyspozycję psychologiczną w przestrzeni: wspólnotowość – indywidualizm. Współczesna nauka w coraz większym stopniu bazuje na pracy zespołowej, a temu sprzyja skłonność do myślenia kategoriami „my”. Jednocześnie jednak w wielu współczesnych społeczeństwach, głównie tzw. cywilizacji zachodniej, obserwujemy wyraźną, długotrwałą tendencję do rozwoju postaw i zachowań typu przeciwnego, o charakterze indywidualistycznym, czyli myślenia kategoriami „ja” (tzw. pokolenia Y i Z). Tego rodzaju predyspozycji, z większym niż przeciętnie nasileniem, można spodziewać się w środowiskach ludzi posiadających talenty i ambicje do pracy naukowej także w naszym kraju. A to pozostaje w sprzeczności z rekomendowaną postawą kolektywistyczną współczesnego badacza. Sprawa wydaje się godna uwagi i dyskusji. Osobiście nie widzę tu łatwych i prostych rozwiązań.

Wśród zaledwie sygnalizowanych w ramach wywołanej na wstępie klasy uwarunkowań (osobowych), chciałbym podzielić się jeszcze kilkoma refleksjami bardziej ogólnej natury, wskazującymi na kolejne pola potencjalnego zagrożenia dla jakości i powodzenia prowadzonych badań. Chodzi m.in. o to, że podejmując się roli badacza i nauczyciela akademickiego, nie powinniśmy całej naszej aktywności naukowo-badawczej, a zwłaszcza tej jej części, która ukierunkowana jest na długoterminowy rozwój naukowy, zamykać w ramach wyodrębnionych projektów badawczych. Przy poważnym podejściu do rozwoju naukowego nie można przecież obyć się bez studiowania literatury naukowej i korzystania z innych źródeł poznania naukowego o szerszym spektrum tematycznym, obejmującym także inne dziedziny i dyscypliny wiedzy, zwłaszcza pokrewne, a więc znacznie szerszym niż wynikałoby to z potrzeb specjalizacji badawczej w ramach dyscypliny czy subdyscypliny. Wiele inspiracji dla konceptualizacji i realizacji przyszłych zadań badawczych może bowiem znajdować swe źródło w poznawaniu innych, często odległych tematycznie obszarów wiedzy naukowej, ale także, mówiąc może nieco patetycznie, w poznawaniu rozległego (rodzajowo, tematycznie, geograficznie, czasowo) spektrum obiektów dziedzictwa kulturowego społeczeństw. Środowisko socjalizacji i edukacji badacza adepta powinno sprzyjać takiemu profilowi jego rozwoju.

Przy wyraźnym deficycie tego rodzaju źródeł rozwoju naukowego zamiast badacza z wysokimi predyspozycjami do myślenia skojarzeniowego, wszechstronnego, twórczego (kre-

atywnego) można wykształcić badacza „rzemieślnika”, posiadającego umiejętność sprawnego realizowania standardowych, schematycznych, zwykle jednak wynikowo mało odkrywczych projektów badawczych.

Kolejny imperatyw prawidłowości każdego procesu badawczego to neutralny intencjonalnie stosunek badacza wobec przyszłego wyniku badania, innymi słowy brak nastawienia na uzyskanie określonego wyniku. Jest to pozornie proste i oczywiste wymaganie przy założeniu, że mamy do czynienia jednocześnie z badaczem: 1) z rozmysłem dążącym do odkrywania prawdy, 2) w stopniu odpowiednim zaangażowanym w realizację procesu badawczego, a przy tym 3) pozbawionym nadmiernie emocjonalnego stosunku do prowadzonego badania. Praktyka pokazuje, że osiągnięcie jednocześnie tych trzech warunków nie jest łatwe, a ich deficyty zbyt łatwo i często generują nastawienie na określony wynik, co jest oczywiście sprzecznością z ideą obiektywizmu badacza, naruszeniem jednej z podstawowych zasad etyki badania naukowego. Sprzyjać temu może postrzeganie przez samego badacza, lub jego wpływowe otoczenie, zainteresowania uzyskaniem określonych wyników dla osiągnięcia celów badania innych niż podstawowy (rozwiązanie postawionego problemu), tzn. celów pobocznych, podrzędnych lub konkurencyjnych (np. uzyskanie awansu naukowego, stypendium) i nadanie im priorytetowego charakteru. Sytuacja taka w oczywisty sposób sprzyja kreowaniu wielu negatywnych zjawisk w toku wszystkich faz i etapów procesu badawczego.

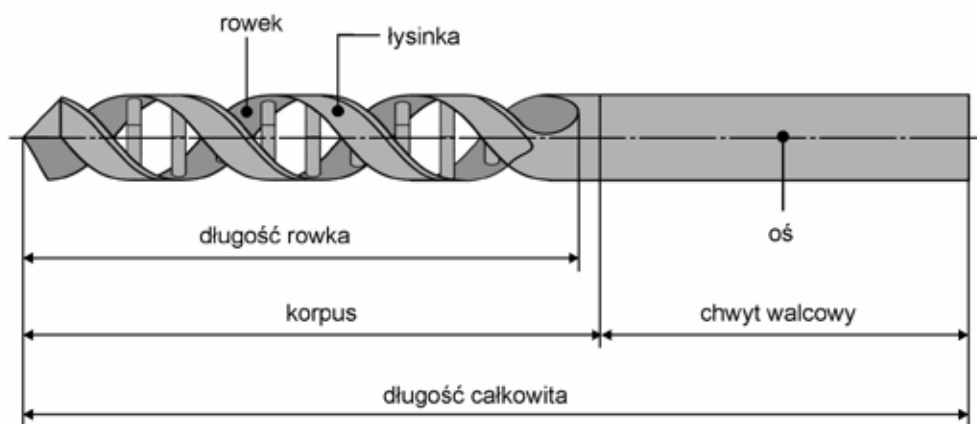
W kontekście powyższych uwag można i chyba warto postawić kolejne pytanie, czy i na ile cały zespół uwarunkowań rozwoju naukowego młodej kadry w naszej dyscyplinie (choć jest to chyba problem uniwersalny w nauce) tworzy możliwości i motywacje sprzyjające rekomendowanemu wyżej poszerzeniu personalnej bazy poznania naukowego przez rozwijanie zarówno potencjału wszechstronnej wiedzy, jak też inteligencji intelektualnej i emocjonalnej badacza. Poszukiwanie odpowiedzi pozostawiam, jak w wielu innych przypadkach w tym materiale, dociekliwoci cierpliwego (jeśli dotrwał do tego momentu) czytelnika. O niektórych spośród tych uwarunkowań będę miał okazję wspomnieć w kolejnym (zapowiedzianym wyżej) opracowaniu.

Wskazywany tu kompleks zagadnień ma jednak dalece szerszy zasięg, dotyczy bez wyjątku wszystkich innych obszarów i kierunków rozwoju zawodowego, zasługuje więc na poważne, odrębne potraktowanie. Tu jedynie mogę zagadnienia te zasygnalizować.

Czynniki po stronie systemu instytucjonalnego (zewnętrznego i wewnętrznego)

Jedno z wyższych pięter w licznej i zróżnicowanej (w tym zhierarchizowanej) grupie instytucjonalnych, zewnętrznych i wewnętrznych uwarunkowań prowadzenia i powodzenia działalności badawczej stanowi system prawny funkcjonowania szkolnictwa wyższego i nauki. Jego transformacja, tworząca **nowe ramy systemowe** (Ustawa 2.0. i pochodne) dochodzi w naszym kraju do skutku u progu trzeciego dziesięciolecia XXI wieku. Skala wnoszonych zmian, ich przesłanek i konsekwencji uniemożliwia w tym miejscu głębszą refleksję nad nimi. Trzeba jednak mieć świadomość, że nowe ramy narzucają wiele rozwiązań prawno-systemowych, które – niezależnie od oceny ich zasadności – pozostają poza wpływem jednostek badawczych i poszczególnych badaczy. Przykładowe obszary regulacji to: ocena i kategoryzacja jednostek naukowych (kwestie uprawnień akademickich), finansowanie uczelni i badań naukowych (tu ważna kwestia zasad i kryteriów finansowania grantów, w obecnym stanie moim zdaniem absolutnie wadliwie rozwiązywana), zasady i procedury awansu naukowego, wspieranie

Rys. Sławomir Makal



(lub jego brak) naukochlonnej przedsiębiorczości i innowacyjności gospodarki, wreszcie wspieranie (lub jego brak) naukowej wymiany międzynarodowej.

Ale nie wszystko, co ulega zmianom, jest narzucone. W ramach pozostawionych pól swobody wybory dokonywane w ramach uczelni, wydziałów i katedr mogą być lepsze lub gorsze. Awizując problem z oczywistych powodów w tym miejscu muszę zrezygnować z kontynuacji dyskusji w tym zakresie. Widzę jednak doniosłość i pilność potrzeby takiej dyskusji.

Innym godnym zauważenia rodzajem uwarunkowań instytucjonalnych (systemowo-kulturowych) o charakterze agregatowym jest klimat życia naukowego w służących tym celom instytucjach – organizacjach, przez który rozumiem wiązkę cech kultury organizacyjnej uczelni i jej wewnętrznych jednostek (wydziałów, katedr). Można i warto dyskutować nad zdefiniowaniem najważniejszych cech owego klimatu, czego tu się nie podejmuję. Ale dla osób z dłuższą perspektywą uczestnictwa w środowiskach naukowych ich hipotetyczne, intuicyjne wytypowanie nie powinno być zbyt trudne. Idąc tym tropem, chciałbym nawiązać do obecnej w dyskusjach nad modelami uniwersytetu tezy, że współcześnie mamy do czynienia ze zmaganiem się dwu odmiennych profili owego klimatu: tradycyjnego akademickiego i korporacyjnego. Tu nie miejsce i pora na wszczywanie dyskusji nad ich charakterystykami, walorami i wadami. Jako ewentualny zaczyn do takiej dyskusji pozwolę sobie jedynie na sformułowanie przypuszczenia, iż w naukach społecznych i humanistycznych (a to jest obszar naszego opierania) całkowite wyeliminowanie tradycyjnego profilu akademickiego na rzecz profilu zdecydowanie korporacyjnego (do czego chyba w istocie zmierza transformacja systemu szkolnictwa wyższego i nauki) może w dłuższej perspektywie przynieść więcej szkody niż pożytku.

Spójrzmy teraz na kolejną wiązkę instytucjonalnych uwarunkowań powodzenia działalności badawczej o charakterze wewnątrzorganizacyjnym, leżących po stronie **doboru personalnego, funkcjonowania zespołów badawczych i oceny działalności naukowo-badawczej**.

W ostatnich kilkudziesięciu latach zaszły spore zmiany w sposobie wyławiania i doboru kandydatów do zawodu nauczyciela akademickiego oraz kierowania pierwszym etapem rozwoju naukowego (do uzyskania stopnia naukowego doktora). Model tradycyjny polegał na wyławianiu przez profesorów (kierowników katedr, ale nie tylko) potencjalnych kandydatów już w czasie wyższych lat studiów, podczas wykładów, egzaminów, a zwłaszcza podczas seminariów magisterskich. Tu trzeba zauważyć, że mieliśmy wtedy do czynienia z zasadniczo wyższą frekwencją i systematycznością pracy studentów stacjonarnych we wszystkich formach zajęć, w tym seminariów, a także

z zasadniczo większym udziałem i zaangażowaniem profesorów w przeprowadzanie egzaminów, głównie w formie ustnej. Okazji do ujawnienia i dostrzeżenia predyspozycji studenta do pracy badawczej było zatem dużo. Formalne zatrudnienie absolwenta uczelni na stanowiskach asystenckich, a następnie adiunkta, początkowo w większym, a z upływem czasu mniejszym stopniu ograniczało możliwości jego dodatkowego angażowania się w inne aktywności zawodowe. Z kilku oczywistych powodów (np. uszczerbek dochodów) nie spotykało się to z powszechnym uznaniem, ale miało niewątpliwie także trudną do przecenienia zaletę polegającą na tym, że tworzyło warunki do codziennego, systematycznego uczestnictwa badacza adepta we wszystkich formach pracy zespołu katedry czy też innych zespołów badawczo-eksperymentalnych z udziałem pracowników katedry, z wszystkimi oczywistymi tego następstwami.

A jakie były podstawowe charakterystyki modelu dominującego w drugiej dekadzie XXI w.? Jeśli kierownik katedry wykazywał odpowiednio duży deficyt kadry dydaktycznej, ogłaszano konkurs, do którego zgłaszali się kandydaci do zatrudnienia, już ze stopniem doktora. Powodowało to, iż wśród kandydatów pojawiały się osoby całkowicie nieznanne komukolwiek z katedry lub znane częściowo, np. z okresu odbywania zajęć tudzież opieki naukowej nad doktorantami podczas studiów doktoranckich, które stały się podstawową formą doktryzowania. Związki doktorantów z katedrami były nikłe, sporadyczne. Wiele czynników im nie sprzyjało, a wśród nich ten, że nie można było doktorantowi składać obietnic przyszłego zatrudnienia w katedrze. Nie pozwalało na to zaostrzenie limitów i centralizacja decyzji o zatrudnianiu. Ta forma rekrutowania i doboru pracowników dydaktyczno-badawczych, jeśli stosowana była z należytą starannością, miała niewątpliwie pewne zalety. Sprzyjała pożytecznemu transferowi personelu między uczelniami czy też w relacjach: uczelnia – praktyka gospodarcza. Ale posiadała ona także poważne wady. I tak np.: generowała duże ryzyko nietrafnego doboru z powodu ułomności procedury konkursowej (jako takiej) i możliwych uchybień (niezamierzonych, ale i zamierzonych) w jej stosowaniu (zjawisko to nie jest zresztą czymś nadzwyczajnym, nieoczekiwanym; zostało opisane np. w ramach znanej nam skądinąd teorii agencji); wpływała negatywnie na przebieg i wyniki integracji nowego członka zespołu dydaktyczno-badawczego we wszystkich możliwych płaszczyznach owej integracji; blokowała możliwości zatrudnienia i zatrzymania w zespole osób dobrze poznanych, sprawdzonych w wyniku wieloletnich, bardziej lub mniej formalnych kontaktów, posiadających nawet wybitne predyspozycje do podjęcia się roli nauczyciela akademickiego, ale niespełniających niektórych formalnie narzuconych kryteriów (np. wiek do 35 lat), z czym trudno się pogodzić.

W trzecią dekadę XXI w. wkraczamy z mechanizmami doboru personalnego co do zasady podobnymi do wyżej opisanych. Jeśli w niektórych kwestiach pojawiają się odmienności, to raczej oddziałujące w kierunkach niepożądanych. Np. działać tak może upowszechnianie grantowo-projektowego sposobu prowadzenia (w tym finansowania) działalności badawczej, z ograniczonym wpływem decyzyjnym kierownika katedry w tym zakresie, lub – jak na gruncie niektórych uczelni – całkowite „wyprowadzenie” działalności dydaktycznej spod wpływu kierownika katedry. Nie ma on już wtedy żadnych niepodważalnych argumentów, za pomocą których mógłby wywierać skuteczniejszy nacisk na decyzje zatrudnieniowe władz uczelni czy też na postawy i zachowania pracowników katedry w sferze działalności naukowo-badawczej.

Systemową wadą procedur konkursowych w ich dotychczasowym kształcie w procesie poszukiwania i angażowania młodego kształca do pracy naukowej, nawet realizowanych z należytą starannością i uczciwością, wydaje się niewłaściwa w stosunku do potrzeb struktura i hierarchia kryteriów oceny kandydatów. Dominują tu kryteria opisujące dotychczasowe mierzalne osiągnięcia (dokonania) kandydata, tudzież jego formalnie potwierdzone (a raczej zadeklarowane) umiejętności (kompetencje). Wyraźnie brakuje natomiast kryteriów opisujących predyspozycje psychologiczne (intelektualne i emocjonalne) kandydata. To, że są one trudniej obserwowalne i mierzalne, nie może stanowić usprawiedliwienia dla ich marginalizacji.

Przedstawionemu tu w skrócie mechanizmowi pozyskiwania badaczy i ich lokowania w zespołach katedralnych można przypisać znaczący udział w błędach decyzyjnych, skutkujących na ogół w niezbyt odległej przyszłości przykrymi niespodziankami i konsekwencjami dla wszystkich zainteresowanych stron.

Dominujące w zespole, a zwłaszcza jego członie kierowniczym, podejście badawcze na poziomie wszystkich ważnych obszarów filozofii nauki (ontologii, epistemologii, aksjologii, metodologii, etyki) generuje wiązkę oddziaływań, które mogą mieć znaczący, a niekiedy wręcz dominujący wpływ na kształtowanie postawy badawczej naszego adepta i jego kolejne wybory, ważne dla przyszłego powodzenia rozwoju naukowego. Możemy tu mówić o różnych kombinacjach kierunku i siły wpływu zespołu (katedralnego) i jego kierownictwa oraz podatności adepta na ten wpływ, a także o różnych tego dalekosiężnych konsekwencjach. Sygnalizowane już ograniczenia nie pozwalają mi kwestii tej szerzej rozwijać. Wspomnę jedynie, że kombinacją najbardziej oczekiwaną (rekomendowaną) byłby silny pozytywny (cokolwiek miałyby to oznaczać) wpływ zespołu przy relatywnie dużej nań podatności adepta, a kombinacją najbardziej niekorzystną – silny negatywny wpływ przy również dużej podatności adepta.

Obok względnie trwałych zespołów katedralnych doświadczeniem praktycznie każdego badacza jest współcześnie uczestnictwo w odmiennym typie zespołów – w zespołach projektowych, przejściowych, tworzonych na czas realizacji wyodrębnionych zadań badawczych. Obydwa wspomniane typy zespołów (katedralne, projektowe) mają zalety i wady, które warto rozpoznawać, o których warto dyskutować. W ostatnich latach dominującym wydaje się trend do osłabiania roli zespołów katedralnych na rzecz projektowych. Stawiam tezę, że z perspektywy długookresowej jest to tendencja szkodliwa, bowiem prowadzi do osłabienia możliwości przenoszenia doświadczeń na początkujących badaczy (w zakresie kompetencji merytorycznych, metodologicznych i społecznych) w relacjach międzypokoleniowych, co jest silną stroną zespołów katedralnych, nie-
możliwą do osiągnięcia w zespołach badawczych.

W dyskutowanej tu klasie uwarunkowań wspomnieć jeszcze wypada o kolejnym, ważnym i zarazem trudnym aspekcie wywierania wpływu na przebieg i wyniki działalności badawczej pojedynczych badaczy i całych zespołów, jakim jest ocena tej działalności i wykorzystanie wyników tej oceny. Trudno tu pochwalać rozwiązania znane nam z minionych lat, a nawet dziesięcioleci. Wprawdzie formalne systemy takich ocen i zasad wykorzystywania ich wyników istniały, ale zbyt często stosowane były nie dość konsekwentnie i powierzanej im funkcji motywacyjno-selekcyjnej nie spełniały. Problematyka ta jest na tyle ważna i złożona, że wymaga odrębnego potraktowania. W tym miejscu zatem rezygnuję z pogłębionej analizy cech i konsekwencji tego co było, a także tego, czego można się spodziewać po nowych, aktualnie wprowadzanych rozwiązaniach systemowych w tym zakresie. Wspomnę tylko, że kierunek tych zmian, ujmując najogólniej, sprowadza się do zastępowania ocen mniej sformalizowanych, w większym stopniu jakościowych i długoterminowych, ocenami o wyższym stopniu formalizacji, w większym stopniu opartymi na danych ilościowych i obejmującymi krótsze odcinki czasu. Ten nowy model oceniający pracę badawczą i jej rezultaty, nierzadko opatrywany nieco złośliwymi określeniami, jak np. „punktoza”, mówiąc najogólniej nie ma dobrej opinii, zwłaszcza w środowiskach nauk humanistycznych i społecznych, do których nauki o zarządzaniu także należą. Odkładając dyskusję na ten temat na inną okazję, pozwolę sobie jedynie zauważyć, że do grona apologetów tego kierunku ewolucji systemu oceniania działalności badawczej też się nie zaliczam. Ale to nie znaczy, że mam gotowe propozycje zmiany. Poszukując kierunkowo lepszych rozwiązań, starałbym się, jak sądzę, szukać ich w obszarze rozwiązań hybrydowych, heterogenicznych. Sprzyjałbym takim rozwiązaniom, które obejmowałyby pole obserwacji i pomiaru nie tylko parametry opisujące końcowe, ilościowe, zwłaszcza publikacyjne wyniki pracy badacza, ale także wszystkie ważne dla tych wyników w wymiarze długoterminowym cechy samego badacza i realizowanych przezeń przedsięwzięć badawczych, nawet przy ograniczeniach ich obserwowalności i wymiarności. Potrzebny jest jednak wielki zbiorowy wysiłek zainteresowanych środowisk, by zdefiniować, jakie to są cechy (a w rezultacie kryteria oceny), jak je opisywać i mierzyć. W tym opracowaniu prawdopodobnie pewna ich część została zauważona.

Próbując konkludować powyższe rozważania nad całą klasą uwarunkowań instytucjonalnych (zewnątrznych i wewnętrznych) prowadzenia i powodzenia działalności badawczej, tutaj odnoszonych do wybranej dyscypliny nauk o zarządzaniu, ale zapewne „działających” w dużo szerszym zakresie, trzeba przyznać, iż ich obraz jest złożony, trudny do rozszyfrowania, zmienny w czasie. Generalizując jednak, można stawiać tezę, że w aktualnej rzeczywistości i dającej się przewidywać przyszłości należy liczyć się w obszarze uwarunkowań instytucjonalnych z przewagą czynników i tendencji ich oddziaływania o charakterze negatywnym dla rozwoju i osiągnięć działalności badawczej. Jeśli dodatkowo uwzględnimy obserwowaną nazbyt powszechnie inercję zainteresowanych środowisk naukowych względem wadliwych rozwiązań i ich oddziaływań, ciche godzenie się na te rozwiązania, przechodzące w bardziej lub mniej zdecydowaną ich akceptację, trudno o patrzenie w przyszłość z nadzieją i optymizmem.

ciąg dalszy w następnym numerze

Prof. dr hab. Jan Lichtarski, obecnie profesor emerytowany, wcześniej związany z Katedrą Ekonomiki i Organizacji Przedsiębiorstwa Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Przez dwie kadencje członek Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Przez wiele kadencji członek Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania PAN.

Uniwersytet dwóch przestrzeni

Uczelnia, która chce zachować ważne miejsce w archipelagu nauki i szkolnictwa wyższego, musi na nowo przemyśleć strategię w zakresie wykorzystywania i tworzenia zarówno przestrzeni fizycznej, jak i wirtualnej oraz ich współistnienia i interakcji.

Uniwersytet bez ścian?

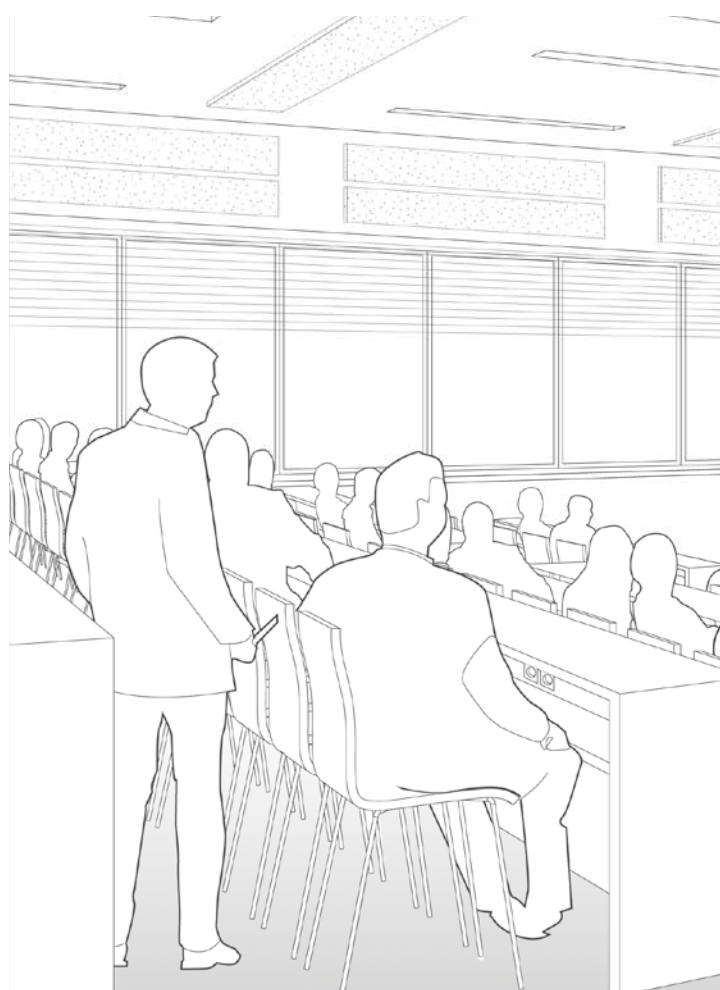
Problem znalezienia balansu między przestrzenią fizyczną a wirtualną w działalności uczelni został dostrzeżony przez European University Association jeszcze przed pandemią. W raporcie pod znamiennym tytułem *University without walls*, opublikowanym w lutym 2020 roku przewidywano, że już w perspektywie 2030 roku uniwersytety przybiorą formę hybrydową: „The nature and structure of universities will be hybrid. They will be open as physical and virtual spaces and will work to cultivate both of these when engaging with society. In the future, this will entail that physical and digital learning and research environments must be designed in a holistic way to accommodate the different needs of a diverse university community and allow for flexible and blended approaches”.

Hybrydowe formy kształcenia i prowadzenia badań, łączące stacjonarną naukę i współpracę badaczy z różnymi formami komunikacji na odległość, będą się rozpowszechniać z kilku powodów. Stwarzają ogromne możliwości globalnego udostępniania materiałów edukacyjnych i danych badawczych, jak przekonał się, także możliwość interakcji w czasie rzeczywistym. Są tanie zarówno dla uczelni, jak i studentów; pozwalają zaoszczędzić czas, koszty podróży i pobytu w drogich miejscach. Stwarzają uczelniom możliwości pozyskiwania studentów z oddalonych miejsc kraju i globu, wzmagając konkurencję o talenty i pieniądze. Doświadczenia pandemii dramatycznie przyspieszą proces „hybrydyzacji”. Uczelnia, która chce zachować ważne miejsce w archipelagu nauki i szkolnictwa wyższego, musi zatem na nowo przemyśleć strategię w zakresie wykorzystywania i tworzenia zarówno przestrzeni fizycznej, jak i wirtualnej oraz ich współistnienia i interakcji.

Powrotu nie będzie

Gwałtowny wybuch pandemii zmusił uczelnie całego świata do natychmiastowego przejścia w tryb nauczania online i zdalnego załatwiania spraw, które do niedawna wymagały obecności lub papieru. Pracując online, pracownicy uczelni i stu-

denci w szybkim tempie zdobyli nowe kwalifikacje. Rodzące się potrzeby przyspieszały rozwój odpowiedniego oprogramowania – aplikacje, takie jak Zoom, Teams, Meets itp., których niedawno nie znaliśmy, dziś służą nie tylko do zajęć, ale i życia towarzyskiego. Nauczyciele, administracja i studenci nie tylko pokonali wiele barier, ale także dostrzegli możliwości niedostępne w tradycyjnych salach wykładowych i gabine-



tach. Ciekawe przykłady metod dydaktycznych w sieci przedstawiono podczas Forum Dobrych Praktyk zorganizowanego przez Centrum Kompetencji Cyfrowych Uniwersytetu Warszawskiego w maju br., a wśród propozycji było wiele z kierunków humanistyczno-społecznych.

Zajęcia online ułatwiły współpracę dydaktyczną z zagranicznymi uczelniami. W semestrze letnim ubiegłego roku akademickiego uczelnie tzw. sojuszu 4EU+: z Warszawy, Pragi, Heidelbergu, Paryża, Kopenhagi i Mediolanu, uruchomiły wspólną ofertę zajęć dydaktycznych o nazwie „4EU+ Shared courses”. W zdalnych zajęciach na Uniwersytecie Warszawskim pobierało naukę 160 studentów z wymienionych zagranicznych uczelni, a przeszło 200 studentów UW zapisało się na zajęcia w uczelniach partnerskich. Z powodu powrotu do tradycyjnych sal w semestrze zimowym 2021/22 oferta przedmiotów i liczba studentów była około czterokrotnie mniejsza. Natomiast zostało uruchomionych kilka tzw. 4EU+ joint courses, czyli zajęcia wspólnie organizowane przez osoby z partnerskich uczelni. Opisuję bardziej szczegółowo te inicjatywy, żeby podkreślić, iż nasza chata nie jest z kraja...

Wiele seminariów badawczych, prowadzonych dotąd w salach poszczególnych uczelni, dzięki technologii online stało się podczas pandemii globalnymi. Niektóre z nich w tym semestrze kontynuują funkcjonowanie online lub w formie hybrydowej, tzn. jako spotkania miejscowych uczestników w sali, mających jednocześnie kontakt online ze zdalnymi uczestnikami. Wystąpienie polskiego uczonego na seminarium za oceanem nie musi wiązać się z kosztowną i czasochłonną podróżą i vice versa łatwiej jest zaprosić uczonego z antypodów do wystąpienia na naszym seminarium. Prowadzenie hybrydowych zajęć i seminariów utrudnia jednak brak pomieszczeń przystosowanych do takiego działania.

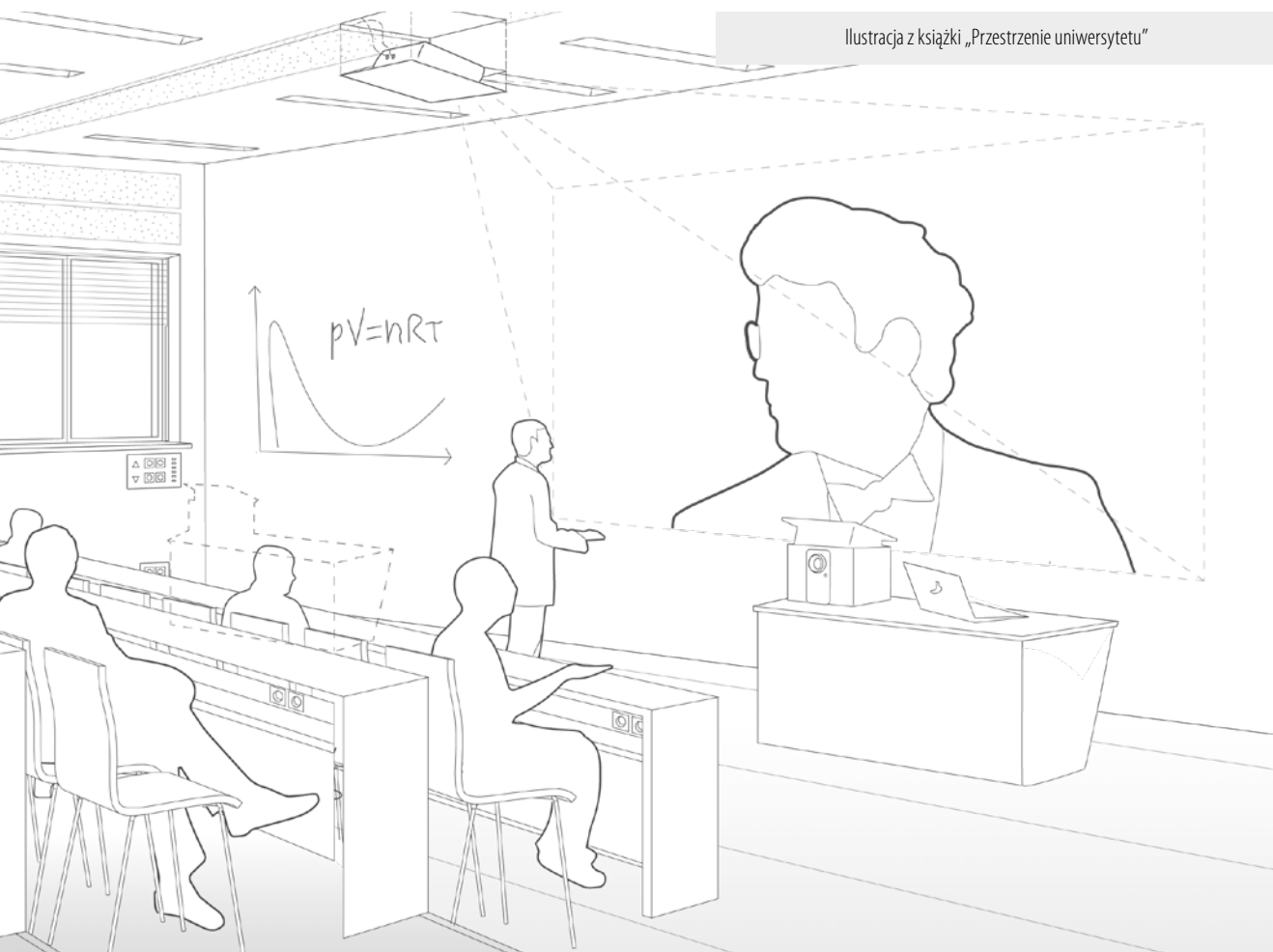
Doświadczenie pracy online w połączeniu ze zwiększoną obawą o przebywanie w zbiorowiskach ludzkich przyspieszy proces odchodzenia od zajęć w dużych salach audytoryjnych.

Przekaz jednokierunkowy może być świetnie zastąpiony przez umieszczanie wykładów i skryptów w sieci. W ankietach studenci doceniają zalety wykładów online – mogą ich słuchać w dowolnym czasie, a jeśli nie zrozumieli jakiegoś fragmentu, mogą cofnąć kursor. Sale dydaktyczne muszą być dostosowane do zajęć interaktywnych i współpracy, tworzenia relacji międzyludzkich, ułatwiania komunikacji. Sale powinny być zaaranżowane i wyposażone w sposób umożliwiający udział w zajęciach zarówno „stacjonarnych”, jak i zdalnych uczestników. Niezastępowalną funkcją przestrzeni fizycznych pozostanie budowa poczucia wspólnoty akademickiej i więzów społecznych. Po doświadczeniu minionego roku akademickiego doceniamy zarówno walory bezpośrednich kontaktów, jak też możliwości stwarzane przez współczesne narzędzia informatyczne.

Uczelnie jutro

Kolejna fala pandemii jesienią 2021 potwierdza opinię Zespołu ds. COVID-19 przy prezesie PAN, że „nie będzie szybkiego powrotu do świata sprzed pandemii” i radę: „zamiast wyczekiwać końca pandemii, musimy wszyscy szukać sposobów życia z wirusem”. Czy uczelnie szukają takich sposobów, szczególnie w zakresie rozwiązań przestrzennych? Konieczność projektowania przestrzeni publicznej tak, by pozwalała ona ograniczać ryzyko rozprzestrzeniania się zakażeń, staje się znów przedmiotem rozważań architektów i specjalistów od ochrony zdrowia. Światowym ekspertem w dziedzinie badań transmisji wirusa w powietrzu jest wywodząca się z Uniwersytetu Jagiellońskiego, a pracująca w Australii, prof. Lidia Morawska. W związku z pracą dla WHO prof. Morawska znalazła się w gronie stu najbardziej wpływowych ludzi amerykańskiego tygodnika „Time”. Bardzo ważny artykuł poświęcony transmisji wirusa COVID-19 opublikowała wraz ze współpracownikami w czasopiśmie „Science”. W ostatnim, podsumowującym akapicie artykułu autorzy piszą:

Ilustracja z książki „Przestrzenie uniwersytetu”



„The COVID-19 pandemii has revealed how unprepared the world was to respond to it, despite the knowledge gained from past pandemics. A paradigm shift is needed on the scale that occurred when Chadwick's Sanitary Report in 1842 led the British government to encourage cities to organize clean water supplies and centralized sewage systems. In the 21st century, we need to establish the foundations to ensure that the air in our buildings is clean with a substantially reduced pathogen count, contributing to the building occupants' health, just as we expect for the water coming out of our taps”.

Tak jak wspomniana w artykule epidemia tyfusu w Anglii w pierwszej połowie XIX w. spowodowała wprowadzenie nowych zasad dotyczących kanalizacji i zaopatrzenia w wodę, tak przed stu laty, gdy zwalczano gruźlicę i hiszpankę, zmieniono zasady dotyczące doświetlenia i wietrzenia budynków. Można to zauważyć w każdym polskim mieście.

Pandemia spowodowała wzrost świadomości możliwości różnych zakażeń, a w związku z tym indywidualne dążenie do ich unikania. Należy się liczyć z tym, że pracownicy i studenci, stanowiący grupę bardziej niż przeciętną świadomą dróg rozchodzenia się zakażeń, będą zwracać uwagę na to, czy pomieszczenia zapewniają im odpowiednie bezpieczeństwo, tak jak zwracamy uwagę na czystość.

Konieczna jest aranżacja przestrzeni w sposób umożliwiający zachowanie dystansu. Ważną rolę w zapobieganiu rozprzestrzenienia się infekcji odgrywają systemy instalacyjne, szczególnie wentylacyjne i klimatyzacyjne. Na uczelniach dotyczy to zarówno przestrzeni służących dydaktyce i badaniom, jak też domów studenckich. Z cytowanym artykułem prof. Morawskiej współbrzmie list trzech zagranicznych naukowców [<https://forumakademickie.pl/wp-content/uploads/2021/10/List-ws.-wentylacji-szkol1.pdf>], specjalistów w zakresie wentylacji, skierowany do premiera i ministra edukacji i nauki po rozmowach w ramach sejmowego zespołu parlamentarnego ds. walki z pandemią i jej skutkami. Inne wyzwania dla przestrzeni fizycznych wynikają z nowych technologii informatycznych, które wspomniano wyżej.

Dla uczelni problem dostosowania przestrzeni do nowych potrzeb ma szczególne znaczenie, bo możliwości przenoszenia funkcji do przestrzeni wirtualnej, połączone z niedostosowaniem przestrzeni fizycznej do rosnących wymagań i potrzeb, grozi jej pustoszeniem, ucieczką studentów do uczelni potrafiących zapewnić interesującą komplementarność dwóch rodzajów przestrzeni. Wiele uczelni w świecie już dziś rozważa transformację przestrzeni dydaktycznych lub dokonuje rewizji planów inwestycyjnych. Problemy te dotyczą również polskich szkół wyższych, które chcą troszczyć się o zdrowie pracowników i studentów, a także być konkurencyjne w stosunku do uczelni, które podejmą program modernizacji.

Kwestia dostosowania przestrzeni fizycznej do nowych wyzwań przestrzeni wirtualnej oraz zdrowotnych jest szczególnie pilna dla uczelni będących w trakcie realizacji ambitnych programów inwestycyjnych. Największy z nich to zapewne Program Wieloletni „Uniwersytet Warszawski 2016-2025”, przewidujący budowę nowych gmachów oraz modernizację istniejących o łącznej powierzchni blisko 200 tys. m², czyli większej niż powierzchnia Pałacu Kultury i Nauki. Nowe inwestycje planują również Uniwersytet Jagielloński i Politechnika Warszawska, a także Uniwersytet Rzeszowski. Minister Przemysław Czarnek zapowiedział przeznaczenie dodatkowej kwoty 1 mld złotych, na inwestycje w mniejszych ośrodkach, szczególnie Pomorza Zachodniego. Nowe spojrzenie potrzebne jest nie tylko w skali wielkich projektów, ale także w ramach modernizacji i adaptacji w mikroskali. Uważam, że publiczny spon-

sor powinien oczekiwać od beneficjentów środków inwestycyjnych dostosowania projektów do wyzwań płynących z pandemii i informatyzacji.

Musimy budować przestrzenie dla uczelni jutra, a nie dnia dzisiejszego lub wczorajszego. Dotychczas, przygotowując plany inwestycyjne, nie znaleźmy epidemii innej niż sezonowa grypa. Komputer tylko wspomagał proces dydaktyczny. Dziś już wiemy, że konieczna jest zmiana w myśleniu o przestrzeni fizycznej oraz jej projektowaniu.

Ogólnopolska BIPA potrzebna od zaraz

Modernizacja przestrzeni fizycznej uczelni, a także przestrzeni wirtualnej, tak aby odpowiadały one nowym wyzwaniom, wymaga rozwiązań instytucjonalnych oraz odpowiednich kompetencji. Potrzebne są wyspecjalizowane jednostki i komisje, obserwowanie debaty, która toczy się w świecie, w uczelniach i na łamach pism i portali poświęconych szkolnictwu wyższemu. Dyskusje i analizy powinny doprowadzić do decyzji o odpowiedniej reorganizacji przestrzeni istniejących budynków i zmian w projektach budynków planowanych i modernizowanych.

W celu profesjonalnego przygotowania projektów inwestycji budowlanych wspomnianego Programu Wieloletniego UW w 2016 r. zostało stworzone Biuro Innowacji Przestrzeni Akademickiej (BIPA). Projekty urbanistyczne i konkursy architektoniczne przygotowane przez BIPA spotkały się z wysokimi ocenami zarówno środowiska architektów, jak też władz m.st. Warszawy. Architekci zatrudnieni w BIPA zdobyli ogromną wiedzę o projektowaniu obiektów akademickich; rozwinęli międzynarodowe kontakty z projektantami obiektów akademickich. Działalności BIPA w latach 2016-2020 obszerny artykuł poświęciło pismo „Architektura&Biznes” (nr 9/2021).

Podkreślając potrzebę specjalizacji w projektowaniu przestrzeni instytucji publicznych architekt Grzegorz Piątek, autor świetnych książek o historii Warszawy i jej architektury, w wywiadzie dla noizz.pl tak mówił o BIPA: „Zmiana zaczyna się też w instytucjach publicznych. Przy Uniwersytecie Warszawskim powstało dwa lata temu Biuro Innowacji w Przestrzeni Akademickiej (BIPA). Co prawda nie zajmuje się projektowaniem budynków dla uczelni, ale analizuje potrzeby, pomaga planować rozwój, organizuje konkursy architektoniczne. (...) To jedno z nielicznych tego typu biur stworzonych u boku dużej publicznej instytucji. Taki think-tank”.

Think-tank, jaki tworzyła BIPA, jest dziś potrzebny wszystkim polskim uczelniom. W listopadzie 2021 brałem udział w konferencji z okazji 20-lecia Międzyuniwersyteckiego Centrum Informatyzacji (MUCI), które powstało, gdy uczelnie stanęły przed wyzwaniem informatyzacji obsługi studentów i studiów. Konsorcjum, którego udziałowcami są uniwersytety, zrzesza dziś 78 rozmaitych uczelni. W zainicjowanym w UW systemie USOS, będącym dziś sztandarowym produktem MUSI, zarejestrowanych jest ponad 60% studentów uczelni publicznych. Zapewne zadania MUCI ulegną rozszerzeniu w związku z powstaniem nowych potrzeb w zakresie oprogramowania do realizacji hybrydowych form działalności uczelni. Być może należy pomyśleć o stworzeniu podobnego konsorcjum do opracowania standardów przestrzeni akademickich nowych czasów. Przestrzenie uczelni wymagają innowacji jak nigdy dotąd za naszej pamięci.

Prof. dr hab. Stefan Jackowski,
Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego,
współautor książki „Przestrzenie uniwersytetu”

Czytelnia czasopism

Słuchajmy naukowców

Pandemia koronawirusa, szczepienia, zmiany klimatu, kryzys uchodźczy – wokół tych zagadnień narosło w ostatnim czasie wiele przekonań, po pierwsze nieprawdziwych, a w dłuższej perspektywie wyraźnie szkodliwych. Czy o rzeczywistości, która nas otacza, nie należałoby mówić wyłącznie na podstawie sprawdzonych twierdzeń oraz językiem nie wykluczającym nikogo? Z pewnością tak, o czym można przekonać się w trakcie lektury rozmowy przeprowadzonej z prof. dr. hab. Jackiem Popielem, rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego przez miesięcznik „Alma Mater” (nr 226/2021).

Interlokutor w klarowny i wyważony sposób przybliży problemy, z jakimi mierzyć się musi współczesny świat. Porusza



m.in. kwestię braku zgody na używanie w przestrzeni publicznej wypowiedzi o charakterze nienawistnym i poniżającym. Szczególna odpowiedzialność za piętnowanie wszelkich przejawów nieprawidłowości spoczywa, jego zdaniem, na osobach odpowiedzialnych za edukację. To właśnie one zawsze powinny wyrażać stanowczy sprzeciw wobec tego rodzaju działań. W rozmowie znalazły się

także wątki dotyczące konieczności dostosowania sposobów nauczania do trudnych, pandemicznych czasów, proekologicznego zaangażowania uczelni ze stolicy Małopolski, jej planów inwestycyjnych, a także wyników bieżącej rekrutacji. Jak się okazuje, tegorocznym hitem wśród proponowanych kierunków była japonistyka, na drugim miejscu uplasowała się ekonomia, a najniższy stopień podium zajęły studia nad Koreą. Sam Uniwersytet Jagielloński w Rankingu Szkół Wyższych „Perspektyw” po raz kolejny został uznany za najlepszą polską uczelnię akademicką w Polsce.

Uniwersytet oczami praktyka

Powołana w wyniku zapisów Ustawy 2.0 Rada Uczelni zobligowana jest do wypełnienia wielu różnorodnych powinności. Do jej zadań należy m.in. nadzór nad gospodarką finansową, zatwierdzanie sprawozdania z wykonania planu rzeczowo-finansowego czy wskazywanie kandydatów na rektora. O szczegółach pracy



w tym stosunkowo młodym organie opowiada „Forum Uczelnianemu” (nr 1-2/2021) Zbigniew Cenker, przewodniczący Rady Uczelni Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego.

Rozmówca podkreśla, że pełniona funkcja stanowi dla niego nie tylko prawdziwe wyróżnienie, ale jest też sporym wyzwaniem oraz okazją do podzielenia się własnymi,

praktycznymi doświadczeniami. Jako przedstawiciel biznesu zna dobrze realia funkcjonowania współczesnego rynku i ma świadomość potrzeby kształcenia fachowców na odpowiednim poziomie. Tylko dzięki wysokiej jakości odebranej edukacji możliwy staje się przyszły sukces zawodowy jednostki, a co za tym idzie rozwój korzystającego z jej kompetencji przedsiębiorstwa. W tym kontekście jeszcze mocniej wybrzmiewa głos mówiący o potrzebie inwestowania w rozwój kadr technicznych i menedżerskich, a także o konieczności otwarcia na studentów pochodzących spoza naszego kraju. Umiejętne wykorzystanie potencjału posiadanego przez ZUT, szkołę wyższą posiadającą 75-letnią tradycję akademicką, ma sprawić, by stała się ona nie tylko miejscem rozpoznawalnym, ale także prawdziwym partnerem, z którym dobrze się współpracuje i który sam chętnie partycypuje w różnego rodzaju projektach badawczych i rozwojowych. Ideałem będzie stworzenie miejsca, gdzie kreuje się innowacyjne trendy, wyznacza nowe cele i wytycza kierunki, za którymi podąża społeczne otoczenie uczelni.

Pożytek z wymiany

Jednym z istotnych elementów działalności naukowej jest umiędzynarodowienie. To ważne zjawisko jest interesujące i korzystne z wielu różnych powodów. Jego meandry postanowiło przybliżyć czasopismo Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu „Więści Akademickie” (nr 3/2021).

Głos w sprawie zalet internacjonalizacji zabrali prof. dr hab. Krzysztof Szoszkiewicz, rektor UPP oraz prof. dr hab. Piotr Goliński, prorektor ds. nauki i współpracy międzynarodowej. Obaj panowie zgodnie podkreślili niebagatelne znaczenie internacjonalizacji dla dalszego rozwoju uczelni. Bilans zysków płynących z faktu jego istnienia wyraża się zarówno we wzroście poziomu prowadzonych badań, wzmocnieniu

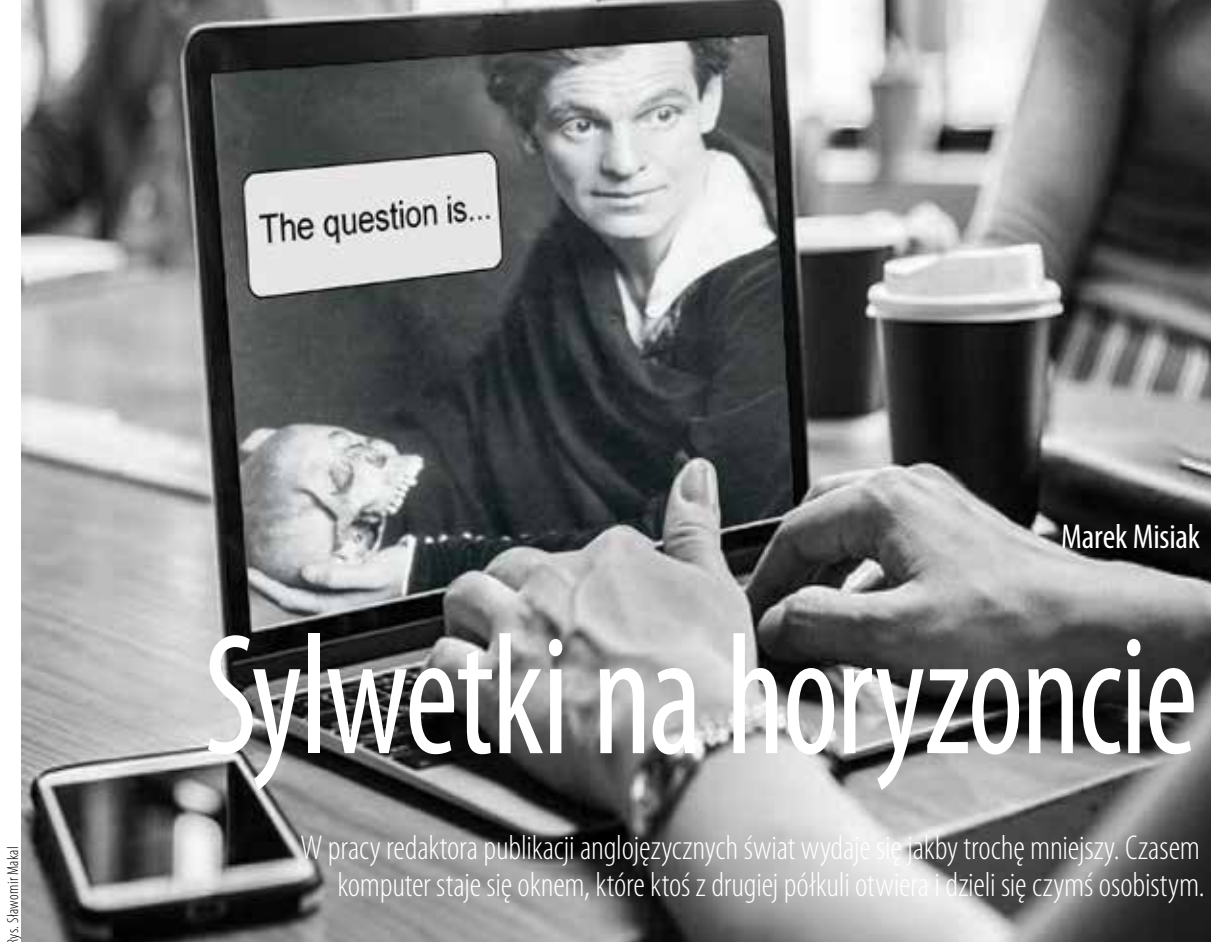


jakości procesu dydaktycznego, jak też w podniesieniu prestiżu uczelni i jej rozpoznawalności na arenie międzynarodowej. Nie do przecenienia jest także wymierny aspekt ekonomiczny. Wpływy z czesnego oraz zewnętrznych funduszy, które promują umiędzynarodowienie, stanowią bowiem istotny element budżetów wydziałowych. Skutkiem zauważalnie rosnącej potrzeby

zwiększania aktywności w ubieganiu się o finansowanie badań w ramach programów międzynarodowych było powołanie do życia w strukturze organizacyjnej UPP Działu Projektów.

Rozwój nauki wymaga ciągłej otwartości na wiedzę i odkrywania wartości płynących z odmiennych opinii oraz przekonań. W tym kontekście bezcenna jest możliwość kontaktów z osobami wywodzącymi się ze zróżnicowanych środowisk. Wymiana doświadczeń, prowadzenie wspólnych programów badawczych, tworzenie sieci akademickich, publikowanie wyników badań w czasopismach o zasięgu międzynarodowym, organizacja konferencji i sympozjów naukowych, wszystko to sprawia, że można zaprezentować światu pełnię własnych dokonań.

Aneta Zawadzka



Brys, Sławomir Makal

Sylwetki na horyzoncie

W pracy redaktora publikacji anglojęzycznych świat wydaje się jakby trochę mniejszy. Czasem komputer staje się oknem, które ktoś z drugiej półkuli otwiera i dzieli się czymś osobistym.

Gdy wracam z odwiedzin u mojego najbliższego przyjaciela, często mijam (na rowerze, rzecz jasna) jedną z wrocławskich galerii handlowych. Na jej ścianie wiszą zegary pokazujące czas w najważniejszych stolicach świata i mokry asfalt na chwilę zdaje się odbijać światła Broadwayu czy Ginzy, a nie zwykłe lampy sodowe wrocławskiego Śródmieścia. Nigdy nie byłem poza Europą, ale w pracy redaktora publikacji anglojęzycznych świat wydaje się jakby trochę mniejszy. Czasem komputer staje się oknem, które ktoś z drugiej półkuli otwiera i dzieli się czymś osobistym. Na studiach uczono mnie, że redaktor jest pomocnikiem, asystentem, ba, wręcz sługą (byle nie sługusem) autora. Nikt nie wspominał jednak o tym, że czasem musi być też jego terapeutą – czy raczej powiernikiem, a nawet spowiednikiem. Choć niekoniecznie redaguję czyjeś prywatne memuary, zdarza się, że zmęczony życiem autor to mnie wybiera na tego, z którym chce podzielić się wątpliwościami natury egzystencjalnej. Obcy, Inny staje się na moment bliski, pojawia się jak sylwetka na horyzoncie.

Głęboka wiedza jest najlepszym środkiem nasennym

Gdy byłem nastolatkiem, przez kilka lat korespondowałem z Japonką w moim wieku, której adres jakimś cudem zawędrował do harcerskiego czasopisma, które prenumerowałem. Do dziś mam własnoręcznie przez nią wykonaną ozdobną kartkę urodzinową z kaligraficznym zapisem jej nazwiska za pomocą katakany (jednego z dwóch japońskich pism sylabicznych). W korespondencji z nią uderzała mnie przede wszystkim niezwykła wrażliwość na piękno przyrody i jej szczegóły – dźwięki, zapachy – tam ponoć częstsza niż u nas. Potrafiła pisać tak plastycznie, że czułem, jakbym siedział z nią na macie tatami na tarasie domu jej rodziców w Jokohamie, słuchał cykad i patrzył, jak światło układa się na jej grubym, czarnym warkoczu.

Wysłałem autorowi z Kioto sprawdzony artykuł. U mnie jest 16.00, u autora 23.00. Po godzinie przychodzi odpowiedź:

Everything is OK. Thank you so much, Mr. Editor. One problem less. I can go to bed now. A long day closes.

How is it now in Kyoto?

Peaceful. The street is empty, I can hear the cicadas and it's a little foggy.

Gdzieś w Kioto zmęczony japoński lekarz zamyka laptop i kładzie się spać. Gdzieś we Wrocławiu zmęczony polski redaktor zamyka laptop i idzie na spacer z córką.

Po tamtej stronie korekty

Ciemno, prawie noc. W moim kąciку pracy twórczej przy laptopie pali się mała lampka (dobrze że nie świeczka). Za oknem oświetlony latarniami asfalt – asfalt jest jasnoszary, a zatem suchy. Może wyjdę jeszcze pobiegać, jak skończę. Zupełnie pusto, nic nie jedzie, nikt nie przechodzi. Tylko wiatr szarpie gałęziami sosny w ogródku naprzeciwko. Jakbym był w bańce światła i ciepła, gdzie czas nie płynie. Albo to u mnie płynie, a na zewnątrz nie. Szwedzki mistyk Emmanuel Swedenborg twierdził, że spotykał ludzi, którzy nie wiedzieli, że nie żyją. Po prostu czas przestawał dla nich płynąć, a rzeczywistość wokół stopniowo, niezauważalnie traciła kontury. Może dlatego na ulicy nie ma nikogo?

Wysłałem e-mail do autora z Równego (publikuje po angielsku). Po kilku minutach przychodzi odpowiedź:

– Вы живы?!!! [To Pan żyje?] (autor preferuje rosyjski)

Aż sprawdziłem sam sobie puls. Serce bije. Napisałem do kogoś na Facebooku. Odpisał. Chyba żyję.

– Да, я живу. Что там происходит? [Tak, żyję. Co tam się dzieje?]

W 2013 roku zmarł red. Marek Misiak, ceniony dziennikarz ekonomiczny (urodził się w 1933 roku, równo pięćdziesiąt lat wcześniej niż ja). Cyrylicki kolega znalazł przypadkiem w sieci jego nekrolog, nie popatrzył na datę śmierci i pomyślał, że to ja, a e-mail z życzeniami świątecznymi wziął za automatycznie rozsyłany newsletter, zaplanowany z dużym wyprzedzeniem. Podczas dalszej wymiany korespondencji zeznał, że zapalił nawet za mnie świecę w Soborze Zmartwychwstania Pańskiego w Równem.

Nigdy osobiście mnie nie spotkał, a zadał sobie ten trud (nie jest wierzący i w cerkwi ostatnio był kilka lat temu z podobnego powodu). Poczułem się duchowo zaopiekowany.

Litery, które wstrząsnęły światem

Jedna litera potrafi wywołać dłuższy spór, zahaczający o problematykę historyczną, etniczną, językową i wręcz ideową. Jakis czas temu redagowałem anglojęzyczny tekst, w którym kilka razy pojawiała się nazwa drugiego co do wielkości miasta na Ukrainie. Po polsku jego nazwa to Charków; wersja ukraińska i rosyjska się różnią – po ukraińsku to Харків (wym. Char-kiw), a po rosyjsku Харьков (wym. Char'kow – apostrof oznacza miękki znak). Różnica ta oddawana jest także w angielskiej transkrypcji: odpowiednio Kharkiv i Kharkov. Oficjalna nazwa jest jednakże tylko jedna, ta ukraińska. Znajduje to odzwierciedlenie w nazwach różnych instytucji – lotniska, opery itp. – które po angielsku zawierają nazwę miasta zawsze w ukraińskiej wersji. Podobna sytuacja dotyczy zresztą kilku innych miast na Ukrainie. Najlepszy przykład to Iwano-Frankiwnsk (ukr. Івано-Франківськ), który po rosyjsku nazywa się Iwano-Frankowsk (Ивано-Франковск). Na tej samej zasadzie Lwów to po ukraińsku Львів (ang. Lviv), a po rosyjsku Львов (ang. Lvov). Różnica między Charkowem a Iwano-Frankiwnskiem po polsku polega na tym, że polska nazwa Charkowa brzmiała i brzmi tak samo, natomiast używanie w oficjalnych tekstach formy Iwano-Frankowsk w odniesieniu do współcześnie istniejącego miasta od 2010 roku nie jest już poprawne. Jeśli tekst dotyczy wcześniejszego okresu, dobrze byłoby wskazać, że obecnie miasto nosi tylko jedną oficjalną nazwę. Do 1939 roku miasto nosiło zresztą polską nazwę Stanisławów, a od 1939 do 1962 Stanisław (ukr. Станіслав, ros. Станислав).

Recenzentem tekstu był rosyjski naukowiec z Petersburga, który z uporem poprawiał Kharkiv na Kharkov. Ukraiński autor, mieszkaniec Charkowa – żeby było śmieszniej rosyjskojęzyczny – zmieniał z powrotem na Kharkiv. Usiłowałem tłumaczyć członkowi rzeczywistemu Akademii Nauk Federacji Rosyjskiej, że nazwa, którą pamięta z młodości, już nie jest aktualna, ale siła pamięci siedemdziesięcioletniego akademika była przemożna. Przewiżywał pomidory w ogródku na dachu i odsyłał wciąż tę samą poprawkę. W końcu poddałem się i poprosiłem o pomoc znajomą Rosjankę, która biegle włada także ukraińskim. Udało jej się przekonać Płatona Kiriłowicza, żeby ustąpił. Wieczorem przyszedł e-mail – po polsku. Za zgodą Płatona Kiriłowicza zachowuję oryginalną pisownię.

– Marku Pawłowiczu, wybaczone mi, staremu człowiekowi. Upór u młodych to męstwo, śmiałość, ale u starych – prosto upór. Sprawdziłem na Wikipedii – aż tak stary nie jestem. Prawda – Kharkiv.

W kosmosie nikt nie usłyszy twego śpiewu

Ponieważ od pewnego czasu redaguję teksty o tematyce astronomicznej, musiałem nawiązać kontakt z kimś, kto będzie w stanie od czasu do czasu pomóc mi w zrozumieniu zawłości anglojęzycznych źródeł. Moją konsultantką jest młoda badaczka zatrudniona w jednym z obserwatoriów w Kalifornii. Któregoś dnia wysyłałem jej pytanie na komunikatorze (u mnie jest dziesiąta rano, u niej pierwsza w nocy). Liczyłem na odpowiedź, gdy u mnie będzie już wieczór, tymczasem przyszła praktycznie od razu. A zaraz potem:

– Marcus... I can't sleep.

– Bad dreams?

– No, just plain sleeplessness. I'm sitting with my tablet in the desert and looking at the sky. It's very quiet, peaceful.

– Is the wind cold?

– No, just a little cool, pleasant.

[chwila przerwy]

– You know, sometimes I feel very lonely.

– Read this poem aloud.

„The woods are lovely, dark and deep,

But I have promises to keep,

And miles to go before I sleep,

And miles to go before I sleep” (to ostatnia zwrotka *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór* Roberta Frosta).

[dłuższa przerwa]

– I did that. It was like the sky was talking back.

Uchyliłem okno. U mnie też lekki chłodny wiatr, ale chyba nie ten sam. Dziesięć tysięcy kilometrów stąd satelity szpiegowskie widzą na kalifornijskiej pustyni mały punkcik. Melancholijna Amerykanka patrzy w niebo.

Peron 9 i 3/4

Czasem mam wrażenie, że kimś bardziej obcym niż autorzy z egzotycznych krajów jestem dla siebie ja sam z dzieciństwa i młodości. Redaguję głównie teksty naukowe i choć sam nigdy nie pracowałem naukowo, w ramach pracy wracam w miejsca, które kształtowały moją wyobraźnię, gdy byłem dzieckiem.

Zawsze miałem wrażenie, że Politechnika Wrocławska to państwo w państwie, struktura tak skomplikowana, że w jej obrębie mogą funkcjonować swego rodzaju „kieszonki” w rzeczywistości: laboratoria/pracownie, o których wszyscy już zapomnieli i gdzie prowadzi się eksperymenty przeczące prawom fizyki; portiernie, które niczego już nie strzegą, ale wciąż zmieniają się portierzy; pomieszczenia, w których buczą maszyny niewiadomego przeznaczenia. Jakis czas temu umówiłem się z autorem w jednym ze starszych budynków PWr. Krążyłem po długich, szarych korytarzach; rzędy drzwi z nic mi niemówiącymi oznaczeniami, a pomiędzy nimi metalowe szafy pozamykane na kłódki – zapewne śpi tam nocna zmiana, którą portier wypuszcza, gdy zajdzie słońce. Kojarzyło mi się to z dzieciństwem, gdy z tatą odwiedzałem różne budynki tej właśnie uczelni i wyobrażałem sobie, że on i jego koledzy dawno już wyprzedzili Amerykanów i prowadzą tu eksperymenty ze światłami równoległymi i podróżami w czasie oraz rozmawiają z Przybyszami. W końcu w jednym z pomieszczeń znalazłem samotnego badacza pochylonego nad stacjonarnym komputerem na oko tak starym, że niegdyś biała obudowa kineskopowego monitora poszarzała od wrośniętego brudu. Ekran jarzył się bursztynowo tabelkami BIOS-a, nie widziałem takiego, odkąd byłem dzieckiem.

– Nie wie pan może, gdzie znajdę doktora X?

– Z której pan jest strefy? – odparł, nie odrywając wzroku od ekranu.

– W jakim sensie „strefy”?

– Czasowej. Tu jest rok 1988, XXI wiek zaczyna się piętro wyżej.

– Rozumiem... A rok 2021?

– Nie wiem, nigdy tam nie byłem.

Gdy wyszedłem z powrotem na korytarz, zdjął mnie lęk. A gdybym przekroczył próg tego pomieszczenia i utknął w 1988 roku? I spotkał samego siebie jako pięcioletniego brzdąca, którego tata zabierał ze sobą do pracy? W ścianie zobaczyłem drzwi, pchnąłem je i wyszedłem na zasypany liśćmi wewnętrzny parking. Sprawiał wrażenie nieużywanego od lat. A jeśli faktycznie to jest inny czas albo jakaś Międzystrefa, jak z *Nagiego lunchu* Williama S. Burroughsa? Po chwili jednak zobaczyłem samochód, stojący wprawdzie na czterech kopcach, ale stanowczo za nowy jak na lata 80. czy 90. Nie jest źle, nawet jeśli przeskoczyłem gdzieś w czasie, to co najwyżej o rok, dwa do przodu lub do tyłu. Jakoś sobie poradzę.

Doświadczenie religijne między emocją a kognicją

Można powiedzieć, że doświadczenie, w tym doświadczenie religijne, jest jak fakty lub zebrane dane. Wbrew temu, co czasem się twierdzi, one same w sobie nic nie mówią, dopiero ich interpretacja, analiza oparta na jakiejś teorii pozwala im „przemówić” i coś uzasadnić.

Współczesność nie jest czasem powszechnego odchodzenia od wiary religijnej. Zmieniają się natomiast dość znacznie jej formy. Podczas gdy wielkie kościoły chrześcijańskie walcą z głębokim kryzysem, do którego same w pewnej, a czasem nawet w dużej mierze się przyczyniły, religijność i duchowość – rozumiana jako lżejsza forma tej pierwszej – mają się dobrze i pojawiają się w coraz to nowszych odmianach, a nawet wariantach. Wszystkie one jednak nie mogą istnieć bez jednego elementu: doświadczenia religijnego. A można nawet powiedzieć, że jako wyraźny rys zorientowania na to, co przeżyciowe i wewnętrzne we współczesnych formach religijności, stoi ono w ich centrum. Książka, wokół której tematyki krąży niniejszy tekst, zajmuje się koncepcją doświadczenia religijnego, której autorami są klasycy teorii religii, ważni autorzy tego zagadnienia lub też osoby, które wprowadziły tu twórczy ferment intelektualny.

Emocjonalne przeżycie a doświadczenie poznawcze

Chcąc na wstępie choćby dotknąć kwestii terminu „doświadczenia religijnego”, warto wspomnieć o akcencie kładzionym tu w języku polskim na perspektywie pierwszoosobowej. O doświadczeniu można mówić w przypadku świadka, nie zaś obserwatora czy widza. Ono ubogaca człowieka, pozostawiając po sobie rodzaj nauki, czegoś, co zaowocuje nowym spojrzeniem na świat lub zmianą w życiu, a może nawet przemianą samego życia. Dużo uboższe znaczeniowo pojęcie stanowi „przeżycie”, które charakteryzuje się zasadniczo tym, że... coś się przeżyło, a udziałem człowieka stały się przy tym silniejsze lub słabsze emocje – to one, tak przecież ważne, a nawet pożądane, i ich stopniowalność, stoją w jego centrum. Po jakimś przeżyciu nie można z reguły mówić o pewnym pozostawionym przez nie „śladzie”, bo po przeżyciu następuje... kolejne przeżycie.

W ujęciach religii doświadczenie religijne występuje jako jeden z jej elementów obok nauk religijnych, czynności rytualnych czy konsekwencji w życiu codziennym. Prekursorem spojrzenia na religię nie jako na całość, ale wyróżnienie w niej kilku elementów, osobne analizowanie ich natury, ale i pozy-

cji każdego z nich w stosunku do innego, nie zapominając, iż stanowią one części pewnej całości, był Friedrich D.E. Schleiermacher (1768–1834), a uwagę poświęcił temu przede wszystkim w *Mowach o religii* (1799). Również w innych analizach doświadczenie religijne pojawia się często na skrzyżowaniu emocji i kognicji, czynników świadomych i nieświadomych, pasywności w relacji do bóstwa i możliwości kształtowania tego doświadczenia, prywatności i wspólnotowości czy wreszcie oryginalności i ortodoksji. Być może więc i w ramach tego eseju pomocne będzie przyjrzenie mu się w perspektywie napięcia między tymi parami elementów.

Wyróżniające emocje i drugorzędne kognicje?

Podstawowym i najważniejszym, jak się wydaje, ujęciem doświadczenia religijnego jest rozpatrywanie go jako zjawiska sytuującego się między emocjami i kognicjami (treściami poznawczymi). Bez emocji nie można mówić o religijności człowieka, bo m.in. dopiero one czynią na przykład z formuły dogmatu doświadczenie tajemnicy Boga, a z wiedzy objawionej – treść przeżywaną przez wierzącego i dlatego bardziej znaczącą. Różne, bo zależne od typu emocjonalności konkretnego wierzącego, ale i od sytuacji, w jakiej się znajduje, bywają emocje w obrębie religii: subtelne, jak wdzięczność bóstwu za okazaną łaskawość, i gwałtowne, choćby dramatyczna skarga do Boga o tolerowaną przez niego nieprawość, często obserwowaną w świecie; emocje pielęgnowane, jak choćby wielbienie Boga w pieśniach podczas cotygodniowego nabożeństwa, jak i te pojawiające się spontanicznie, jak chwila zachwyty w spojrzeniu na rozgwieżdżone niebo – dzieło potężnego Stwórcy.

Zwłaszcza wielość i różnorodność emocji sprawia, że właściwie powinno się mówić o wielości i różnorodności doświadczeń religijnych, a występowanie tego pojęcia w analizach w liczbie pojedynczej jest zabiegiem mającym na celu zaakcentowanie (szukanie) jego istoty. Podstawą wielu odmian doświadczenia religijnego są m.in. emocje z tej racji, że składają się na to, co w człowieku osobiste, intymne czy wręcz osobliwe. Każdy wierzący nadaje swoim przeżyciom i doświadczeniom religijnym osobisty charakter, a nawet koloryt. I tak, jeden będzie

preferować w swojej pobożności pewien określony rodzaj tekstów biblijnych, choćby psalmy uwielbienia, inny natomiast sięgać będzie raczej po treści podkreślające słabość i kruchość (grzeszność) człowieka, podczas gdy jeszcze inny ponad te przedkładać będzie prostą i ubogą w konkretne treści modlitwę kontemplacyjną. W tym sensie istnieje tyle odmian doświadczenia religijnego, ilu jest ludzi wierzących.

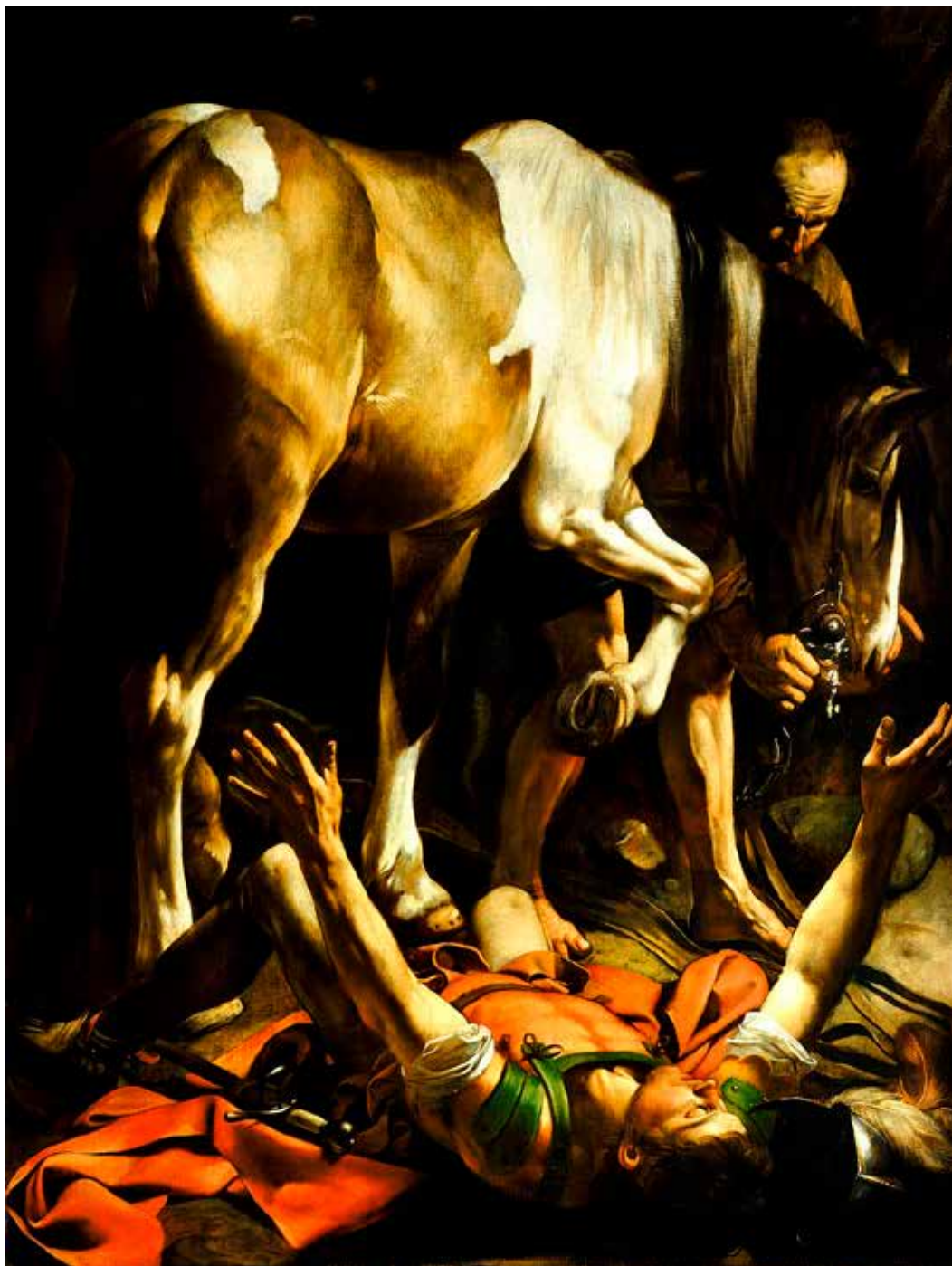
W sferze intensywnie przeżywanych emocji wielu badaczy, a wśród nich choćby William James (1842–1910), Rudolf Otto (1869–1937) czy Carl Gustav Jung (1875–1961), widziało element wyróżniający doświadczenia religijne. Ta szczególna cecha, zwana też specyfiką, pozwala odróżnić je na przykład od doświadczeń erotycznych, w obrębie których niemało respondentów mówi o aspektach religijnych, estetycznych czy też przeżyć w otoczeniu przyrody. Wspomniani autorzy utrzymują, że w religii właściwymi są emocje intensywne i to do tego stopnia, że człowiek nie jest już tu podmiotem, ale wręcz przedmiotem gry boskich sił. Potęga tych emocji świadczy o potędze bóstwa. Emocje o słabszym natężeniu i religijność o takiej „temperaturze” są przez nich traktowane jako namiastka religii, a konkretnie jako rodzaj opowiadania o niej, zamiast przeżywania jej głębi. W związku z tym Rudolf Otto postuluje nawet istnienie emocji specyficznie religijnych, czyli takich, które nie występują w relacjach międzyludzkich, lecz pojawiają się jedynie w fenomenach religijnych. Ich wyróżnikiem byłoby, jego zdaniem, osobliwa reakcja ciała, jak choćby towarzysząca przeżyciom grozy gęsia skórka.

Ten trudny do przeoczenia apologetyczny zabieg, polegający na chęci wykazania odrębności religii poprzez wskazanie na takie jej cechy, które nie występują w innych fenomenach, musi być skazany na porażkę. Dzieje się tak dlatego, że wiele bardzo intensywnie doświadczanych przez człowieka emocji pojawia się także w innych rodzajach doznań, nie tylko religijnych. Innymi słowy intensywność emocji w obrębie przeżyć religijnych nie przesądza o ich specyfice, ale świadczy jedynie o tym, że religia ma w sobie niezwykłą siłę przyciągania i w jej ramach u niektórych wierzących potrafi wywołać tak silne poruszenia. W tym miejscu należy dodać, że może tu chodzić o intensywne przeżycia emocjonalne zarówno pozytywne, przynoszące człowiekowi religijnemu poczucie szczęścia, jak i negatywne, mogące popychać go do odruchów niechęci w stosunku do obcych lub wierzących inaczej. Jeśli więc emocje, nawet te najbardziej intensywne, nie stanowią wyróżnika religii spośród innych zjawisk, a tym samym nie przesądzają o odmiennos-

ści doświadczenia religijnego w porównaniu z innymi fenomenami międzyludzkimi, to w czym należy upatrywać tej zasadniczej różnicy?

Religia w głowie?

Specyfika doświadczenia religijnego leży w kognicjach. Do wymiaru poznawczego można zaliczyć kilka elementów religii, a wśród nich nauki, prawdy wiary, dogmaty, ale i konkretną tradycję, rozumianą jako kryterium oddzielania spraw ważnych od drugorzędnych, elementów cenionych i pielęgnowanych w jednej religii i wyznaniu, a pomijanych w innym. Pierwszym argumentem przemawiającym za szczególnym znaczeniem przypisywanym poznaniu w doświadczeniu religijnym, ale i w religii jako takiej, jest fakt, że wszystkie inne ich elementy,



Caravaggio, *Nawrócenie Szawła w drodze do Damaszku*, olej na płótnie, 1600–1601

oprócz kognicji religijnych, jak wspomniane już emocje, zachowania, np. gesty, reakcje ciała czy też wielka siła przyciągania, występują też w zjawiskach pozareligijnych. To właśnie treści poznawcze, przykładowo w formie zwrócenia myśli ku Bogu na początku modlitwy lub czytania świętych tekstów opowiadających o wielkich czynach proroka podczas nabożeństwa, czy też nakaz miłości bliźniego wpływający nie tylko na stosunek do innowierców, ale kształtujący także moralność chrześcijan, pozwalają na odróżnienie doświadczenia religijnego od przeżycia estetycznego lub sportowego. Dlatego właśnie przywoływane czasem podobieństwo między pełnymi entuzjazmu, a dzięki poczuciu wspólnoty także intensywniejszej radości, nabożeństwami z wielką liczbą uczestników a wypełnionymi po brzegi stadionami piłkarskimi z żywiołowo reagującymi widzami jest podobieństwem tylko na pierwszy rzut oka. Nawet najzagorzalsi kibice, dający się ponieść zbiorowej euforii po strzeleniu w ostatnich minutach meczu zwycięskiej bramki, czy też składający dłonie w błagalnym geście przed wykonaniem przez drużynę przeciwną, oczywiście niesłusznie podkrotowanego, rzutu karnego potrafią dość precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie o to, czy są na nabożeństwie, czy też na meczu piłkarskim. Dodatkowo wielu kibiców to ludzie wierzący, którzy nie myślą niedzielnej eucharystii z niedzielnym meczem ligowym ukochanej drużyny.

Mówiąc o głównej roli czynników poznawczych w doświadczeniu religijnym, należy zaakcentować, iż ich znaczenie formalne nie przesądza o takiej ich pozycji w konkretnej religii czy wyznaniu. Mamy bowiem do czynienia z religiami, kościołami czy też grupami wyznaniowymi, w obrębie których w bardzo różny sposób rozumie się i praktykuje to, co wiąże się z ratio. A chodzi tu przykładowo o możliwość oraz związane z tym intelektualne wysiłki stanowiące próbę pogodzenia wiary z obrazem świata, jaki szkicuje współczesna nauka (brak logicznej sprzeczności), czego skutkiem nie będzie towarzyszące odczucie życia w dwóch światach: w świecie wiary i świecie nauki. Innym wyrazem obecności kognicji w ramach religii będzie możliwość refleksji i opartej na naukowych zasadach dyskusji treści dogmatów, prawd wiary czy uzasadnienia praktyk religijnych, możliwości zadawania często kłopotliwych pytań czy nawet krytyki pewnych treści wiary lub sposobów ich rozumienia i ujmowania. W niezbyt liczne, przykładowo w chrześcijaństwie, dogmaty można bowiem wierzyć nie tylko dogmatycznie, ale i krytycznie. Między innymi takie elementy poznawcze stanowią ramy, w których to powstaje doświadczenie religijne. Z tej też przyczyny na przykład protestanci nie są świadkami wizji czy objawień maryjnych – znaczenie Maryi nie bywa przesadnie akcentowane w obrębie ich artykułów wiary.

Język interpretacji

Do elementów kognitywnych należy też zaliczyć kwestie konkretnego (rodzaju) języka, w którym to dopiero można wyrazić doświadczenie religijne. Taki religijny język musi być nie tylko językiem dostępnym, to znaczy zawierającym pojęcia, określenia czy też obrazy, poprzez które osoba jest w stanie opisać swój świat wewnętrzny, ale i językiem poręcznym – takim, który pozwala wyrazić to, co jej szczególnie bliskie, ulubione, a nawet intymne (osobiste). Choć specyfika sztuki sakralnej i religijnej nie oznacza koniecznej obecności w niej symboli czy znaków wyrażnie religijnych, lecz odnoszenie do transcendencji i otwieranie na nią, to jednak religijny język jest z reguły związany z byciem człowiekiem religijnym lub wrażliwym duchowo albo też pochodzi wprost z socjalizacji religijnej.

Konieczność obecności elementów kognitywnych, zwłaszcza języka religijnego, w obrębie doświadczeń o takim charakterze, jest jednym z argumentów przeczących istnieniu postu-

lowanego czasem nagłego nawrócenia. Wydarzenie to bowiem musi zostać wyrażone w adekwatnym języku już choćby dlatego, by nie zostało określone mianem intensywnego przeżycia podobnego do wielu innych, wprawdzie rzadszych, ale jednak charakterystycznych dla życia codziennego. Sztandarowym przykładem zaprzeczającym istnieniu nagłego nawrócenia jest to, co spotyka Szawła pod Damaszkim. Apostołem Pawłem (ok. 5/10 – ok. 64/67) nie staje się on zniemacka, przeobrażając się w jednej chwili z człowieka niewierzącego w gorliwego wyznawcę Chrystusa, ale w swoim głęboko religijnym nastawieniu, jako faryzeusz, doznaje dramatycznego zwrotu, otwierając się na tego, którego wyznawców dotychczas zwalczał, musząc znać przy tym przecież wcześniej jego naukę.

Mówiąc o kognicjach jako wyróżniku doświadczeń religijnych należy też zaakcentować, iż doświadczenie tego typu musi zostać zinterpretowane jako religijne. Nie istnieją bowiem doświadczenia czyste, wolne od kontekstu, nastawienia, a wreszcie rzekomo wyrażane w języku neutralnym, pozbawionym treści naznaczonych zarówno myśleniem, jak i dotychczasowym przeżywaniem osoby, która się nim posługuje. Można powiedzieć, że doświadczenie, w tym doświadczenie religijne, jest jak fakty lub zebrane dane. Wbrew temu, co czasem się twierdzi, one same w sobie nic nie mówią, dopiero ich interpretacja, analiza oparta na jakiejś teorii pozwala im „przemówić” i coś uzasadnić. Zinterpretowanie doświadczenia jako religijnego, czyli przypisanie mu religijnego znaczenia i wydobycie z niego elementów świata religii, nie może się odbyć bez kognicji, a konkretnie wiedzy religijnej czy też „ciepłych”, emocjonalnie znaczących treści poznawczych, choćby takiej, że istnieje jeden Bóg, który to jest dla mnie miłosiernym ojcem.

Ta warstwa refleksji nad doświadczeniem odsłania też inną znaczącą prawdę, przeczącą obiegowemu przekonaniu, iż jakieś doświadczenie może stanowić ważny argument w dyskusji. Założenie to jest błędne z tego powodu, iż jednemu doświadczeniu zawsze można przeciwstawić inne kontrdoświadczenie. W tym sensie z doświadczeniami nie można prowadzić dyskusji albo używać ich w dyskusji jako uzasadniania jakiegoś stanowiska. Ta bowiem odbywa się na poziomie teorii. Przykładem tego jest wielka liczba przytaczanych opisów przypadków w klasycznym dziele Williama Jamesa *Doświadczenia religijne* (1902) podanych tam rzekomo bez komentarza. Ale już sama ich sekwencja w ramach tekstu jest rodzajem (subtelnej?) interpretacji.

Między aktywnością a pasywnością

Doświadczenie religijne pojawia się, a następnie istnieje też między innymi parami wspomnianych przeciwnych elementów, choćby świadomością i nieświadomością. Odnosząc się zwłaszcza do tez Carla Gustava Junga, należy przyznać, że pewnym formom przeżyć religijnych, a i religijności jako takiej, mogą towarzyszyć warstwy nieświadome. Wtedy to przykładowo (nieświadomie) szuka się w religii ochrony wszechmocnego ojca, uciekając przy tym od konfrontacji zarówno z własną psychiką, jak i trudnościami życia codziennego, czy też oczekując od sakramentów lub rytuałów uleczenia cierpiącej duszy na wzór działania zażytego lekarstwa z apteki. Możliwość obecności w konkretnych formach religijności elementów nieświadomych lub magicznych nie przesądza o tym, iż religia jako taka, a w jej obrębie doświadczenie religijne, ma nieświadomą lub magiczną naturę. Posługując się tym założeniem, nie można wyjaśnić wielu doświadczeń religijnych i form religijności, choćby i świadomego porzucania wiary lub też bycia intelektualnie pociągającym przez religię, a pozostawiania człowiekiem niewierzącym ze względu na brak poruszenia emocjonalnego.

Łącząc się z różnymi rodzajami treści poznawczych, doświadczenie religijne jest zjawiskiem świadomym, a często także kształtowanym przez wierzącego. Oznacza to, że choć w wielu swoich treściach dotyczy ono „spraw nieba”, z nieba nie spada. Pojawia się w obrębie religijności człowieka, który w swoim nastawieniu jest na nie otwarty, gdyż trudno sobie wyobrazić doświadczenia religijne, które wierzącemu umknęły lub zostały omyłkowo zakwalifikowane do grupy przeżyć świeckich. Nadawanie mu kształtu odbywa się często poprzez przygotowanie w formie regularnej medytacji, podejmowanego postu czy innych praktyk lub ćwiczeń duchowych. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że miarą (głębi) doświadczenia religijnego jest otwarcie się na nie człowieka wierzącego. Na ważne doświadczenia religijne się czeka.

Mankamentem wielu studiów doświadczenia religijnego, w tym autorstwa takich klasyków, jak William James czy Rudolf Otto, jest analizowanie go, jak gdyby dopiero się pojawiło, nagle nawiedzając „Bogu ducha winnego” człowieka, a jego religijność lub wiara, w ramach której zaistniało i zostało uznane za religijne, nie miała przy tym swojej historii, jakichś etapów, religijnej socjalizacji i wyrazu w konkretnych praktykach.

Oryginalność i ortodoksja?

Inną ważną kwestią w obrębie doświadczeń religijnych jest ich oryginalność odnoszona do granicy, jaką w każdej religii czy wyznaniu stanowi, różnie – choćby wąsko, szeroko, sztywno, inspiracyjnie – rozumiana i stosowana ortodoksja. Uznając potrzebę jakiejś, a nawet jakiegokolwiek, jej obecności można wskazać na konieczność odróżnienia jednej religii od drugiej, uznając, iż jakiś pogląd nie jest (już) muzułmański, protestancki czy też charakterystyczny dla chrześcijaństwa zielonoświątkowego. W odniesieniu do doświadczeń religijnych chodzi o takie jego formy, które są na tyle oryginalne, jednostronne lub osobliwe, iż wykraczają poza granicę nauk i praktyk danej grupy religijnej i stąd pojawiające się napięcia między ich odmiennością a wiernością doktrynie.

W tym kontekście warto może poruszyć kwestię relacji między tymi doświadczeniami religijnymi, które zostały uznane za pierwotne dla jakiejś religii czy wyznania i zostały spisane, otrzymane następnie status świętych pism, a doświadczeniami nowymi, współczesnymi, których świadkami są wyznawcy tej religii dzisiaj. Schleiermacher, jako protestant, stawia tu rewolucyjną tezę, zgodnie z którą trzymanie się kurczowo świętych pism podobne jest do nawiedzania mauzoleum – miejsca świadczącego o tym, iż dana religia kiedyś była żywa i zdolna poruszać serca, dziś jednak uszedł z niej wszelki duch. Pragnie on przez to powiedzieć, że nieprawdą jest, jakoby te pierwsze „założycielskie” doświadczenia religijne były żywe i realne – te współczesne natomiast stanowią jedynie ich namiastkę lub blade i sentymentalne ich wspomnienie. Także w tych dzisiejszych bije prawdziwe i ożywcze źródło, biorące początek w tych samych boskich siłach. Wtórą mu tu Carl Gustav Jung, który w niezwykle oryginalny sposób łączy dogmaty, sakramenty czy rytuały, zwłaszcza w Kościele katolickim, z obecnością w nich także dzisiaj boskiego działania, tego samego, które w początkach chrześcijaństwa przynosiło tak wspaniałe owoce. Innymi słowy poprzez uczestnictwo w sakramentach, ale także dzięki ich medytowaniu, wierzący ma dostęp do pierwotnych, oryginalnych doświadczeń religijnych. Mimo upływu paru tysięcy lat obecne w nich jest żywe doświadczenie religijne, w którym może on mieć udział.

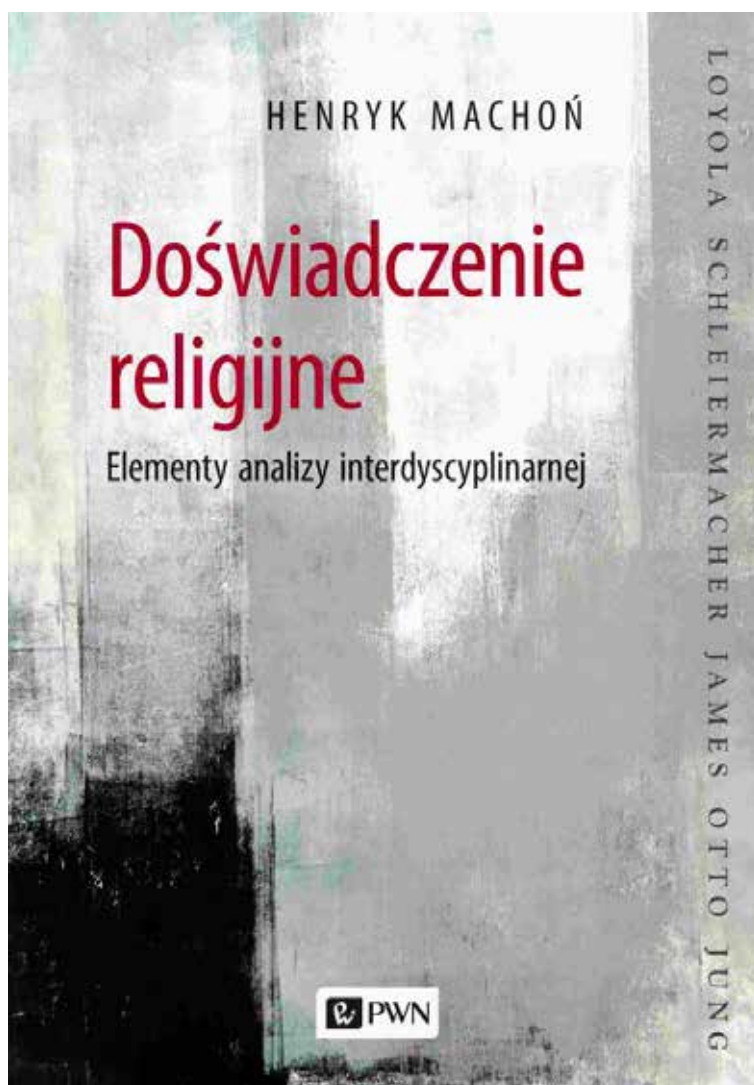
W obrębie Kościoła katolickiego istnieje świadectwo doświadczeń religijnych pojawiających się w ramach określonej metody, którą stanowią ćwiczenia duchowe Ignacego

z Loyoli (1491–1556). Na ich kanwie pojawia się m.in. pytanie o autentyczne doświadczenia religijne w przeciwieństwie od rzekomych, czyli takich, które okazały się zwykłymi przeżyciami religijnymi. Nie tylko autor tekstu Ćwiczeń duchowych wskazuje w tym kontekście na owoce przesadzające o prawdziwość doświadczeń religijnych. Najważniejszym i jedynym celem owocnych ćwiczeń duchowych jest poznanie (smakowanie) Boga w jego istocie, ono bowiem jest doświadczeniem religijnym jako takim. I dlatego ono dopiero staje się podstawą, ale i koniecznym warunkiem podjęcia decyzji o służbie Bogu w Kościele, która to służba stanowi tu nie tylko kryterium dla prawdziwego doświadczenia religijnego, ale i jego kontynuację.

Ostatnie akapity niniejszego tekstu pokazują, iż analiza doświadczenia religijnego możliwa jest również w oparciu o jeszcze jedno napięcie – to między doświadczeniami, z których jakaś religia wyrosła, a tymi, dzięki którym także dziś może być żywotna i owocna, a szerzej: między wielością doświadczeń religijnych a ich istotą.

Tekst stanowi popularne streszczenie tez książki Henryka Machońa *Doświadczenie religijne. Elementy analizy interdyscyplinarnej*, PWN, Warszawa 2021.

Dr hab. Henryk Machoń, profesor Politechniki Opolskiej, autor m.in. książki *Das Christentum bei C. G. Jung. Philosophische Grundlagen, psychologische Prämissen und Konsequenzen für die therapeutische Praxis* (Stuttgart 2015) i przekładu z niemieckiego książki B. Grom, *Psychologia religii. Ujęcie systematyczne* (Warszawa 2019).



Krajobraz po katastrofie

Kilkanaście tysięcy lat temu przez Suwalszczyznę przeszła jedna z największych powodzi w historii Ziemi – twierdzą geografowie z UMK. Ich badania mają kolosalne znaczenie dla naukowców interesujących się zmianami klimatu u schyłku ostatniego zlodowacenia.

Rzeczony rozwój nowoczesnej technologii obrazowania powierzchni ziemi spowodował znaczącą zmianę jakościową w badaniach geomorfologicznych oraz badaniach genezy krajobrazu, nie tylko polodowcowego. Przełomem okazał się LIDAR (od angielskiego Light Detection and Ranging), czyli metoda skaningu laserowego, która umożliwia tworzenie numerycznych modeli terenu (NMT) o wysokiej rozdzielczości. Kiedy dane LIDAR zostały udostępnione publicznie w Geoportalu, naukowcy z różnych uczelni w Polsce rozpoczęli poszukiwania interesujących form rzeźby terenu.

Prof. Wojciech Wysota i dr hab. Piotr Weckwerth, prof. UMK, z Wydziału Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMK w Toruniu, niezależnie od siebie analizowali różne formy krajobrazu widoczne na NMT, a ich uwagę przykuły te występujące na południe od Wigier. W pewnym momencie wymienili się spostrzeżeniami na temat tego regionu, w którym udało im się zidentyfikować formy typowe dla wielkich przepływów wód. Już pobieżny ogląd oraz pierwsze analizy ich kształtu, np.

wysokości i stopnia asymetrii ich zboczy, pozwoliły na dostrzeżenie wyraźnych podobieństw do form opisywanych w literaturze, powstałych w efekcie megapowodzi lodowcowych w Stanach Zjednoczonych lub w górach Ałtaj.

– Postawiliśmy hipotezę badawczą, że są to formy związane z megapowodzią – mówi prof. Wysota. – Potem należało pojechać i to sprawdzić.

Z nieba w podziemia

Badania terenowe ruszyły w 2015 roku. Naukowcy wytypowali miejsca, które wydawały im się najbardziej reprezentatywne dla rozpoznania powodzi lodowcowych. Były to przede wszystkim megadiuny (megariplemarki) położone na południe od Jeziora Wigry. To gigantyczne, nawet 8-metrowe „zmarszczki” terenu bardzo charakterystyczne dla warunków panujących na dnie rzeki o gigantycznym przepływie i głębokości sięgającej kilkudziesięciu metrów. Korzystając z gościnności Wigierskiego Parku Narodowego oraz we współ-



▲ Od lewej: Arkadiusz Krawiec, Wojciech Wysota, Edyta Kalińska, Piotr Weckwerth, Marek Chabowski, Dhiraj Kumar.

pracy z Nadleśnictwem Suwałki we wrześniu 2015 roku zespół badaczy podjął pierwsze eksploracje terenu na południowy wschód od Wigier. Tam wykonane zostały pierwsze ręczne sondy geologiczne w megariplemarkach, które potwierdziły wstępne przypuszczenia.

– Okazało się, że formy te są zbudowane z piasków i żwirów – tłumaczy prof. Weckwerth. – Wiemy na pewno, że nie ma tam gliny lodowcowej, co sugerowały wcześniejsze opracowania. Mając już wstępne rozpoznanie, zaczęliśmy poszukiwania kolejnych form, które stanowiłyby kontynuację wielkiego systemu form megapowodzi lodowcowej, tworzących swoisty układ przestrzenny i łączących się ze sobą genetycznie, przede wszystkim w kontekście wielkiego przepływu wód roztopowych.

Początkowy etap prac związany był z analizą geomorfologiczną wykonaną na bazie NMT. Mając jej wyniki, naukowcy wytypowali obiekty do dalszych badań prowadzonych w terenie. Związane są one z opracowaniem profili utworów geologicznych widocznych w odsłonięciach (wkopach), co jest niezbędne, by stwierdzić, jaka jest budowa wewnętrzna i struktura osadów budujących wybrane formy.

– To, co występuje w profilu, możemy stwierdzić na podstawie sondy ręcznej lub mechanicznej, ale wtedy nie widzimy, jaki jest układ przestrzenny warstw, jakie są kontakty między nimi – tłumaczy prof. Wysota. – Dowiadujemy się, jaki osad występuje pod powierzchnią terenu, ale nie znamy układu przestrzennego warstw i ich cech, co pozwala powiedzieć, jakie procesy geologiczne były odpowiedzialne za ich powstanie.

Naukowcy prowadzą badania geologiczne osadów na grzbiecie megadiun oraz po obu jego stronach: zaprawdowej i doprawdowej. Szczegółowo analizują ściany wykopów, opisują odsłaniające się osady, prowadzą dokumentację fotograficzną, badają orientację warstw przy pomocy busoli geologicznej, po to, żeby określić kierunek przepływu wody oraz pobierają próbki do dalszych analiz laboratoryjnych. Realizują też badania geofizyczne (georadarowe i tomografii elektrooporowej), które pozwalają uchwycić szersze tło geologiczne.

Badania prowadzone na Suwalszczyźnie przez geografów z UMK zostały w pierwszej kolejności ukierunkowane na dokumentację form świadczących o powodzi lodowcowej, położonych najdalej od jej źródła, i systematycznie przesuwać się

w stronę czoła dawnego lądolodu. Badane są bramy lodowcowe utworzone w strefach wypływu wód lodowcowych spod lądolodu oraz rzeźba terenu i osady, które powstały tam przy okazji gwałtownych buchnięć wody spod lądolodu. Obserwacje są prowadzone w tych miejscach, gdzie wody powodzi lodowcowych pozostawiły po sobie ślad w postaci nagromadzenia różnych osadów, a zwłaszcza materiału gruboziarnistego. Jego obecność nie dziwi geologów, kiedy bowiem woda płynie pod lodem, z jednej strony modeluje pod nim rzeźbę podłoża poprzez jego erozję, zaś z drugiej akumuluje materiał, wypływając przed czoło lodowca. Na początku zostawia materiał największy pod względem rozmiarów ziaren, a im dalej, tym drobniejszy.

– To ogólne zasady, od których są jednak wyjątki – mówi prof. Weckwerth. – Przy bramie bachanowskiej (na wschód od Jeziora Hańcza) trafiliśmy w wielu wkopach na osady drobnoziarniste, rejestrujące również schyłkową fazę powodzi, kiedy przedkroś przepływ wód uległ zmniejszeniu.

W kolejnym etapie badań naukowcy zajęli się rozwiązaniem problemu genezy zespołów krętych form podlodowcowych (subglacialnych). Okazało się, że część obszaru badań powstała w strefie podlodowcowej, a wraz z tą utworzoną przed czołem lądolodu stanowią jeden wielki system, który wskazuje, że wody wielkiej powodzi lodowcowej wypływały trzema bramami: bachanowską, w okolicach Szeszupki i Prudziszek. Ostatnia z wymienionych była największa i łączyła dwa główne kanały, dwie wielkie doliny podlodowcowe: jedną, przebiegającą wzdłuż jeziora Szelment Wielki, i drugą, subglacialną Dolinę Jeleniewską. Obie łączą się w strefie zaplecza bramy Prudziszek. Z kolei najgłębszą i najbardziej rozległą doliną podlodowcową, funkcjonującą zapewne najdłużej, była ta związana z wielkim obniżeniem Szeszupy.

– Podobnie jak dwie pozostałe doliny, podlodowcowa dolina Szeszupy ciągnie się także dalej na północ, na pewno w kierunku źródła powodzi lodowcowej – mówi prof. Weckwerth. – Powstaje więc pytanie, gdzie było to źródło? Najprawdopodobniej znajdowało się w rejonie wielkiego obniżenia terenu w południowej Litwie. Wskazuje na to fakt, że wszystkie doliny łączą się w strefie nadgranicznej, w okolicach Poszeszupia, gdzie prawdopodobnie pod lodem istniała rozległa pułapka na wodę roztopową.



▲ Megadiuny charakterystyczne dla warunków panujących na dnie rzeki o gigantycznym przepływie i głębokości sięgającej dwudziestu metrów.

▲ Głazowisko Łopuchowskie.

Woda roztopowa musiała płynąć pod łądłodem pod bardzo dużym ciśnieniem i wypływać na jego przedpole w wielu miejscach – główne bramy wypływu związane były z powodzią suwalską, choć prawdopodobnie kolejne tego typu miejsca znajdowały się także na Litwie. Niewykluczone, że w ten sam sposób, w wyniku wypływu wód kanałami skierowanymi bezpośrednio na południe, powstały np. sandry południowolitewskie.

– O tym, że wypływy miały charakter wielkich powodzi lodowcowych, świadczą megadiuny, jakie zidentyfikowaliśmy na obszarze południowej Litwy, podobne do tych, które rozpoznaliśmy w okolicy Jeziora Wigry. Tym razem dowodzą one przepływu wód powodziowych ze wschodu na zachód, z Litwy w kierunku Polski – wyjaśnia prof. Weckwerth. – Wszystkie te wody łączyły się na Równinie Augustowskiej, która jest miejscem występowania złożonego systemu megadiun o grzbietach zorientowanych zarówno wschód-zachód (przepływ powodzi lodowcowej z północy), jak i w linii północ-południe (przepływ ze wschodu).

Naukowcom z Torunia udało się zbadać formy krajobrazu, znając ich genezę, objętość wód powodzi lodowcowych i ich kierunek. Do rozwikłania pozostała im jeszcze jedna zagadka – kiedy konkretnie doszło do wielkich powodzi lodowcowych? Przybliżony ich wiek można określić na podstawie przesłanek geomorfologicznych, pomocnych w wyznaczeniu zasięgu czoła lodowca.

– W przypadku powodzi suwalskich może być on datowany na około 15-16 tys. lat wstecz – mówi prof. Wysota. – Ale do końca tego nie wiemy, to jedynie szacunki.

W swoim czasie

Wiek bezwzględny osadu można wyznaczyć poprzez jego datowanie metodami luminescencyjnymi. Naukowcy, separując z osadu ziarna kwarcu, w których gromadzi się energia z występującego w środowisku promieniowania, są w stanie określić, kiedy osad został odcięty od dostępu do światła słonecznego poprzez przykrycie go innym, młodszym osadem.

– Mierzymy ilość energii, która zgromadziła się w tym ziarenku, a następnie dzielimy przez energię, która może się zgromadzić w ciągu roku, i w ten sposób uzyskujemy wiek osadu – tłumaczy prof. Wysota.

– Trzeba uważać, żeby nie zniszczyć próbki osadu przeznaczonego do datowania luminescencyjnego, tzn. żeby go nie naświetlić – dodaje dr hab. Edyta Kalińska, prof. UMK z Katedry Geomorfologii i Paleogeografii Czwartorzędu. – Dlatego rurki, do których pobiera się piasek, są szczelnie zamykane, a materiał poddaje się dalszym badaniom w specjalistycznych laboratoriach i pomieszczeniach pozbawionych całkowite światła dziennego, a wyposażonych w lampy ciemniowe o kolorze czerwonym.

W tej metodzie datowania zdarzają się jednak znaczne rozbieżności, co zwykle świadczy o tym, że przepływ był szybki, turbulentny i głęboki, a woda mętna i zabrudzona, przez co światło nie mogło się przez nią przedostać. Mimo tych nieścisłości geografowie przypuszczają, że megapowódź suwalska wydarzyła się około 15-16 tys. lat temu.

– Potwierdzają to datowania na Litwie i Suwalszczyźnie przeprowadzone metodą tzw. izotopów kosmogenicznych. Za pomocą tej metody bada się m.in. głązy narzutowe, które zostały uwolnione z lodu i wystawione na promieniowanie kosmiczne – mówi prof. Wysota. – Jest to metoda, która pozwala określić, kiedy dany krajobraz został odsłonięty spod lodu.

Do tej pory wody drążące ogromne doliny równoleżnikowe, zwane pradolinami, przebiegające przez całą Polskę i ciągnące się w kierunku Niemiec aż po szelf Morza Północnego, łączono z recesją lodowców u schyłku zlodowaceń, kiedy form takich było bardzo dużo. Woda roztopowa pojawiała się przy krawędzi lodowca i przepływała na jego dalsze przedpole w kierunku południowym. W tym samym czasie wody istniejących rzek, takich jak np. dawna Wisła i Odra, łączyły się z wodami roztopowymi w jeden system pradolin, który odprowadzał je dalej na zachód.

– Nawet dla tak połączonego przepływu wód o różnym pochodzeniu powstałe pradoliny są niewspółmiernie duże, co było zagadką dla naukowców – zauważa prof. Weckwerth. – Tę lukę w wiedzy uzupełniają wyniki naszych badań. Okazało się bowiem, że istniały gwałtowne, katastrofalne dostawy ogromnej ilości wód roztopowych, które po zgromadzeniu się w jeziorach lodowcowych – pod lodem lub na lodzie – zasilają sukcesywnie system pradolin na przedpolu łądłodu.



▲ Jedna ze zwirowni, w których prowadzone są badania przez geografów z UMK.



▲ Doliny i dawne koryta uformowane przez wielkie ilości wód roztopowych.

Układ głównych pradolin powstał jako system kaskadowego spływania wielkich jezior gromadzących w krótkim czasie wody roztopowe lądolodu. Łącząc się w jeden wielki przepływ, podążały one na zachód przez Niemcy, Morze Północne, które było wówczas lądem, oraz kanał La Manche, aż do Zatoki Biskajskiej.

Ciepło, zimno, coraz ciepiej

Jak dokładnie powstał ten wyjątkowy krajobraz? Ponad 115 tys. lat temu temperatura na Ziemi zbliżona była do dzisiejszej, a lądolód skandynawski nie istniał. Jako twór lodowy – pokrywa lodowa – pojawił się około 60, może 70 tys. lat temu. Od tego momentu lądolód skandynawski miał różne fazy, kurczył się i rozrastał, aż około 20 tys. lat temu osiągnął maksimum rozprzestrzenienia, czyli sięgnął najdalej na południe na obszarze Polski i Niemiec. Wtedy rozpoczęło się ocieplenie i recesja lądolodu. Nie było jednak tak, że lód cały czas się topił – klimat raz się ocieplał, raz ochładzał. Dopiero od około 17 tys. lat temu lądolód dość sukcesywnie i gwałtownie zaczął wycofywać się z obszaru Polski. Lód topniał w kontakcie z powietrzem atmosferycznym, ale również w kontakcie z podłożem skalnym, bo docierało do niego ciepło geotermiczne. Powstająca w wyniku topnienia woda miała trzy możliwości: jeśli podłoże było odpowiednio porowate – wsiąkała, jeśli możliwy był drenaż w kontakcie z podłożem – spływała w kierunku krawędzi lądolodu, a kiedy go nie było – gromadziła się, co prowadziło do rozwoju zbiorników podlodowcowych (subglacialnych). W lądolodzie antarktycznym udokumentowano ponad sto takich zbiorników. Występują one również pod lądolodem grenlandzkim. Analogiczne warunki istniały też na Suwalszczyźnie, gdzie woda gromadziła się aż do osiągnięcia punktu krytycznego.

Dzieje się tak, kiedy ciśnienie wody osiągnie ok. 90% ciśnienia wywieranego przez nadległy lód. Wówczas warstwa lodu zostaje uniesiona, czemu może towarzyszyć gwałtowne uwolnienie wód z jeziora subglacialnego. Następnie „lodowa poduszka” opada, zamyka się podlodowy zbiornik i ponownie napełnia do momentu, aż woda po raz kolejny wypłynie i cały proces się powtórzy.

Zbiornik znajdujący się pod lądolodem może być zasilany również wodami spływającymi z jezior znajdujących się na

powierzchni lodu. Jeśli przedostaną się one do podłoża, mogą złożyć je i wypływać na zewnątrz. W lądolodzie, kiedy klimat się ociepla, tworzy się złożony system hydrologiczny. Wody roztopowe gromadzone w jeziorach lodowcowych mogą być odprowadzane w sposób stały i systematyczny. Mogą jednak – jeśli ich odpływ jest zablokowany – uwolnić się nagle, w sposób katastrofalny, tak jak na Suwalszczyźnie.

– Prawdopodobnie takich powodzi było tu kilka – twierdzi prof. Wysota. – Wskazują na to szczególnie badania na sandrze, gdzie formy rzeźby terenu związane genetycznie z powodziami lodowcowymi nakładają się na siebie.

Wzmoczony spływ wód roztopowych występował równocześnie w Europie, Azji i Ameryce Północnej. Pod koniec fazy pomorskiej ostatniego zlodowacenia nagle zewsząd do oceanu zaczęła dostawać się duża ilość słodkiej wody roztopowej. Spowodowało to zaburzenie cyrkulacji prądów morskich, kiedy wody roztopowe zasiły północną część Atlantyku, odcięły dopływy słonych i ciepłych wód ze strefy równikowej, co spowodowało chwilowe, ale globalne ochłodzenie klimatu.

– To tzw. sprzężenie zwrotne – mówi prof. Wysota. – Gdybyśmy dzisiaj założyli, że w wyniku gwałtownego zjawiska rozpada się i topi lądolód grenlandzki, moglibyśmy mieć początek kolejnego zlodowacenia. Najpierw ocieplenie powoduje ochłodzenie, a potem ochłodzenie – ocieplenie. Ten fakt sprawia, że nasze badania nabierają kontekstu uniwersalnego. Wzbudzają zainteresowanie naukowców, którzy zajmują się procesami globalnymi związanymi ze schyłkiem ostatniego zlodowacenia i zmianami klimatu.

Podczas megapowodzi lodowcowych na terenie dzisiejszej Polski woda miała dwa główne szlaki przepływu: jeden przebiegał wzdłuż współczesnej doliny Czarnej Hańcy i nazywany jest doliną zachodnią, zaś drugi położony jest na północ od Suwałk i tworzy tzw. dolinę wschodnią. Każda z nich charakteryzowała się inną wielkością przepływu.

– W dolinie wschodniej mogło to być prawie 900 tys. m³/s – informuje prof. Weckwerth. – Wartość przepływu dla doliny zachodniej to ok. 700 tys. m³/s. Na południe od Suwałk obie te gigantyczne rzeki łączyły się, dając początek wielkiemu szlakowi przepływu wód o charakterze ogrom-



▲ Od lewej: Wojciech Wysota i Piotr Weckwerth z Wydziału Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMK w Toruniu.

nej równiny zalanej wodą roztopową pochodzącą z „buchnięć” spod lądolodu.

W obszarze tym, tzn. na południe od Suwałk, gdzie występują megadiuny (megariplemarki), zlokalizowana była „strefa zrzutu”, związana z depozycją osadu transportowanego przez wody powodzi lodowcowej, które w tym miejscu nie były już w stanie go dalej unosić, ponieważ zmniejszeniu uległa ich energia przepływu.

Naukowiec stosują różnorodne metody szacowania wielkości i głębokości przepływu odpowiedzialnego za powstanie megadiun. Okazało się, że wynosił on około 2 mln m³/s, co prawie idealnie pasuje do sumarycznej wielkości przepływów wyznaczonych wcześniej w odmienny sposób dla dolin wschodniej i zachodniej.

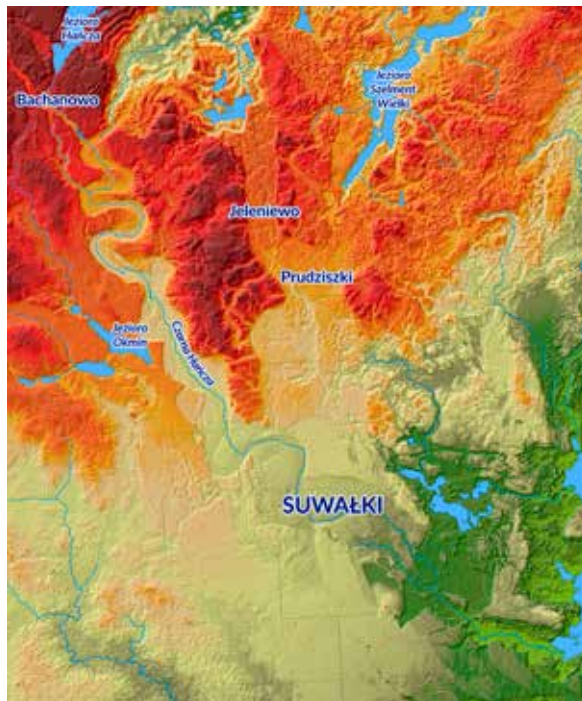
– Olbrzymie przepływy plasują megapowódź suwalską na piątym miejscu wśród wielkich powodzi, które zostały zidentyfikowane w historii Ziemi – twierdzi prof. Weckwerth.

Aby opublikować wyniki badań, geografowie z UMK muszą jeszcze określić wiek powstania form krajobrazu związanych z wielkimi powodziami lodowcowymi. Obiecująco zapowiadają się podjęte próby precyzyjnego modelowania za pomocą specjalnych programów komputerowych, umożliwiających przeprowadzenie symulacji, jak w czasie rozkładała się wielkość przepływów. Wiadomo, że nie miały one jednakowego poziomu, wielkości ani prędkości.

Naukowiec zaznaczają, że teraz ważne jest dla nich określenie głębokości litewskiego zbiornika subglacjalnego.

– Wszystko wskazuje na to, że na Litwie trzeba będzie poszukać dowodów geologicznych ukrytych w osadach budujących obszar potencjalnego dna zbiornika wód pod dawną pokrywą lodową – konkluduje prof. Weckwerth.

Badania prowadzone są w ramach grantu Narodowego Centrum Nauki pt. „Dowody geomorfologiczne i implikacje paleogeograficzne katastrofalnych powodzi i szarży lodowcowych południowego sektora lądolodu skandynawskiego w późnym wistulianie (MEASSIS)”.



Główny obszar badań geografów z UMK

Prof. Weckwerth i jego zespół badawczy otrzymali główną nagrodę w konkursie Geologia2021 organizowanym przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska w kategorii „Dorobek, fundamentalne odkrycie” za „Megapowódź lodowcową na Suwalszczyźnie”.

Rozszerzona wersja artykułu wraz z multimediami jest dostępna na Portalu Informacyjnym UMK: www.portal.umk.pl

Fot. Andrzej Romański, UMK
Marcin Behrendt pracuje na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu



Edyta Kalińska z Katedry Geomorfologii i Paleogeografii Czwartorzędu analizuje w laboratorium ziarna piasku megapowodzi suwalskiej.

Marcelina Smużewska

Po co liczyć kominy?

O historii spisów powszechnych

Po przejściu władzy przez komunistów statystyka stała się niedostępna dla szeregowych przedstawicieli społeczeństwa. Wyniki badań GUS nie były publikowane, co wynikało z ustawy z 1952 roku.

W momencie powstawania tego tekstu trwa kolejny Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań. Takie przedsięwzięcie jest niewątpliwie kosztowne i skomplikowane pod względem organizacyjnym. Nie ulega jednak wątpliwości, że zebrane dane – po zagregowaniu – dostarczają ważnych informacji na temat stanu demograficznego naszego kraju czy kondycji ekonomicznej gospodarstw domowych. Przydatne są nie tylko statystykom, ale też politykom czy naukowcom. Spisy na ziemiach polskich organizuje się w miarę regularnie od 1918 roku. Zazwyczaj w odstępach dziesięciu lat.

Zróżdła donoszą, że spisy organizowano dużo wcześniej. O jednym z nich wspomina Biblia. Tuż przed narodzeniem Jezusa miał miejsce jeden ze spisów rzymskich. Pierwsze nowożytne spisy ludności przeprowadzono na terenie Skandynawii (lata 40. XVIII w.), w Stanach Zjednoczonych Ameryki i Rosji (lata 90. XVIII w.). W kontekście polskim wspomina o nich w *Kronice Galla Anonima*, w bullach papieskich czy księgach uposażeń biskupstw. Od XVIII wieku mamy do czynienia z coraz większą liczbą dokumentów rejestrujących w sposób ilościowy różne aspekty działalności ludzkiej. Np. w latach 1747-1749 z inicjatywy Andrzeja S.K. Załuskiego zorganizowano spis, który obejmował teren niemal całej współczesnej Małopolski. Mimo że rejestry tego rodzaju były niedoskonałe (np. nie dostarczały informacji o dzieciach poniżej siódmego roku życia czy kwestiach wyznaniowych), dawały jednak jakieś wyobrażenie o zagęszczeniu ludności miast i wsi. W mniejszej skali przydatne mogą być rejestry parafialne – status animarum. Jednym z istotniejszych spisów był ten zlecony przez Sejm Czteroletni w 1790 roku – tzw. *Lustracja dymów i podanie ludności*. Mimo że nie objął szlachty i duchowieństwa, dzięki niemu znamy szacunkowe dane na temat zaludnienia I RP.

Spis ten przeprowadzono na podstawie uchwały z 9 marca 1789 r. Stąd też ten dzień jest oficjalnie świętem statystyki polskiej. Zgromadzone dane miały dać informacje o tym, czy ludność polska będzie w stanie udźwignąć nowy podatek na rzecz utrzymania stałego wojska liczącego sto tysięcy żołnierzy. Autorem tabel statystycznych z tego spisu był poseł i hrabia Fryderyk Józef Moszyński. Liczba ludności na terenach ówczesnie uznawanych za polskie wynosiła 7,4 mln. Dla porównania ówczesna populacja Francji to ok. 26

mln ludzi, Hiszpanii – nieco ponad 10 mln, Prus – 5,5 mln, a Rosji Europejskiej 26,6 mln. Największe zagęszczenie ludności było we Francji i w Anglii. Spis nie był wolny od błędów i nieścisłości. Wykazał np., że liczba osób aktywnych zawodowo w Wielkopolsce wynosiła zaledwie 22,1%, w Małopolsce zaś 54,5% ogółu ludności. Rozdźwięk mógł się wziąć z tego, że w Małopolsce małżonków spisywano oddzielnie, a w Wielkopolsce jednostką podstawową był „dym”, czyli jedna rodzina na danym siedlisku.

Spisy pod zaborami

Osiemnaście i dwadzieścia lat później zorganizowano kolejne spisy, tym razem na terenie Księstwa Warszawskiego. Ustalano liczbę ludności, jej strukturę demograficzną, wyznanie, aktywność zawodową, rejestrowano liczbę budynków. Akcja spisowa była zlecona przez administrację Napoleona. Chciał on wiedzieć, ilu żołnierzy z terenu Księstwa byłby w stanie zmobilizować do swojej armii. Jak w przypadku pierwszego spisu, także te nie były wolne od błędów. Znacznej części ludności w ogóle nie uwzględniono, przez co historycy mają wątpliwości co do rzetelności danych zawartych w dokumentach z tego okresu. Materiały spisowe były opracowywane w Warszawie w 1810 roku w Biurze Statystycznym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które można uznać za pierwszą instytucję statystyczną na ziemiach polskich.

Pod zaborami, co oczywiste, ludność etnicznie polska nie realizowała samodzielnie spisów. Pierwszy wiarygodny spis z zaboru pruskiego pochodzi z 1840 roku, a zaboru austriackiego z 1869 roku. W zaborze rosyjskim jedyny spis zorganizowano w 1897 roku. Kolejne dane w odniesieniu do Galicji pochodzą z 1857, 1869, 1880, 1900 i 1910 roku. Publikowało je Biuro Centralnej Komisji Statystycznej w Wiedniu. W odniesieniu do zaboru pruskiego spisy prowadzono w latach 1816-1867 co trzy lata, a od 1871 roku co pięć lat. Dane z zaborów zostały podsumowane w pracy *Statystyka Polski* w 1915 roku przez Adama Krzyżanowskiego i Kazimierza Kumanieckiego. Jak można się domyślać, dane są niejednorodne i niekiedy nie można ich ze sobą zestawiać. Zachowane opracowania nie spełniały też w pełni zaleceń Międzynarodowego Instytutu Statystycznego. Na przykład jedyny spis przeprowadzony w Królestwie Polskim przedstawiony był w skali powiatów i miast

(a nie poszczególnych gospodarstw), a jego wyniki opublikowano dopiero w 1905 roku w języku rosyjskim.

Spisy powszechne w II RP

W wolnej Polsce pierwszy spis przeprowadzono w 1921 roku. Nie objął on jednak m.in. Górnego Śląska i Wileńszczyzny. Nie zakończyły się wtedy jeszcze wewnętrzne migracje ludności i proces repatriacyjny. Granice nie były w pełni ustalone. Choć warunki przeprowadzenia spisu były trudne, był on konieczny do zaplanowania budżetu na odbudowę i integrację odrodzonego kraju po 123-letniej niewoli. W spisie pytano o narodowość, wyznanie, a wyniki przedstawiono w podziale na województwa w 29 tomach. Za zebranie i przeanalizowanie danych odpowiedzialny był Główny Urząd Statystyczny, który powstał dokładnie 102 lata temu. W październiku 1919 roku Sejm uchwalił ustawę o organizacji statystyki administracyjnej. GUS podlegał Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, co wskazuje na to, że głównym celem prowadzonych badań statystycznych były potrzeby państwa. Oprócz organizacji spisów GUS wydawał od 1921 roku *Rocznik Statystyki Rzeczypospolitej Polskiej*. W 1930 roku wydano *Atlas Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej*. GUS prowadził też badania analityczne na potrzeby państwa, np. bilans płatniczy państwa (1924) czy badanie budżetów gospodarstw domowych (1928).

W 1931 roku zorganizowano drugi powszechny spis ludności. Obejmował takie zagadnienia jak: demografia, kwestie wyznaniowe, znajomość języków, rynek pracy, edukację i zdrowie. Wtedy populacja Polski wynosiła nieco ponad 32 mln, z czego 21,8 mln to osoby posługujące się językiem polskim.



Dziewczynka leżąca na arkuszu spisowym, 1931.

Fot. Zbigny MAC



Bezdomna kobieta mieszkająca na klatce schodowej z pomocą komisarza spisowego wypełnia arkusz spisowy, 1931 r.

Fot. Zbigny MAC

Wynika z tego, że w II RP co trzeci mieszkaniec był przedstawicielem mniejszości narodowej. Najwyższą liczbę mieszkańców miały województwa lwowskie i kieleckie, a na trzecim miejscu dopiero – warszawskie. Około 10% mieszkańców posługiwało się na co dzień językiem ukraińskim, niespełna 8% żydowskim, niespełna 4% ruskim. Interesującą deklaracją było wskazanie na posługiwanie się „językiem tutejszym”, tak wskazało 2,22% ludności. Jak można się domyślać, chodzi tu o różne odmiany gwary, jakimi posługiwali się ludzie na konkretnych terenach.

Sytuacja po II wojnie światowej

Wojna spowodowała zmniejszenie się ludności polskiej o ok. 7-14 mln osób, stąd konieczne było przeprowadzenie kolejnego spisu. Informacje o stanie ludności były niezbędne do tworzenia planów odbudowy, akcji przesiedleńczych i aprowizacji. Początkowo GUS podejmował przygotowania do spisu w 1945 roku, ale to się nie udało. Ostatecznie rozpoczęto go dopiero w styczniu 1946 roku. Był to spis sumaryczny, a nie imienny, i miał ograniczoną liczbę pytań. Z uwagi na działalność ukraińskich ugrupowań powstańczych w części województwa rzeszowskiego nie dokonano spisu.

Struktura ludności według wieku była korzystna. Najwięcej było osób w wieku produkcyjnym i poniżej 20 roku życia (odpowiednio: 57,8% i 39%). Pytano także o narodowość, a były dostępne następujące opcje: polska, taka, co do której prowadzi się postępowanie weryfikacyjne, niemiecka i inna. Co ciekawe, to pytanie w historii spisów powszechnych padło po raz ostatni.

Według pierwszego powojennego spisu bilans migracyjny był ujemny. Teren Polski opuściło ponad 600 tys. osób. Liczba ludności w 1946 roku wynosiła 23,9 mln ludzi. Dane z tej akcji spisowej szybko jednak straciły ważność w związku z trwającymi przesiedleniami. Część z nich nigdy nie ukazała się drukiem.

Spisy w PRL i III RP

W kolejnych latach spisy powszechne miały miejsce w 1950, 1960, 1970, 1978, 1988, 2002, 2011 roku. Pomiedzy zdarzały się spisy ludności robione metodą próby reprezentacyjnej w 1974, 1984 i 1995 roku. Organizowane były także spisy rolne, które także miały charakter powszechny lub reprezentacyjny. Co ciekawe, po przejściu władzy przez komunistów statystyka stała się niedostępna dla szeregowych przedstawicieli społeczeństwa. Wyniki badań GUS nie były publikowane, co wynikało z ustawy z 1952 roku. Raporty, które docierały do administracji rządowej, były opatrzone klauzulą: „poufne”, „tajne” lub „tylko do użytku wewnętrznego”. Z tego względu nie wszystkie dokumenty z tamtego okresu ocalały do dziś. Wydawanie *Małego rocznika statystycznego* wznowiono dopiero w 1958 roku. Obecnie większość danych generowanych przez GUS dostępna jest drogą elektroniczną i w wersji papierowej, co w zasadzie nie powoduje żadnych trudności w zapoznawaniu się z nimi.

Dr Marcelina Smużewska, absolwentka UMK w Toruniu, zajmuje się socjologią historyczną.



Rodzina z pomocą komisarza spisowego wypełnia arkusz spisowy, 1931 r.

Życie i dzieła Stanisława Staszica

Ks. Staszic opublikował w latach 1816–1820 dziewięć tomów *Dzieł*, z których tomy od 7 do 9 zawierają dzieło *Ród ludzki. Poema dydaktyczne* – te zostały zablokowane w obrocie księgarskim na mocy dekretu o cenzurze, który sam kontrasygnował.

Rodzina Stasiców (tej wersji nazwiska używała do 1782 roku, a w drukach do 1789) mieszkała od XVII wieku w Pile – miasteczku królewskim, liczącym w czasach oświecenia około 1500 obywateli, zamieszkałych w 250 domach. Ojciec Stanisława, Wawrzyniec, był przyuczonym prawnikiem, synem burmistrza Andrzeja, posiadacza folwarku pod miastem (około 12 ha), browaru i młyna. Od 1745 roku posiadał honorowy tytuł sekretarza JKM Augusta III. Zdobył urząd burmistrza po Franciszku Mędlickim, w czym pomogło małżeństwo z jego córką, Katarzyną. Najstarszym z rodzeństwa był Antoni, zmarły w wieku 32 lat, niezonaty. Młodszy to Anna i Andrzej – wyświęcony na księdza. Najmłodszy, Stanisław Wawrzyniec, ochrzczony 6 listopada 1755 roku (data urodzin nie była odnotowywana), przyszedł na świat, gdy ojciec miał 40, a matka 46 lat. Jak zapisał w *Krótkim rysie mego życia*, matka przeznaczyła go do stanu duchownego: „Miłość ku mnie Matki i przesąd skłoniły ją, że uczyniła ślub Bogu, iż, od dzieciństwa, w poświęconej mu sukience księżskiej wychowany będę”. Wpisała go w dzieciństwie do Zakonu Franciszkanów. Bracia kończyli szkołę humaniores litteras w Wałczu, następnie Andrzej, a po nim Stanisław, trafili do Kolegium Jezuickiego w Poznaniu. Święcenia mniejsze uzyskał Stanisław 2 stycznia 1774 roku. Jako uczeń szkoły wydziałowej dorabiał udzielaniem korepetycji. Otrzymał – zapewne po pełnych święceniach, bez nałożonych obowiązków – kanclerstwo kapituły szamotulskiej i związane z tym beneficja z dóbr Jankowice (1778). Z godności tej i dochodów zrezygnował dopiero w 1796 roku.

Ojciec wydzielił Stanisławowi część przyszłego spadku tak, by mógł odbyć studia zagraniczne, spożytkowując zdolności, którymi wyróżnił się w szkołach. Poprzez uniwersytety w Lipsku i Getyndze dotarł Staszic do Paryża, gdzie studiował w Collège de France (1779-1781). Interesował się zwłaszcza historią naturalną, wykładaną przez Luisa Jeana Marie Daubentona. Postanowił przetłumaczyć dzieła Georgesa Luisa Leclerca Buffona, mimo że różnił się w poglądach co do stopnia wpływu Boga na przyrodę (naturę) i ludzi. Uległ jednak dorobkowi oświecenia, zwłaszcza w zakresie racjonalizmu. W roku 1779 opublikował drukiem – na swój koszt – tłumaczenia wla-

sne poematu Jeana Baptiste’a Racine’a *Religja* oraz wiersze Voltaire’a (François-Marie Arouet) *Poema o zapadnięciu Lizbony*. Przetłumaczył też *Epoki natury przez pana Buffona wydane w języku francuskim przez X. Stasica wytłumaczone na język polski, z dodaniem myśli i niektórych uwag* (1786). Wiele fragmentów dzieła było streszczeniem oryginału. Do drugiego wydania (1803) Staszic dodał *Uwagi nad ziemią Polską*.

U boku ordynata

Bieg życia ks. Stanisława Staszica powiązany został z rodziną Zamoyskich. Andrzej hr. Zamoyski wspierał studia zagraniczne Staszica z myślą o powierzeniu mu wychowania i kształcenia swych dzieci (z pensją 4 tys. złp rocznie). Liczył też na udział podopiecznego w działalności reformatorskiej. Ex-kanclerz został ordynatem 17 sierpnia 1778 roku. Jego projekt *Zbioru praw sądowych* odrzucił Sejm w 1780 roku. Staszic zamieszkał latem 1781 roku w siedzibie Zamoyskich w Bieżuniu, na północnym Mazowszu. Z rodziną ordynata pomieszkiwał też w ich pałacu na Lesznie w Warszawie, następnie przeprowadził się do Zamościa. Był wymagającym – a przez to nie lubianym – nauczycielem. Mając poparcie ordynata, uzyskał w Akademii Zamojskiej doktorat obojga praw w końcu kwietnia 1782 roku. Nie miał jednak za sobą studiów prawniczych. Akademia pozytywnie odpowiedziała (13 I 1783) na jego prośbę o zatrudnienie – powierzono mu katedrę języka francuskiego. Jak ocenia Czesław Leśniewski [*Stanisław Staszic jego życie i ideologia w dobie Polski Niepodległej (1755-1795)* 1926], nawet znajomość języka francuskiego daleka była od doskonałości. Kariera Staszica w Akademii skończyła się po półtora roku wobec upadku uczelni – ostatni protokół grona profesorów nosi datę 19 lipca 1784 roku.

Kierując się koncepcjami ustrojowymi ordynata, ks. Staszic opublikował w 1787 roku anonimowo przygotowywane przez dwa lata *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego Kanclerza i Hetmana W.K. do dzisiejszego stanu Rzeczypospolitej Polskiej przystosowane*. Praca zawierała nie tylko biografie, ale i rozbieżne tematycznie szkice publicystyczne o edukacji i ustroju. *Uwagi* wzbudziły głosy polemiczne, także publikowane. Debaty

te przeniosły się na forum Sejmu Czteroletniego, którego Staszic był bezpośrednim obserwatorem, przebywając z ordynatem w Warszawie. W 1790 roku opublikował, znów anonimowo, *Przestrogi dla Polski z teraźniejszych politycznych Europy związków y z praw natury wypadające przez Pisarza Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego*. Staszic szukał przyczyn upadku Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Obciążał za jej upadek szlachtę, zwłaszcza magnatów.

Analizując dzieła Staszica, Leśniewski dochodzi do wniosku, iż „nad treścią dzieł jego pracowało w równym stopniu serce, jak umysł”. Staszic analizował stan, który określił po latach w mowie pośmiertnej po Stanisławie Kostce hr. Potockim, jako „Polska nierządem stoi”. Nie odrzucał wiary w Boga, ale kierował się rozumem i patriotyzmem. Doceniał wagę praw naturalnych: „Równość, wolność i własność są najpotrzebniejszym i najprostszym wnioskiem z praw człowieka” (*Przestrogi...*). Były to postulaty, a nie stan istniejący. W historii świata dostrzegał przyrodzone i wytworzone nierówności: „Wszyscy z natury równie obszerną wolę bierzemy, ale nie wszystkim natura równie wielkie siły nadaje” (*Uwagi...*). Wyżej od praw naturalnych umieszczał prawo moralne. Cnota w postaci powiększenia dobra współobywateli była podstawą dobrych obyczajów i charakteru człowieka. Z prawem moralnym łączył Staszic – za Jeanem Jacquesem Rousseau – umowę społeczną. Było to dobrowolne, rozumne ograniczenie naturalnej wolności osobistej: „każdego towarzystwa warunk” (*Uwagi...*). Gdy pojawiło się prawo – możliwa stała się też sprawiedliwość, nieobecna w naturze, a także władza organizacyjna.

Staszic podzielał pogląd Charlesa Louisa Montesquieu o koniecznym podziale władz na prawodawczą, wykonawczą i sędziowską. W edukacji upatrywał – obok nauki poprzez przykłady – możliwość kształcenia dobrych obyczajów: „końcem edukacji krajowej być powinna użyteczność obywatela” (*Uwagi...*). Edukacja powinna obejmować ciało i duszę. Doskonalenie duszy miało wymiar moralny, ale Staszic pomijał tu potrzebę praktyk religijnych. Opowiadał się za przejęciem szkół przez państwo: „każda edukacja krajowa tylko się pod strażą rządu utrzymuje” (*Uwagi...*), dotyczyć to także miało „edukacji domowej”. Przed podjęciem pracy zawodowej lokował „nowicjatu obywatelski” – bezpłatną praktykę w urzędach.

W poglądach społecznych krytykował ks. Staszic podział stanowy: „Nikt nie rodzi się z przywilejem szlachetności, panowania, szacunku i honoru” (*Przestrogi...*). Oceniając realia historyczne Polski, krytykował wszystkie stany za brak pracowitości i zrozumienia konieczności reform ustrojowych. Uważał, że „od śmierci ostatniego Jagiellończyka aż do konstytucji 3 maja już nie jest [to] historia narodu, ale są to dzieje dwóch stanów, dzieje wyłączności stanu duchowieństwa, wyłączności stanu szlachty” (*Ród ludzki*). Krytykował duchowieństwo – „prócz plebana i biskupa, każdy inny duchowny jest niepotrzebny, a tym samym szkodliwy; bo tylko z cudzej pracy je i pije” (*Przestrogi...*). Podobnie krytykował zakony: „zakonne zgromadzenia tu stały się najzepsutsze. Były stanem zabobonności, głupstwa, próżniactwa i rozwięzłości, były gniazdami nieobyczajów, niewiary, niezliczonych kacerstw, schizm, rozczepieństw” (*Ród ludzki*). Dostrzegał: „W najniższej klasie wieśniaczej rolników trwa stale ku swym zwierzchnikom i panom taż tajemna niechęć (...) lenistwo, próżniactwo i powszechne pijaństwo” (*Ród ludzki*). W „Pamiętniku Warszawskim” (t. 4, 1822) opublikował artykuł *O przyczynach szkodliwości Żydów i o środkach usposobienia ich aby się społeczeństwu użytecznymi stali*. Postulował odebranie im prawa propinacji alkoholu, przejęcie kontroli rządowej nad finansami gmin żydowskich oraz wprowadzenie języka polskiego do szkolnictwa wyznano-

wego. Według Koźmiana, Staszic to „główny nieprzyjaciel Żydów, który tyle pisał i drukował dla okazania ich szkodliwości i wołał o ściśnienie im mieszkania po głównych ulicach w miastach, o odjęcie im szynków i sposobności niszczenia włościan po wsiach”. W efekcie Rada Stanu odrzuciła projekt emancypacji Żydów.

„Bezbożnik” w stroju akademika

Z poparciem ordynata uzyskał ks. Staszic prepozyturę w Turobinie i rektorat w Czarnięcinie, co przynosiło mu dochody (rocznie 6 tys. złp). Podróże zagraniczne z rodziną ordynata były ciągiem dalszym własnej edukacji i inspiracją do amatorskiej pracy naukowej. Wyjechał z rodziną Zamoyskich w kwietniu 1790 roku. Na dłużej zatrzymali się we Florencji (czerwiec – listopad) i Neapolu (grudzień 1790 – marzec 1791). W Wiedniu Staszic zamieszkał na dłużej, ciągle opiekując się dziećmi Ordynata (lipiec – grudzień 1791). Poświęcał czas nauczaniu domowemu, ale i badał geologiczne struktury oraz ustrój społeczny i polityczny zwiedzanych krajów. Odnotowywał swe doświadczenia w *Dzienniku podróży*. W tle pojawiła się rewolucja jakobińska we Francji.

Po śmierci Andrzeja hr. Zamoyskiego (10 II 1792) ks. Staszic zamienił rolę wychowawcy na rolę plenipotenta, ale nadal występował jako domownik. Kolejnym ordynatem mianowano młodego i mało doświadczonego Alexandra hr. Zamoyskiego. Wdowa, Konstancja z Czartoryskich, prowadziła opozycyjną politykę majątkową, radząc się Staszica. Ten opuścił pałac Zamoyskich i szukał spokoju w Zwierzyńcu „na łonie natury”. Przy okazji załatwiania interesów majątkowych Zamoyskich wiele dni spędzał na podróżach krajowych, co łączył z poznawaniem ludzi i przyrody. Zaczął kilkunastoletnią pracę nad dziełem *Ród ludzki*. Oceniając to dzieło, Kajetan Koźmian zapisał w *Pamiętnikach*: „Skąd przyszło mężowi tak mądrymu zapragnąć zostać poetą, gdy harmonia, która jest duszą, szatą poezji, przez którą wchodzi do serca, słuchowi jego tak była obcą”. Nie pomogło Staszicowi zastosowanie „białego wiersza” zamiast rymów.

Występując w roli plenipotenta, ks. Staszic zajął się także pomnażaniem własnego majątku. Lokował oszczędności w bankach, grał na giełdzie akcjami, a nawet pożyczzał znanym arystokratom dukaty na procent (6% lub 7%). Ówczesnie nie odwoływano się już do tradycji chrześcijaństwa, zakazującej wiernym tego wyznania oprocentowanych operacji finansowych. Pomagała Staszicowi wiedza o zasobach surowcowych i ich przetwarzaniu przemysłowym. Wspierał działania prowadzące do industrializacji gospodarki. Gdy utracił w 1791 roku probostwo (i dochody) Turobina, przestał ubierać się w sutannę. Założył strój „akademika”. Nadal jednak wobec domowników występował z tytułem en abbé. Jego niechęć do „wielkiej polityki” prowadzonej przez władców i Kościół narastała. W otoczeniu zaczęto przypisywać mu opinię „bezbożnika”. Nie mógł, co oczywiste, zrezygnować ze święceń kapłańskich i nie przestał wierzyć w Boga. Jednak zbliżył się do deizmu.

Konstancja hr. Zamoyska przekazała ks. Staszicowi z tytułu opieki nad jej interesami majątkowymi dwukrotnie po 100 tys. złp. Składał u niej część dochodów na najniższy procent. W czasie Insurekcji udał się Staszic do Warszawy, by zabezpieczyć wkłady własne i Zamoyskich w bankach. Ofiarował wtedy 5400 złp na skarb powstańczy. Od września 1794 do września 1796 roku przebywali w Wiedniu. O zwrot składanych u hr. Konstancji kwot (6 tys. dukatów – dukat wart był ówczesnie 18 złp) toczył Staszic spór sądowy po śmierci patronki (15 II 1797) z Alexandrem hr. Zamoyskim. Gdy ten zmarł przedwcześnie (6 XII 1800), nowy ordynat, Stanisław hr. Zamoyski, spłacił polubownie należność.

W Hrubieszowie

Po śmierci patronki ks. Staszic został plenipotentem jej córki, Anny. Ta wyszła za Alexandra Antoniego księcia Sapiehę (10 VII 1794), zajął się więc także interesami męża. Ratując przed bankrutem majątek Sapiehów, Wisznice, odkupił go in spe nabycia tytułu własności. Nabył też z pomocą księcia Sapiehy (za 700 tys. złp) starostwo hrubieszowskie i związane z nim posiadłości. Zainwestował łącznie około 1 mln złp. Od 1801 roku zamieszkał w oficynie pałacu Zamoyskich w Warszawie jako usamodzielniony domownik.

W 1804 roku kupił od Kapituły Warszawskiej pogorzelsko domu na Kanonii, wyremontowany gmach przeznaczył w części na posiedzenia Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Między 10 listopada 1804 a 22 czerwca 1805 roku przebywał w Paryżu, gdzie ówczesnie mieszkała z dziećmi księżna Anna. Staszic kontynuował tam swe dawne studia, zwiedzał muzea i biblioteki. Kupił aparaturę do badań geologicznych. Od roku 1807 zarabiał jako wysoki rangi urzędnik. Po zmianach dopuszczających wszystkich do nabywania dóbr ziemskich przejął od marca 1811 roku na własność dobra hrubieszowskie. Opracował *Kontrakt Towarzystwa Rolniczego [H]Rubieszowskiego w zamiarze doskonalenia rolnictwa i przemysłu oraz wspólnego ratowania się w nieszczęściach* (1816), co powiązał ze zniesieniem pańszczyzny i wprowadzeniem ustroju spółdzielczego. W Towarzystwie funkcję dziedzicznego wójta powierzono statutowo rodzinie Grothusów, pierwszym z nich był Józef, tytułowany prezesem.

Jak ocenili Maria Czepe i Zbigniew Wójcik („Polski Słownik Biograficzny” tom XLII), ks. Staszic „Żył samotnie i mimo zebranego majątku nadzwyczaj oszczędnie i skromnie; zapamiętano jego wytartą odzież i więcej niż skromny powóz. Dostrzegano jego surowość, podejrzliwość, doktrynerstwo i oschłość, łączone ze skłonnością do przesady i porywcznością, żartowano z jego uczoności i dziwactw językowych”.

Plany edukacji narodowej

Kariera urzędnicza ks. Staszica przebiegała niezależnie od zmian ustrojowych, był to nowy etap życia po służbie na rzecz Zamoyskich. W Księstwie Warszawskim powołano Staszica do Izby Edukacyjnej (14 II 1807), kierowanej przez Stanisława Kostkę hr. Potockiego. Pod jego kierunkiem przygotował *Projekt ogólnego planu edukacji narodowej*. Zakładał podporządkowanie systemu szkół administracji rządowej (a nie Szkołom Głównym). Uruchomił Szkołę Prawa (1808) oraz szkoły departamentowe. Był też równolegle członkiem Dyrekcji Skarbowej, przekształconej w Ministerium Skarbu. W roku 1808 został powołany do składu Najwyższej Komisji Egzaminacyjnej dla urzędników państwowych. Fryderyk August mianował Staszica referendarzem przy Radzie Stanu Księstwa Warszawskiego (29 XI 1808). Działal w deputacjach do spraw etatów i podatków, współredagował nową ustawę o tej radzie, której został pełnym członkiem (10 VI 1810). Od 15 listopada 1809 roku Staszic występował w roli rektora (i założyciela) Szkoły Wydziału Lekarskiego. Gdy przekształcono Izbę Edukacyjną w Dyrekcję Edukacji Narodowej (27 XII 1811), został jednym z sześciu jej członków czynnych. Bronił funduszu edukacyjnego przed nadużyciami posiadaczy emfiteutycznych, zaciągających pożyczki hipoteczne.

Po powołaniu Królestwa Polskiego został radcą stanu (15 VI 1815), działał (od 4 VIII 1815) w Wydziale Oświecenia Narodowego, powołanym w miejsce Dyrekcji Edukacji Narodowej. Przygotował też projekt organizacji poczty, taryf celnych, ujednolicenia miar i wag. Na polecenie Rządu Tymczasowego Królestwa Polskiego był przejęciowo (IX 1815 – III 1816) pierwszym komisarzem w Komisji Likwidacyjnej, regulującej należności

wobec państw zaborczych. Uzyskał wtedy od cara order św. Stanisława, a w 1818 roku Order Orła Białego. Od 28 grudnia 1816 roku był dyrektorem Wydziału Przemysłu, Kunsztów i Handlu Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji. Z jego inicjatywy działała w Kielcach Główna Dyrekcja Górnicza oraz Szkoła Akademiczno-Górnicza. Uruchomił system ceł na surowce, poszukiwania geologiczne, modernizację kopalń rudy i węgla, projektował inwestycje. Od 31 maja 1817 roku był zastępcą ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Stanisława Kostki hr. Potockiego. Prezydował też (od 1817) Radzie Ogólnej Budownictwa. W grudniu 1820 roku stracił możliwość kształtowania polityki oświatowej, został jedynie członkiem Komitetu Reformy Edukacyjnej.

Nie miał talentu wymowy

Po objęciu Ministerium Skarbu przez Franciszka Ksawerego księcia Druckiego-Lubeckiego (1821) krytykował ks. Staszic – jak zapisał Koźmian w *Pamiętnikach* – „wprowadzone monopola, jak też ciągły gwałt zadawany prywatnej własności i najświętszym nadaniom, równie jak o zagarnienie do skarbu wszelkich depozytów sądowych, sierocych itd., nieusznanowanie konstytucji”. Książe Drucki-Lubecki uzyskał dekret cara przenoszący górnictwo wraz z funduszami z Komisji Spraw Wewnętrznych do Komisji Skarbu. Staszic musiał zrezygnować z funkcji dyrektora (28 III 1824), a uhonorowano go rangą ministra stanu i członkostwem Rady Administracyjnej. Od października 1824 roku przewodniczył Komisji Emerytalnej Urzędników, a następnie (od 4 I 1825) Deputacji do ułożenia Hierarchii Urzędników. Według Koźmiana, Staszic „nie miał talentu nieprzygotowanej wymowy (...). Gdy przyszło swój referat popierać lub cudze wnioski zbijać, namyślał się, rozważał, gotował, a gdy przyszło mówić, po kilku frazach płynność go odbiegała, słów brakowało: stąd czasem w gniew wpadał. Żli ludzie, a szczególnie podwładni, nieraz mieli go zmordowanego podejść i ufność jego zdradzić. Nieraz mu co innego czytali, a nie to, co czytali, podsuwali do podpisu”.

Koźmian odniósł się też w *Pamiętnikach* do posądzeń ks. Staszica o „zbyteczną i pożądlivą ku płci żeńskiej skłonność”. Przypomniał, że Staszic „był nader przystojny, nawet powabny i ugrzeszczony, ubierał się starannie jak akademik w czarną francuską z płaszczykiem i kołnierzykiem akademicką suknię”. Chętniej wspierał nieszczęśliwe kobiety niż mężczyzn, siadał na paradyżu (galerii) w teatrze w przebraniu zwykłego widza, a podczas egzaminów w szkole teatralnej oklaskiwał baletniczki. W oficynie pałacu Zamoyskich zajmował trzy pokoje. Zatrudniał lokaja, jego żonę, która pełniła funkcję gospodyni, a także woźnicę. Miał powóz i karetę oraz konia wierzchowego. Według pośmiertnego inwentarza miał do wyboru 5 fraków, 2 surduty i 3 płaszcze. Przy tym jednak sam cerował pończochy i naprawiał buty. Wina „odmawiał”, a wódek tym bardziej. Kilka sztuków, jakie posiadał, świadczyło, że nie oczekiwał gości. Uczestniczył natomiast w piątkowych obiadach w domu ministra sprawiedliwości, Marcina Badeniego.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk

Droga akademicka ks. Staszica daleka była od tradycyjnych wymogów. Studiował wprawdzie na Collège de France, ale bez dyplomu i tylko dwa lata. Doktorat obojga praw uzyskał w chylącej się ku upadkowi Akademii Zamojskiej bez systematycznej wiedzy prawniczej. Praktyka dydaktyczna Staszica wiązała się z udzielaniem korepetycji oraz nauczaniem domowym i podróżami kształcącymi. W zakresie zdobytej wiedzy był encyklopedystą, erudytą, ale amatorem. Dopiero w Towarzystwie Warszawskim Przyjaciół Nauk zdobył laury, ale organizatora nauki. Członkiem Towarzystwa został w pierwszym naborze (1800). Od stycznia 1803



ków na budowę pomnika Kopernika w Warszawie. Od cara Aleksandra I – wobec którego głosił hasła lojalistyczne (*Ostatnie moje przestrogi dla Polski* 1815) – uzyskał patent na założenie uniwersytetu w Warszawie (19 XI 1816). Taki patent opiekuńczy wydał też wcześniej dla Towarzystwa (27 III 1816). Przy zakładaniu Uniwersytetu Warszawskiego występował jako przewodniczący Rady Ogólnej Uniwersytetu. Współinicjował (z Tadeuszem Mostowskim) założenie Szkoły Agronomicznej na Marymoncie (1818). Uruchomił Szkołę Przygotowawczą do Instytutu Politechnicznego w Warszawie (4 I 1826). Zmiany te realizował w imię utylitaryzmu, który miał zdominować naukę akademicką – Uniwersytet i Towarzystwo. W latach 1820-1824 nadzorował budowę pałacu w miejsce ruin po kościele i klasztorze Dominikanów Obserwantów. Pałac, zbudowany według projektu Antonia Corazziego, przekazał na nową siedzibę Towarzystwa. Całkowity koszt budowy Pałacu Staszica wyniósł 347 400 złp. Zlecił też Bertelowi Thorvaldsenowi zaprojektowanie pomnika Kopernika (umowa z 30 IX 1820).

Ks. Staszic opublikował w latach 1816-1820 dziewięć tomów *Dzieł*, z których tomy od 7 do 9 zawierały dzieło *Ród ludzki. Poema dydaktyczne* – te zostały

roku propagował tworzenie polskiej terminologii naukowej. W lutym kolejnego roku rozpoczął pracę nad programem badań z zakresu historii naturalnej i mineralogii. W roku 1805 propagował opracowanie gramatyki języka polskiego oraz „śpiewy historyczne” z myślą o kształceniu uczniów w zakresie historii Polski. W roku 1805 kandydował do funkcji prezesa Towarzystwa, jednak wybrano kontynuację prezesury bpa Albertrandiego.

Ks. Staszic wystąpił (13 XII 1805) z rozprawą *O ziemiorództwie dawnej Sarmacji*. W wydanej w 1807 roku rozprawie *O statystyce Polski* podał „krótki rzut wiadomości potrzebnych tym, którzy kraj ten chcą oswobodzić i tym, którzy w nim chcą rządzić” (podtytuł). Wygłaszał referaty o geologii i przyrodzie ziem polskich. Publikował je w „Rocznikach” Towarzystwa, a następnie w zbiorze *O ziemiorództwie Karpatów i innych gór i równin Polski* (1815). Do czytelników apelował „bądźcie ludźmi oświeconymi, uczonymi, pracowitymi, moralnymi i cnotliwymi, uczcie się poznawać tę ziemię, która was zrodziła, oddajcie się naukom rolnictwa, przemysłowi, wynalazkom (...). Przestańcie podróżowania za granicę”.

Po śmierci bpa Jana Albertrandiego (10 VIII 1808) obrano Staszica na prezesa Towarzystwa. W grudniu tego roku wystąpił z projektem założenia w Warszawie Szkoły Głównej. W sierpniu 1814 roku przygotował *Wewnętrzne Urządzenie Szkoły Głównej Krakowskiej*, projektując przekształcenie uniwersytetu w swego rodzaju wyższą szkołę zawodową. Podarował Towarzystwu swój gabinet historii naturalnej. Od 1815 roku wspierał zbiórkę środ-

zablokowane w obrocie księgarskim na mocy dekretu o cenzurze, który sam kontrasygnował (16 VII 1819). Przeciw dekretowi wystąpili opozycyjni posłowie w Sejmie, tzw. kaliszanie. W dziele *Ród ludzki* szukał Staszic odpowiedzi na pytanie, dlaczego „towarzystwa ludzkie zboczyły z drogi ich ogólnego szczęścia” – pisał o wszystkim: przyrodzie i historii ludzkości, a nawet o deistycznie ułokowanym Bogu.

Ks. Stanisław Staszic zmarł w pałacu Zamoyskich 20 stycznia 1826 roku na apopleksję. W pierwszej wersji testamentu (1823) obliczył swój majątek w lokatach i gotówce na 809 tys. złp. W testamencie (z 20 VIII 1824) potwierdził przekazanie dóbr na własność Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego oraz ustalił zapisy na rzecz szpitali i budowy pomnika Kopernika. Dla biednych zostawił do podziału w dniu pogrzebu 10 tys. złp. Pochować się zalecił na Bielanych „w miejscu ulubionym dla swoich rozmyślań” (Kozmian, *Pamiętniki*). Obawiał się – według Kozmiana – że duchowieństwo odmówi „rengatowi kapłaństwa” pochówku na Powązkach. Na polecenie abpa Wojciecha Leszczyca Skarszewskiego, pochowano Staszica w księżym ornacie. Nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele kamedułów bielzańskich. Mszę odprawił ks. Wojciech Anzelm Szweykowski. Żegnało zmarłego ponad 20 tys. mieszkańców stolicy. Pomnikiem pozostawionym na wieczność przez Staszica były idee modernizacji oświaty i wytwórczości, zaczątków industrializacji gospodarki i nauki oraz budowa świątyni nauki – Pałacu Staszica.

Autorzy w biedzie

W związku z ukazaniem się nowej książki poetyckiej dziennikarze zadają mi pytania co do prozy. Ciągłe coś im się myli.

Pytanie, które mnie zirytowało, brzmi: „Czy napisał pan powieść, która jest dla wszystkich?”. Czyli czy jest „inkluzywna”. No i to mylenie wierszy z prozą... Wszystko postawione na głowie.

Brzmiało to mniej więcej tak, jak kwestia, którą dopiero co usłyszałem w telewizji (cytuje): „Jeśli jest pani biologiem, to jak pani myśli, jeżeli Unia Europejska stawia Polsce trudne warunki, to co będzie za pięć lat?”.

Jak tu wytłumaczyć pytającemu, że biologia ma słaby związek z Unią, która jej zasad naukowych nie akceptuje, ani że brakuje w tym jakiegokolwiek związku z jakimkolwiek państwem? W sensie logicznym to taka sama nowomowa jak w wypadku pytania o moje książki.

Adresaci literatury sami sobie dobierają odpowiednie tytuły. To oni realizują swoje cele, gdy sięgają po konkretny tekst, pisarze natomiast przeważnie mają mętną wizję odbiorców, ponieważ zbyt precyzyjna zdecydowanie ograniczałaby im swobodę artystyczną. To znany fakt z zakresu psychologii twórczości. Natomiast co do Unii: warto się najpierw przyjrzeć i zorientować, dlaczego i jakie stawia warunki, a nie bezmyślnie pytać, czy warunki na coś kiedyś wpłyną.

W nadziei, że utrafię w gusta i sposoby działania prasy, postanowiłem przestać się martwić dziwnym odbiorem faktu, że napisałem coś z zakresu poezji, i wobec pytań o prozę szybciej zgłosiłem do wydania powieść, która już od dawna na to czekała.

Od tego momentu zaczęto mnie indagować jednak w sprawie tomu wierszy, nadal go nie czytając, a o prozie wspominać przestano. Zadzwoiła też dziennikarka, która chciała się umówić ze mną jako Pawłem Munlanderem-Nieckowskim. Uprzejmymi słowami poprosiłem, aby się przygotowała do rozmowy, więc się poprawiła i powiedziała „przepraszam, Nieckowskim”, i się rozłączyła, aby już więcej się nie odezwać. W ten sposób jako autor wypadłem z obiegu.

Na standardowe cytowane wyżej pytanie o inkluzywność prozy odpowiadam: a dlaczego miałbym pisać teksty wszytkoistyczne! Dlaczego mają być dla każdego? Nie chcę tak, bo wtedy byłyby już dla nikogo.

Nie ma książek uniwersalnych, tak jak nie ma panaceum ani perpetuum mobile, nawet jeśli jakiś autor takie dzieło sobie zamierzył. Po pierwsze nie wszyscy czytają (czyli 60% społeczeństwa z góry w tej konkurencji odpada), a po drugie treść książki może komuś nie odpowiadać i on też jako czytelnik odpadnie. Mądre i trudne książki są dla myślących, proste dla prostaków, a te, które są okrakiem między jednym a drugim, często bywają dla nikogo, bo prości myślą, że trudne, a myślący, że prymitywne. A wszyscy się mogą mylić na skutek rezygna-

cji z rozpoznania rzeczy. No i najważniejsze: księgarnie już nie są celem rytualnych wizyt inteligencji.

Oto widzę zdumienie w oczach człowieka, który usłyszał fragment powieści, czytany w radiu przez aktora: „Jakież to cudowne! Że też ja to pominąłem w księgarni!”. Chyba skłamał. Z oglądu Warszawy (nie Berlina, Madrytu, Paryża czy Rzymu, o nie!) wynika, że księgarnie znikają (ostatnio olbrzymi sklep książkowy im. Stefana Żeromskiego przy alei Solidarności). Nasi potencjalni czytelnicy do pozostałych przestają wchodzić. Rozpowszechniło się mniemanie, że Internet przejął rolę księgarń, ale to nieprawda. Książka w formie elektronicznej jest innym obiektem niż ta wydrukowana na papierze. To, co jest czytane na ekranie tabletu czy słuchane z audiobooka, tylko pozornie odpowiada książce w okładkach i z kartkami. Inaczej się to czyta, inaczej też rozumie i odczuwa.

Z kolei relacje z publikacji książkowych, czyli recenzje prasowe (i internetowe też) ujmują podstawę literatury, a więc jej język i psychologię, logikę i historię zbyt często pod wpływem polityki i w zestawieniu z nią, a ta przecież jest skłonna sfałszować niemal wszystko, nawet biologię. Trudne utwory przeważnie pomijają. Kulturze dzieje się w ten sposób krzywda, bo to odstręcza czytelników od kupowania poważnych książek i od czytania dogłębnego, kształtującego wyobraźnię i myślenie.

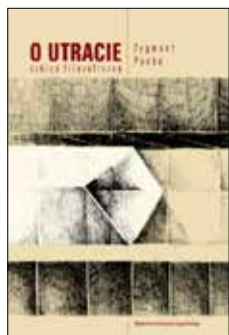
Skutki tego są niedobre. Wielu autorów zaczyna dzisiaj pisać „łatwiej”. Mam nadzieję, że jest to zjawisko tylko chwilowe, na czas dominacji mediów wizualnych. Wolna wola pisarzy oraz edukacja społeczeństwa zmuszą do ponownej intrygującej komplikacji tekstów, takiej jaka funkcjonowała jeszcze 40 lat temu. Potem media w zakresie kultury szczerą ostatecznie, zsuną się do funkcji czysto informatyczno-informacyjnej, komunikacyjnej.

Film i telewizja już teraz chylą się ku niechybnej zgubie, gdyż okazało się, że jakością, elokwencją, dającą się rozpoznać komplikacją psychologiczną czy historyczną, słowem atrakcją intelektualną nie dogoniły literatury i już nigdy nie dogonią. Zapętlili się w niemocy artystycznej. Tak powtarzają te same (ale o różnych tytułach) filmy, filmiki, schematy scenariuszowe, ze zmęczeni naciskaniem klawiszy pilotów i poszukiwaniem programów widzowie coraz częściej trzymają w domu telewizory jedynie ze względu na sport i porady kuchenne. Odbiorcy nie chcą już też, aby ich dzieci kształciły się na papce prostackich sensacji i bajek z rzeczywistości.

Jest więc wniosek: literatura nadal pod żadnym pozorem nie powinna poddawać się prasie ani imitować telewizji czy filmu, bo te pociągną ją na dno za sobą. A wtedy autorzy naprawdę znajdą się w biedzie.

e-mail: lpj@lpj.pl

Świecka metafizyka



Święty Augustyn w *Wyznaniach* mówi o własnych przeżyciach po utracie bliskiego przyjaciela, którego zabrała śmierć. Czytamy: „Wtedy ból zamroczył moje serce. Na cokolwiek patrzyłem, wszędzie widziałem tylko śmierć. Rodzinne miasto stało się dla mnie czymś niemożliwym do zniesienia, dom rodzinny – samym nieszczęściem. Wszystko, co przedtem było nam obu wspólne, teraz, bez niego, zmieniło się w straszną mękę. Wszędzie go szukały moje oczy, a nigdzie go nie było. Wszystkie miejsca, gdzie dawniej bywaliśmy razem, były mi nienawistne przez to, że jego tam nie było

[...] Kołty mnie tylko łzy, które stały się największym po owym przyjacielu ukochaniem mej duszy”.

Jest Augustyn jedną z tych postaci, które na kartach książki Zygmunta Pucki odgrywają niebagatelną rolę, obok całego szeregu myślicieli i artystów, a przede wszystkim Marka Tulliusza Cyncerona, Janusza Korczaka, Fridy Kahlo i Nadzieży Mandelsztam. Właśnie te osoby stały się tytułowymi bohaterami szkiców zebranych w tomie *O utracie*. W dziewięciu rozpatrywana jest problematyka śmierci w kontekście utraty i żaloby. Poza tym do zbioru został włączony artykuł z filozofii medycyny dotyczący „idei śmierci medycyny” oraz dwa inne dezawuuujące „tradycyjne schematy pojęciowe na temat zwierząt” i postulujące „konieczność znalezienia nowych sposobów myślenia o nich”. Autor poddaje filozoficznej analizie wątki animalne w prozie Zofii Nałkowskiej i Johna M. Coetzee, laureata Literackiej Nagrody Nobla z 2003 roku. Zygmunta Pucko jest nie tylko filozofem, specjalizującym się m.in. w tanatologii, ale – co wszędzie podkreśla – „wielbicielem koni”. Stąd zamykający książkę szkic o kalifornijskim trenerze koni Montym Robertsie.

Rozważania o utracie rozumianej jako żałoba stanowią myśl przewodnią omawianej książki. Dlaczego to zagadnienie jest tak ważne? Otóż: „Bez utraty – czy to doznawanej w przedziale temporalnym *ante mortem*, czy przeżywanej w okresie *post mortem* – nie można wyobrazić sobie ludzkiego życia. Obie są nierozdzielnie związane z losem człowieka. Niekiedy nawet splatają się z nim już u progu jego ontogenezy i replikują w następnych fazach istnienia aż do całkowitego ograbięcia go ze wszystkiego, co składa się na siłę jego trwania. Utrata zadaje rany i znaczący ścieżki istnienia człowieka, określa jego sposób postrzegania siebie, determinuje wybór normatywnego systemu odniesienia lub każe go odrzucić, przesądza o stylu bycia w świecie albo wymazuje definitywnie z przestrzeni życia. Jest jednym z najtrudniejszych ludzkich doznań”.

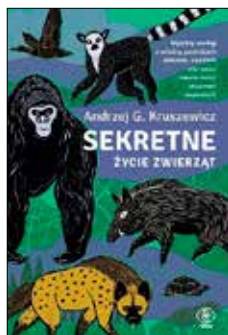
Przytoczone wyżej słowa stanowią nie tylko autorską deklarację tego, o czym będzie książka, ale i swoisty manifest dotyczący problematyki: jak żyć? Bez względu na to, jak bardzo współczesny człowiek będzie w sobie zagłuszał świadomość śmierci, tanatyczne udręki wcześniej czy później zawsze się odezwą. Bo kim jest człowiek? To prawda, że *homo sapiens*, *homo faber*, *homo ludens*, *homo ridens*, *homo viator*, *homo symbolicus*, *homo oeconomicus* itd., ale nade wszystko *homo mortalis*. Całkowite zagłuszenie świadomości śmierci nie tylko nie jest możliwe, może okazać się groźne w skutkach. Powinniśmy nauczyć się żyć w ten sposób, aby myślenie o śmierci stanowiło istotną komponentę naszego bytowania. O tym mówi Pucko. Śmierć konfrontuje z ideą macierzyństwa, rozpatruje kwestię „tanatogiki dziecięcej” i „gerontagiki” jako współczesnych wersji *ars moriendi*. Dalej śmierć poddawana jest analizie w perspektywie indywidualnej („żywa śmierć” – Kahlo i „niedokończona żałoba” – Mandelsztam) oraz w perspektywie społecznej (żałoba narodowa i katastrofa globalna).

W czym szukać pocieszenia? Odpowiedź dają dwa zamykające zbiór szkice. To nieskrywana apoteoza natury, piękna przyrody, a nawet – bo chyba można zaryzykować to twierdzenie – świecka metafizyka. Na pierwszy rzut oka teksty składające się na tom *O utracie* są ze sobą luźno powiązane, głównie tematycznie. Jednak uważna lektura pozwala stwierdzić, że układają się one w głęboko przemyślany i spójny system refleksji o życiu i umieraniu.

Tomasz Klusek

Zygmunt PUCKO, *O utracie. Szkice filozoficzne*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021.

Świat zwierząt według Kruszewicza



Andrzej Kruszewicz to dyrektor warszawskiego ogrodu zoologicznego, prowadzący programy radiowe, narrator świetnego cyklu *Prywatne życie zwierząt* w Telewizji Polskiej. I właśnie z tym cyklem kojarzą się tytuł i styl książki – kiedy ją czytamy, niemal słyszymy głęboki telewizyjny głos Kruszewicza. Ten sam gawędziarski ton, ten sam sposób nawiązywania kontaktu z odbiorcą poprzez pytania i porównanie dialogu. I w końcu ta sama głęboka wiedza na temat przyrody i jednakowa pasja, z jaką autor opowiada.

Kruszewicz, opisując zwierzęta, przypisuje im cechy i myśli ludzi, wskazując tym samym, jak niewiele różni nas od naszych braci mniejszych. Tę analogię widać już w tytułach kolejnych rozdziałów, np.: *Zaloty, czyli ruszamy w konkury*, *Kobiety rządzą*, *Władza*, *Wierność i skoki w bok*, *Podróżnicy*, *Zabawa*, *lenistwo i praca*. Zupełnie jakby dotyczyły życia człowieka. Są oczywiście i różnice, ale wszystko w świecie zwierząt ma jakieś uzasadnienie, które autor stara się znaleźć.

Dlaczego u wielu ptaków to samiec jest „płcią piękną”? Okazuje się, że jest tak przede wszystkim u gatunków, u których samce są zdecydowanymi poligamistami. U łabędzi czy gęsi, które wiążą się w bardziej trwałe pary, polimorfizm płciowy jest słabo zaznaczony. Ale również u nich zdarzają się skoki w bok. Coraz powszechniejsze badania genetyczne, akcje obrączkarskie czy monitoring GPS pozwalają zdobywać nowe informacje na temat życia zwierząt. Okazuje się, że nawet idealizowane przez nas bociany, symbol życia rodzinnego, nie wiążą się w trwałe pary.

U ptaków, które spędzają ze sobą tylko krótki czas godów i ewentualnego odchowywania piskląt, samce są swoistą reklamą – kolorową i do tego głośną, bo wyróżniającą się donośnym śpiewem lub piękną linią melodyczną. W ten sposób chcą pokazać potencjalnym partnerkom, że są zdrowe i silne, czyli przekażą potomkom dobrą pulę genów. Wiele gatunków potrafi przy tym tańczyć lub wykonywać skomplikowane manewry w locie, wszystko po to, by przypodobać się wybrankom. Ale nawet te ptaki, którym natura poskąpiła urody czy głosu, mają swoje sposoby na zwabienie partnerki. Altanniki, które nie są wyjątkowo barwnie upierzone, budują tak zwane altanki – stawiają konstrukcje z gałązek i listków, znoszą kolorowe piórka i kamyczki i misternie ozdabiają nimi swoje budowle. Ale samica nie wychowuje w nich później piskląt, tylko zajmuje zwykle gniazdo w innym miejscu. Tworzone przez altanniki małe dzieła sztuki nie mają więc wartości użytkowej. Są tylko... sztuką.

Podczas gdy ptaki żyją w świecie głosów i kolorów, dla ssaków często najważniejszym wyznacznikiem atrakcyjności jest zapach. Jak mówi autor, w warszawskim ogrodzie najintensywniej pachną wilki grzywiaste, dlatego ich wybiegi są na peryferiach zoo. Chociaż zapach zwierząt, a ściślej woń piżma, jest przez nas odbierany jako nieprzyjemny, sami często używamy jego pochodnych do zabijania zapachu własnego ciała. Piżmo jest dodawane do perfum i zapewnia im trwałość; naturalne dużo jednak kosztuje, a jego pozyskiwanie budzi sprzeciw, więc zastępuje się je sztucznym.

Ale opowieści Kruszewicza to nie tylko historie miłosne. To również opisy zwierzęcych zabaw i lenistwa oraz podróży. Wszystko to ma swój cel. Z podrózkami najbardziej kojarzą nam się ptaki, ale największa migracja na Ziemi odbywa się w Afryce. Zaczyna się pod koniec pory deszczowej, kiedy to milion antylop gnu, zebra i gazeli wyruszają w poszukiwaniu wody i pożywienia z równiny Serengeti na północ do rezerwatu Masai Mara w Kenii.

Książka kończy się słowami, które najlepiej opisują jej styl i zawartość: „Jeżeli chcemy przekazać naszą wiedzę o życiu zwierząt, to najlepiej zrobimy to własnym językiem. Nie bójmy się używać codziennych, potocznych słów do opisywania spraw niecodziennych. A wtedy wszystko stanie się prostsze. Łatwiej będzie wytłumaczyć, co oznacza macho w świecie zwierząt, czemu służą uroda, wierność, zdrada czy lenistwo, które wcale lenistwem nie jest. To pomoże nam ze spokojem rozmawiać o prywatnym życiu zwierząt! I nie bójmy się tych rozmów”.

Justyna Jakubczyk

Andrzej G. KRUSZEWICZ, *Sekretne życie zwierząt*, Rebis, Poznań 2020.

Nie mam ust, ale muszę krzyknąć



Nie tylko biografie niezyczących artystów, ale i studia o nich miewają w sobie coś z notatek z seansu spirytystycznego: można odnieść wrażenie, że autor był powiernikiem twórcy za jego życia (choć urodził się wiele lat po jego śmierci), że niemal niczym miniaturowy anioł na późnośrednio-wiecznych obrazach siedział mu na ramieniu, gdy ten pisał swe najważniejsze dzieła. Analizy, których autorzy lepiej od samego pisarza czy poety wiedzieli, co chciał powiedzieć, są już chyba szczęśliwie za nami, ale w sporach o „intencje” czy „przeżycia”, a ostatecznie „prawdę” o wybitnych jednost-

kach wciąż dostrzegam stanowczo zbyt dużo nieuzasadnionej pewności siebie. Katarzyna Kuczyńska-Koschany jest od tego całkowicie wolna: jeśli odrywa się od źródeł, wyraźnie podkreśla tryb warunkowy, a jednocześnie nie jest to popuszczanie wodzy fantazji, ale wypełnianie luk wciąż mające oparcie w dogłębnej znajomości życia i twórczości poety.

Autorka nie tylko ściśle wiąże ze sobą biografię i dzieło Tuwima bez popadania w biografizm, ale też precyzyjnie wyważa oba komponenty. Są twórcy, w przypadku których wychylenie w jedną lub drugą stronę byłoby uzasadnione, ale nie w tym przypadku. Ważne jest natomiast wykazanie związków między przemianami świadomości poety i jego dwoma wielkimi poematami – *Balem w operze* i *Kwiatami polskimi*. Przy tym pierwszym badaczka śmiało wychodzi poza szkolną interpretację fragmentów utworu jako satyry na sanację i powołując się na cenne publikacje, wskazuje na tajemniczą postać (czy tylko pojęcie?) Ideolo, odsyłając do czegoś znacznie gorszego niż grupa żądnych władzy wojskowych. Wielu czytelników *Balu w operze* zwraca uwagę przede wszystkim na nastrój poematu: klimat narastającego chaosu, kalejdoskop elementów z różnych porządków funkcjonujących jako jeden coraz szybciej wirujący krąg, w którym wszystko się miesza, a pod tym wszystkim przecucie naciągania czegoś potwornego, co nie wiadomo czy zmiecie ten świat, czy też w to właśnie ten świat się wyrodzi. *Kwiaty polskie* zaś to utwór znany nawet wielu polonistom i miłośnikom polskiej poezji tylko z tytułu, ale jak, dlaczego i (co także ważne) gdzie powstał, pamięta już niewielu. Tymczasem Kuczyńska-Koschany pokazuje, dlaczego była to próba zapisania na zawsze w pamięci świata odległego (Tuwim pisał poemat podczas wojny, głównie w USA), ogarniętego pożogą i najprawdopodobniej na zawsze utraconego, a jednocześnie ostatnia próba wypowiedzenia czegoś autentycznie ważnego językiem polskiej poezji przedwojennej.

Zdaniem autorki tytułowe pęknięcie nastąpiło na obczyźnie i po powrocie z niej, gdy Tuwim zdał sobie sprawę, że jego poetycki głos w obcym środowisku po prostu by zgasł, a wobec ogromu zniszczeń (zrównana z ziemią Warszawa) i zbrodni (włącznie ze śmiercią matki poety, zamordowanej w 1942 roku w getcie w Otwocku) przedwojenna mowa wiązana wydaje się dziwnie błada i konwencjonalna – innego zaś głosu Tuwim nie miał. Takie wyjaśnienie faktu, że kilka ostatnich lat (do śmierci w 1953 roku) poświęcił głównie działalności przekładowej, nie wydaje mi się ze strony autorki uzurpacją wiedzy o duszy poety. Kuczyńska-Koschany zbiera w całość obfitą korespondencję i nie bez powodu mało obfita twórczość Tuwima z tego ostatniego okresu, a wyłaniający się obraz jest aż nadto czytelny. Badaczka powołuje się na liczne wcześniejsze publikacje i jej książka stanowi kopalnię cennych wskazówek bibliograficznych, ale nikt przed nią nie zawarł tylu ważnych wniosków i hipotez na temat późnego dorobku autora *Kwiatów polskich* w jednym studium – skromnym objętościowo, cechującym się dyscypliną myśli i bogactwem treści jednocześnie. Naukowej monografii, a jednocześnie poruszającej emocjonalnie opowieści.

Marek Misiak

Katarzyna KUCZYŃSKA-KOSCHANY, *Tuwim: Pęknięcie*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2021, seria: Egzystencja i literatura.

Krytyk – wyrobnik literacki



Tytułowy esej ani właściwie nie wnosi niczego do wiedzy o literaturze, ani nie dokonuje nowych uściśleń na linii nadawca-odbiorca dzieła literackiego. Nie jest też jakąkolwiek nową propozycją postrzegania literatury i pisarza, i mam wrażenie, że więcej w nim utartych efektywnych sformułowań niż konkretnych propozycji. Literatura jest bowiem, wedle słów Manganelli, „portową prostytutką i dziwką dobrą dla kierowców ciężarówek”, jest także skandalem, bluźnierstwem, jest cyniczna i niemoralna. Poza tym „jest anarchicznym gestem, a więc utopią, i jako taka nieustannie rozpada się i tworzy na nowo. Jak wszystkie utopie jest dziecinna, irytująca, straszna”. Cokolwiek oznacza to zdanie, uważam, że niesie ze sobą jedynie językowy sztafaż i zero treści.

W pozostałych krótkich formach Manganelli rozprawia się między innymi z *Trzema muszkietierami*, dowodząc miałości fabularnej książki i jej niezasłużonej popularności, gdyż po przeczytaniu „z solidnej i brawurowej powieści pozostaje wirujący pył”. Być może włoski krytyk ma rację, jednak po niemal dwustu latach ten „wirujący pył” nadal wiruje i nawet słabo zorientowany czytelnik kojarzy zapewne nazwisko Aleksandra Dumasa, zatem daj Boże zdrowie, aby każdy autor popularnych czytań był w stanie po dwóch wiekach zapisać się w pamięci potomnych chociaż jedną pisarską pozycją. Dostaje się także Dickensowi, który jest „pisarzem rozkosznym i irytującym”, a *Wielkie nadzieje* są „dobrym przykładem efektownej i marnej recytacji, godnej podrzędnego aktora”. *Robinson Crusoe* uznany zostaje za książkę dla niewykształconej publiczności, Manganelli zastanawia się także „Skąd się bierze, bardziej niż urok, niewyczerpana groza tej książki?”. Pewną ambiwalencję odczuwa też włoski krytyk, czytając dzieła innych klasyków, np. Waltera Scotta czy też tuza powieści przygodowej Roberta Louisa Stevensona.

Nie jest jednak tak, że Manganelli wyłącznie siecze dookoła ostrzem swego pióra; zachwyca się bowiem *Alicją w krainie czarów*, komplementuje niejaka Ivy Compton-Burnett, uznając ją za „najwybitniejszą powieściopisarkę w dzisiejszej Anglii”. Mógłbym przywołać jeszcze kilka mało znanych pisarskich nazwisk, którym poświęca odrobinę uwagi, ale nie jest to chyba potrzebne. Wśród tych bardziej popularnych pojawiają się jeszcze Nabokov, Yeats czy Beckett, którego tom wierszy Manganelli bardzo oszczędnie recenzuje, za to sporo miejsca poświęca dokonaniom krytyka Edmunda Wilsona.

Przychodzi mi na myśl pewien cytat, choć nie pamiętam już, kto wypowiedział słowa, że krytyk literacki, to taki ktoś, kto mówi autorowi, jak powinien napisać książkę i sam by to zrobił, gdyby tylko potrafił. Krytyka literacka w przeważającej większości (może za wyjątkiem jakiejś części wypowiedzi metakrytycznych) to działalność bardzo doraźna. I choćby nie wiem jak merytoryczna i stylistycznie przepiękna była recenzja, to na zawsze (na krótko) pozostanie ona wyłącznie komentarzem do dzieła literackiego bez szans na długowieczność. Niewielkie przecież szanse mają autorzy recenzji, że ktokolwiek zechce (pomijam akademików) sięgać po latach do ich wniosków. Nawet jeżeli Dumas pisał kiepsko, to jego dzieła trafiły pod strzechy, szpada D'Artagnana nadal dźwięczy, Edmund Dantes wciąż ucieka z zamku d'If, a Crusoe spotyka swego Piętaszka. Choćby wszyscy krytycy zzymali się nad prostotą fabuły bądź ograniczonością czytelnika, którego zwyczajnie interesuje, co będzie dalej, to chyba właśnie w tym tkwi potęga literatury, że nigdy nie wiadomo, która książka będzie fascynowała kolejne pokolenia i jaki autor zapisze się w ich pamięci. Bynajmniej nie zgadzam się z twierdzeniem, że krytycy, to niespełnieni pisarze, raczej wyrobniki pióra, którzy nawet za wielki wysiłek nigdy nie otrzymają zasłużonej zapłaty. Dumas? Ależ oczywiście, znam! Manganelli? Przepraszam, kto?

Jacek Hnidiuk

Giorgio MANGANELLI, *Literatura jako kłamstwo*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021.

Far a piazza



„Far a piazza” – spotkać się, wyjść z domu. Ten włoski idiom wyraża tęsknotę za bezpośrednim kontaktem z przyjaciółmi i znajomymi, a jednocześnie sugeruje miejsce takiego spotkania. Piazza. Grecka agora, rzymskie forum, place włoskie czy hiszpańskie przez wieki były miejscami nie tylko wymiany informacji towarzyskich, ale także poważnych dyskusji i celebracji wielu wydarzeń. Obecnie realną przestrzeń spotkań coraz częściej zastępuje ta wirtualna, a klimatyzowane wnętrza galerii handlowych skutecznie rywalizują z nagrzanymi powierzchniami placów miejskich.

Zagadnienia związane z architekturą i urbanistyką dość rzadko omawiane są w mediach, wyjąwszy specjalistyczne tytuły, jednak w ostatnich latach zjawisko destrukcji placów miejskich w Polsce stało się tak wyraziste, że przykuło uwagę opinii publicznej i znalazło odbicie w wielu artykułach prasowych. Niefortunne rewitalizacje połączone z wycinką drzew i zastępowanie zieleni „betonozą” kamiennych posadzek doprowadziły do wyludnienia się miejsc niegdyś chętnie odwiedzanych przez mieszkańców. Aby ocenić jakość zmian, nie potrzeba wiedzy specjalistycznej – odczucie dyskomfortu przebywania w tak zaaranżowanych przestrzeniach, zwłaszcza w upalny albo wietrzny dzień, jest dosyć powszechne. Miejmy nadzieję, że barierą dla wspomnianych zjawisk stanie się nowa wykładnia konserwatorska dotycząca rewitalizacji historycznych placów, zapowiedziana już przez Generalną Konserwator Zabytków, prof. Magdalenę Gawin.

Plac miejski, postrzegany do niedawna jako rzeczywistość zastana i w pewnym sensie oczywista w swojej formie i funkcji, staje się przedmiotem refleksji i rozmaitych dyskusji. Dr Ewa Grochowska w książce pt. *Plac jako zagadnienie urbanistyczne* przeprowadza obszerną, erudycyjną analizę różnych aspektów związanych z tą przestrzenią, poczynając od zagadnień etymologicznych, gdyż – jak wskazuje – „samo pojęcie *plac miejski* w literaturze dotyczącej planowania miast nie jest precyzyjnie sformułowane”, poprzez omówienie form rozplanowania, proporcji, funkcji, uwarunkowań historycznych, geograficznych i politycznych aż do próby uchwycenia najistotniejszego wymiaru, czyli genius loci. Trudno znaleźć w literaturze tak szczegółowe kompendium wiedzy na temat placów, w którym każda refleksja o charakterze ogólnym, czasami wręcz metafizycznym, poparta jest szeregiem interesujących, konkretnych przykładów. Możemy spojrzeć na plac jako na scenografię architektoniczną, teatralną, symboliczną czy krajobrazową, przeanalizować różne powody przekształceń jego formy przestrzennej, przemyśleć dobór nawierzchni, przyjrzeć się zmianom, które zachodzą w cyklu rocznym albo dobowym, odnaleźć najrozmaitsze wzorce i rozwiązania, a także po prostu zagłębić się w klimat gwarnej Piazza del Mercato w Lukce czy ekscentrycznego, nowoorleańskiego Piazza d'Italia. Książka powinna stać się lekturą obowiązkową dla tych wszystkich, którzy podejmują nieraz pochopne decyzje związane z rewitalizacją przestrzeni publicznych i mogą wpłynąć na ich nieodwracalną destrukcję.

Niewątpliwym atutem są ilustracje w postaci rysunków wykonanych przez autorkę, która studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej ukończyła w 1975 roku. Kształcenie przyszłych architektów obejmowało wówczas znacznie więcej wątków artystycznych niż obecnie – zajęcia z rysunku czy malarstwa prowadzone w kolejnych latach stanowiły istotną część programu studiów. Aktualnie na politechnikach do minimum ogranicza się zajęcia z przedmiotów artystycznych, jakby przypisanie architektury i urbanistyki do dziedziny nauk inżynierjno-technicznych usprawiedliwiała rezygnację ze sztuki. Zanika umiejętność szkicowania odręcznego, wykonywania rysunków koncepcyjnych oddających naturalny gest i osobowość autora, a wszechobecne wizualizacje komputerowe często dają efekt unifikacji przekazu. Rysunki autorki, świetnie ilustrujące przedstawiane przez nią zagadnienia, jeszcze bardziej podkreślają unikatową wartość lektury.

Krystyna Matuszewska

Ewa GROCHOWSKA, *Plac jako zagadnienie urbanistyczne*, Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej, Warszawa 2021.

Żona Marszałka



Aleksandra Piłsudska starała się nie okazywać emocji, nie dawać posłuchu plotkom, nie eksponować swej roli w latach II RP i nie korzystać z pełni przywilejów wynikających z bycia żoną najważniejszego polityka w Polsce. Była jednak ważna, doceniana, lubiana. Postrzegano ją jako kobietę dumną, zachowującą dystans, niekiedy wyniosłą. „Nie nawiązywała bliższych relacji z otoczeniem, zapewne także dlatego, aby nie miało ono na nią wpływu, aby nie mogło wywierać na nią nacisku i wykorzystywać jej w relacjach z Piłsudskim”.

Z cichej konspiratorki stała się osobą publiczną, żoną polityka zasługującego na uznanie. Nie dowiemy się chyba nigdy, jakie brzemie nałożyły na nią lata spędzone w kohabitacyjnym związku, samotne macierzyństwo i czy ślub z Piłsudskim po śmierci jego pierwszej żony Marii zrekompensował lata oczekiwania na szczęśliwe małżeństwo i rodzinę. Z biografii Marty Sikorskiej wynika, że Piłsudska była odważna, silna, niezależna, a nawet niezłomna, zwłaszcza w warszawskim więzieniu przy ulicy Daniłowiczowskiej w 1907 roku, kiedy nie wydała nikogo z siatki konspiracyjnej PPS oraz kiedy, manipulując zamkiem mauzera w jednym z warszawskich mieszkań konspiracyjnych, przestrzeliła sobie stopę.

Pomimo że do historii przeszła jako pani marszałkowa, to jednak najciekawszym fragmentem jej życia – jak podkreśla biografka – jest okres walk o niepodległość. Sikorska z dużą empatią stara się odczytywać *Wspomnienia* Piłsudskiej. Kiedy Aleksandra, jeszcze jako komendantka Żeńskiego Oddziału Kuriersko-Wywiadowczego, uczestniczyła w kolejnych walkach o niepodległość Polski, dzieliła los innych kobiet, które z fałszywymi paszportami lub nielegalnie przekraczały granicę albo pociągiem wiozły na sobie dynamit, zważając nieustannie, by nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, aby spinka gorsetu nie przebiła pakunków. Nie chciała nigdy zostać nauczycielką, mimo iż proponowano jej objęcie takiej posady po ukończeniu żeńskiej Wyższej Szkoły Handlowej Józefy Siemiradzkiej w Warszawie. Swoją wiedzę i fachowością, wykorzystując talent pedagogiczny, obdarowywała jednak młode dziewczęta pragnące uczestniczyć w konspiracji. Korzystając z doświadczeń zdobytych w bojówce, w partii w czasie rewolucji 1905 roku, przekazywała swoje doświadczenie, biorąc jednocześnie udział w działaniach oddziału kuriersko-wywiadowczego. W gruncie rzeczy sama też wychowywała córki Wandzię i Jadzię.

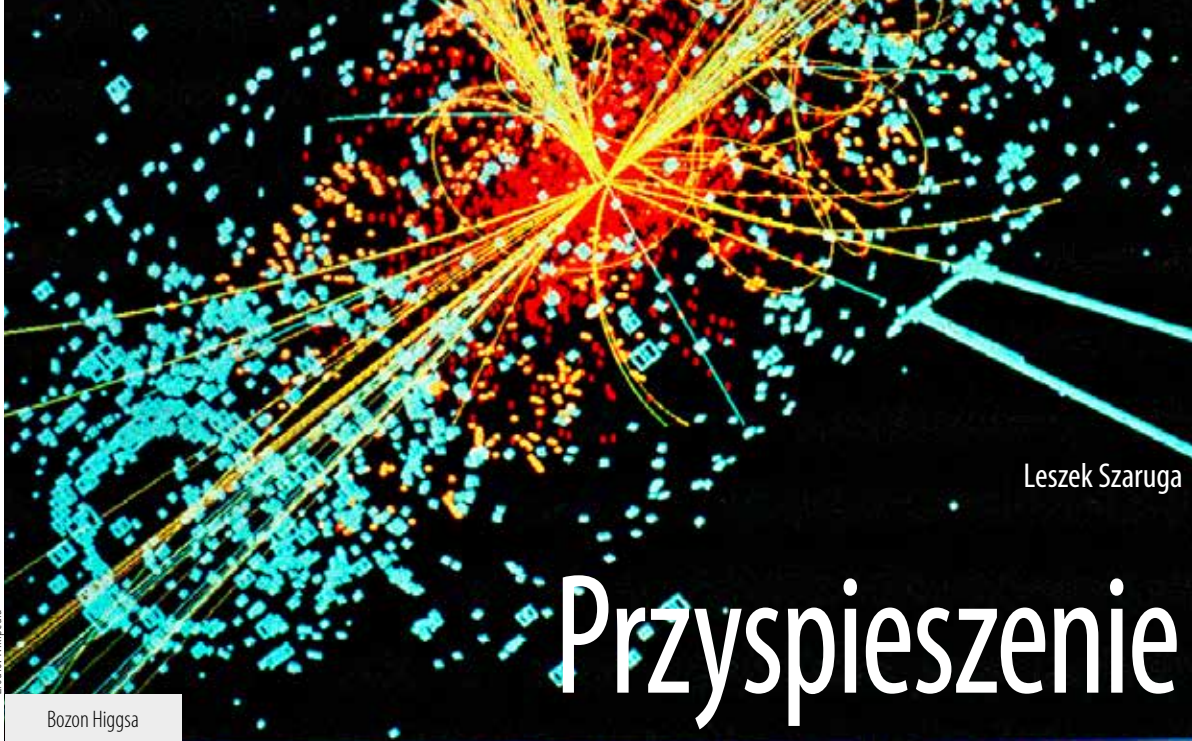
Rodzina Piłsudskich prowadziła skromne życie. Nigdy nie przebywali w rezydencjach Prezydenta RP w Spale, Wiśle czy Białowieży. Marszałek nie korzystał z gościnności bogatych, arystokratycznych rodów.

Biografia Sikorskiej momentami zaskakuje. Autorka ujawnia na przykład fakt borykania się Piłsudskich z trudnościami finansowymi. Uposażenie Naczelnika Państwa nie było wystarczające, a pokrywał on również oficjalne wydatki, a „więc często po jednym obiedzie reprezentacyjnym nie starczało potem na utrzymanie do końca miesiąca”. Goście wspominali, że Piłsudska potrafiła wiązać koniec z końcem. Marszałek nie znał, co to jest liczenie się z groszem. „Zdaje się, iż Walery Sławek wziął na siebie po cichu, nikomu nie przyznając się, obowiązek zaopatrywania domu marszałkowskiego w potrzebne rzeczy. Płynęły upominki w postaci wędlin (...) i produktów spożywczych, a wszystko to tak zρέcznie zrobione, że Marszałek nie mógł się obrażać na swych rozproszonych po świecie przyjaciół”. Bez tych darów Aleksandra nie mogłaby prowadzić domu i przyjmować gości, gdyż Marszałek zobowiązał się wcześniej do dożywotniego przekazywania uposażenia i pensji na Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. Część pieniędzy z emerytury szła z kolei dla inwalidów wojennych, na sierocińce i inne potrzeby biednych.

Na pytanie o feminizm Piłsudskiej, jej biografka odpowiada twierdząco, pomimo że nie był dość widoczny. Sam Marszałek w listach z Magdeburga pisał: „kochana feministko”.

Bogdan Bernat

Marta SIKORSKA, *Aleksandra Piłsudska (1882-1963)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2021.



Bozon Higgsa

Leszek Szaruga

Przyspieszenie

Coraz częściej słyszę, że kroi się nam „nowa fizyka”. Czytam oto, że fizycy pracujący przy akceleratorze Wielkiego Zderzacza Hadronów w ośrodku Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN pod Genewą natrafili na pierwszy ślad fizyki wykraczającej poza dotychczasową teorię budowy materii. O tym, że w tej materii prędzej czy później dojść musi do zasadniczych odkryć, nie wątpię od czasu, gdy przeczytałem esej Carla-Friedricha von Weizsäkera, fizyka i brata byłego prezydenta RFN, zatytułowany *Czas, fizyka i metafizyka*, zamieszczony w pokonferencyjnym tomie *Człowiek w nauce współczesnej*, a wygłoszony jako wykład podczas organizowanych pod patronatem Jana Pawła II rozmów w Castel Gandolfo – spotkanie to miało miejsce w roku 1983. Ze słów Weizsäkera wbiły mi się w pamięć dwa fragmenty. W pierwszym z nich wskazuje on na problem niesłychanie mnie wówczas zajmujący: „Głęboki, dotąd jeszcze nie zrozumiany dostatecznie sens mechaniki kwantowej leży (...) w tym, że ze względu na zasadę superpozycji wszelki klasyczny, faktyczny opis zdarzenia jest tylko przybliżeniem. Jeśli teoria kwantów jest prawdziwa, to rzeczywistość nigdy nie jest faktyczna w ścisłym sensie. (...) Jeśli dzisiejsza fizyka jest słuszna, to samo pojęcie przedmiotu, na którym fizyka jest oparta, jest tylko przybliżeniem”. Druga uwaga wydaje mi się jeszcze bardziej inspirująca: „Filozofia nominalistyczna błędnie uważa pojedynczy przypadek za elementarną daną. Przepuszczalnie nie istnieją elementarne dane”. I wreszcie – by rzecz podprowadzić jeszcze bliżej „nowej fizyki” – dopełnienie tych uwag: „Atom jest pojęciem ludzkiej możliwości działania. Przepuszczalnie atomy istnieją tylko dla nas. Może tylko dla nas, fizyków drugiego tysiąclecia ery chrześcijańskiej”. W tych uwagach, poza ich treścią, niesłychanie istotne wydaje się formułowanie ich w trybie warunkowym. Być może – dopowiem żartem – w trybie warunkowym należałoby mówić o istnieniu świata.

Najwyraźniej to, co się dzieje w trakcie badań możliwych dzięki uruchomieniu Wielkiego Zderzacza Hadronów, zbliża nas coraz bardziej do weryfikacji przypuszczenia o tym, że pojęcie atomu jest wyłącznie wyobrażeniem, tak jak nim było dla Demokryta z Abdery, zmarłego w ok. 370 roku p.n.e. filozofa, który postulował istnienie atomów, uznając je za arche, podstawowy element budowy świata, czyli jego cząstki elementarne. Dzisiaj powszechna jest wiedza o tym, że cząstki elementarne drobniejsze są od atomów i na tym, o ile mi wiadomo, kończą się nauki przekazywane w szkole. Badacze dopadli już (dotych-

czas tylko podejrzewany o istnienie) bozon Higgsa określany mianem „bożej cząsteczki”, nadal badają różnice między materią i antymaterią (przy czym warto wspomnieć, że na bytową przewagę materii wskazywał Andriej Sacharow, współtwórca sowieckiej bomby atomowej, później zaś czynny opozycjonista i obrońca praw człowieka, z którym potajemnie spotkał się w Moskwie w 1977 roku członek KOR-u Zbigniew Romaszewski), zajmują się też dość ważnymi właściwościami plazmy powstałej z hadronów, czyli silnie oddziałujących cząstek elementarnych, jakimi są kwarki i gluony. Ale niejako przy okazji czy z czystej ciekawości zaczęto poszukiwania nieznanych dotąd cząstek elementarnych – potwierdzenie ich istnienia (poszlaki właśnie odkryto) może mieć konsekwencje daleko idące, ale być może do ich wykrywania trzeba będzie wykorzystywać komputery kwantowe, instrumenty wciąż jeszcze niestandardowe, których moc obliczeniowa jednak wyprzedza wielokrotnie to, co mamy do dyspozycji.

Wszystko to jednak przyspiesza niesłychanie. Być może za lat dwadzieścia zobaczymy (już niestety bez mnie chyba) całkiem inny świat, w którym nadprzewodniki będą w powszechnym użyciu, powstaną mało dziś przewidywalne instrumenty łączności czy superinnowacyjne metody terapii. Przyspieszenie obiecywane przez „nową fizykę” nie jest jedynym, podobne przyspieszenie widać w kosmologii i (może nieco skromniej) w astronautyce (choć na Marsie już tłoczno od łazików), ale także w humanistyce, gdzie „nowatorskie teorie” i parada wszelkich „izmów” przestrasza nawet profesjonalistów, często za sprawą nowej terminologii nierozumiejących siebie nawzajem. No i na koniec jeszcze jedno z wielu przyspieszeń, dla mnie jednak najważniejsze, bo za jego sprawą zwiększa się liczba naukowców i nakładów na naukę – przyspieszenie demograficzne połączone z przyspieszeniem przemian klimatycznych, a generujące potężne ruchy migracyjne, których przedsmak od kilku lat stał się widoczny na całym świecie, ostatnio także w naszym kraju.

Można oczywiście, jak „straszni mieszczanie” Juliana Tuwima, widzieć wszystko osobno: „I oto idą, zapięci szczerze,/ Patrzą na prawo, patrzą na lewo./ A patrząc widzą wszystko oddzielnie,/ Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo (...)/ Potem się modlą: «Od nagłej śmierci.../ ...od wojny... głodu... odpoczywanie»./ I zasypiają z mordą na piersi/ W strasznych mieszczaniach straszni mieszczanie”. Można, ale w rzeczywistości – jeśli istnieje – to wszystko się kumuluje i łączy.



Fundacja na rzecz Nauki Polskiej





Stowarzyszenie Zbiorowego Zarządzania Prawami Autorskimi
Twórców Dzieł Naukowych i Technicznych

SZANOWNI TWÓRCY DZIEŁ NAUKOWYCH I TECHNICZNYCH!

Stowarzyszenie KOPIPOL uprzejmie informuje, że przystąpiło do repartycji środków zainkasowanych w **2020 roku** tytułem opłat o których mowa w art. 20 oraz 20¹ ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, tj. od producentów i importerów urządzeń reprograficznych (kserokopiarek, skanerów, drukarek, itp.) oraz tzw. punktów ksero. **Środki te stanowią formę rekompensaty strat ponoszonych przez twórców na skutek kopiowania ich prac za pomocą urządzeń reprograficznych w ramach dozwolonego użytku osobistego.** Jednocześnie informujemy, że Stowarzyszenie KOPIPOL kontynuuje repartycję środków zainkasowanych za lata 2008 – 2019.

Wszystkich uprawnionych Twórców uprzejmie prosimy o zgłaszanie się do Stowarzyszenia w celu podjęcia należnych środków.

Każdy Autor może sprawdzić swoje uprawnienie do otrzymania należnych wynagrodzeń oraz wygenerować niezbędne dokumenty korzystając z wyszukiwarki uprawnionych autorów znajdującej się pod adresem wyszukiwarka.kopipol.org.pl.

Wyjaśniamy przy tym, że uprawnionymi do otrzymania wynagrodzenia z systemu repartycji indywidualnej są ci autorzy, którzy publikowali swoje utwory naukowe i techniczne w wydawnictwach, których udział, oszacowany na podstawie badań statystycznych przeprowadzonych przez CEM Instytut Badań Rynku i Opinii Publicznej Sp. z o. o. w Krakowie, wyniósł w danym roku podziałowym co najmniej 1% ogółu publikacji wszystkich wydawców.

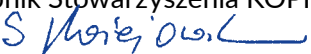
W podziale środków zainkasowanych w 2020 roku biorą udział autorzy publikujący w następujących wydawnictwach: *Wolters Kluwer, Wydawnictwo C.H. Beck, Wydawnictwo Naukowe PWN, Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Helion oraz PWN Wydawnictwo Szkolne.*

Wykaz wydawnictw objętych systemem repartycji indywidualnej w latach 2008-2019 dostępny jest na stronie internetowej Stowarzyszenia w zakładce *Strefa Autora*.

Serdecznie prosimy wszystkich uprawnionych Twórców do zapoznania się z zasadami repartycji indywidualnej oraz szczegółowymi informacjami na temat działalności Stowarzyszenia dostępnymi na stronie internetowej www.kopipol.pl.

Informacje o systemie repartycji indywidualnej udzielane są również telefonicznie pod numerem: (41) 341 54 39 lub drogą e-mailową pod adresem repartycja@kopipol.org.pl.

Czekamy na Państwa dokumenty.

Skarbnik Stowarzyszenia KOPIPOL

dr hab. Sylwia Hożejowska, prof. PŚk